

TOM II
PRZEKŁĘTE WODY
POTWORY Z „ARACHNE”



Maire Harcourt

Tytuł oryginału:

Potwory z „Arachne”

Copyright: © 2023 by Maire Harcourt

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie I, 2023

ISBN: 978-83-67681-00-1

Grafiki na okładce:

Pixabay

Opracowanie graficzne okładki:

Maire Harcourt

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom. Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

TOM II
PRZEKŁĘTE WODY
POTWORY Z „ARACHNE”



KRATERIA

BEZPIECZNE
WODY

ŁOWISKA

LATARENKA

PIRATÓW

DALA

SKULL
TERRA

CZERWONE
SKALY

Złuda Żeglarza

WYSPA
ODROBINY
NADZIEJI

Przesmyk
Kosci

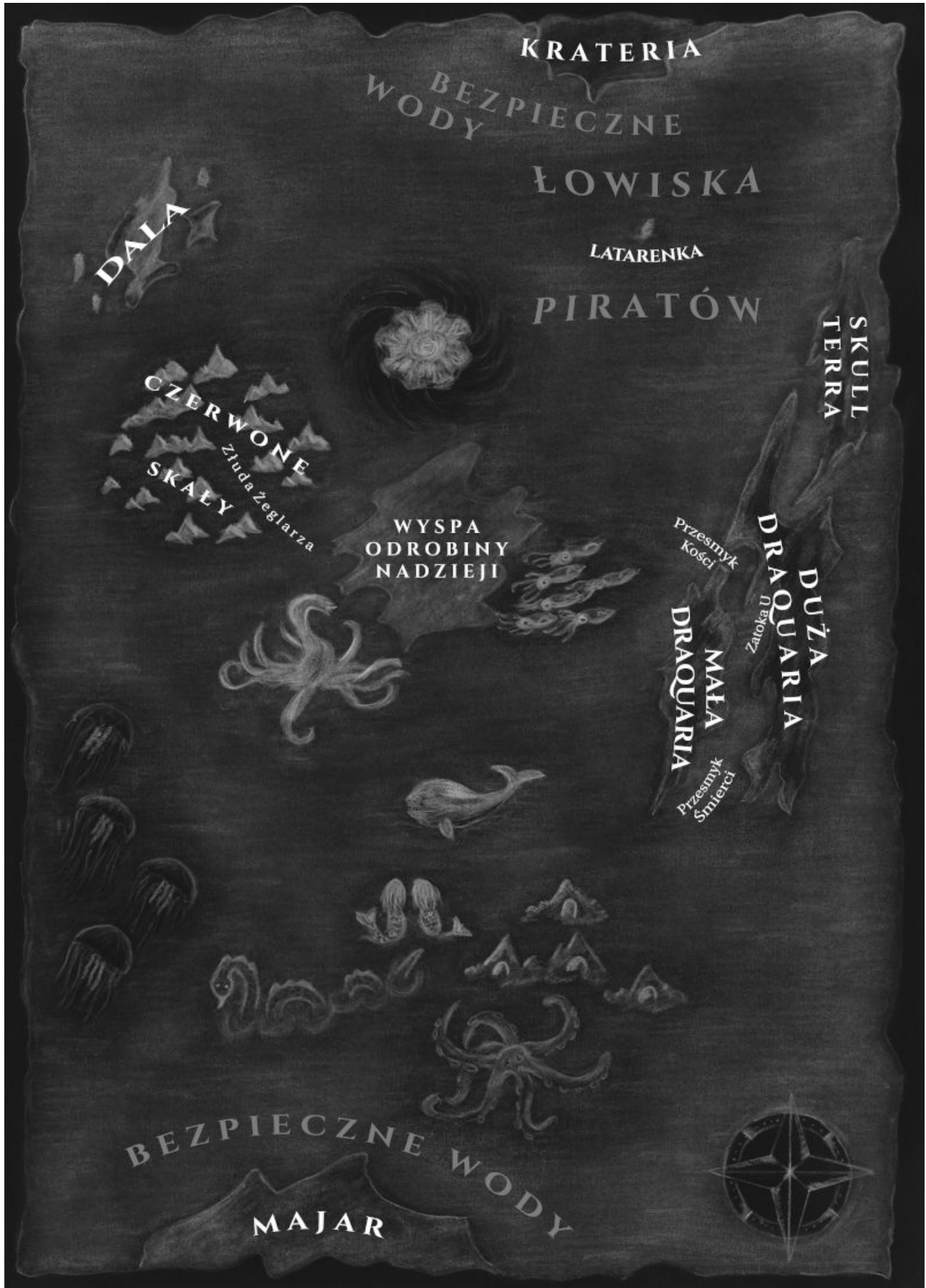
DUŻA
DRAQUARIA

Zatoka U

MAŁA
DRAQUARIA

Przesmyk
Śmierci

BEZPIECZNE WODY
MAJAR



*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 1
w Majarze*

Gwiazdy, które zawsze mnie prowadziłyście,

Czy, jeśli to nie tutaj kończy się droga, wskażecie mi, co dalej? Jeśli moje sny rozpadną się na kawałki, złożycie je z powrotem? Czy będziecie tylko patrzeć, odległe i jasne, jak umiera nadzieja wraz ze sobą zabierając pragnienia i uśmiercając marzenia?

Jeszcze nigdy mnie nie zawiodłyście.

Nie zawiedźcie mnie i teraz.

James Crepusculum

ROZDZIAŁ PIERWSZY

POWRÓT

Dla Majaru czas chyba się zatrzymał, bo miasto portowe wydaje się być identyczne jak w chwili, gdy opuszczałem je pięć lat temu. Nawet słońce, które żegnało nas zachodząc, i tym razem z wolna spuszcza się po niebie.

Pierwsze oznaki zmian dostrzegam, gdy dobijamy wreszcie do brzegu. Przywykłem już, że za każdym razem, gdy mój statek pojawiał się w majarskim porcie, oczekiwała na niego grupa młodych, roześmianych dziewcząt, oblewających się rumieńcami za każdym razem, ilekroć przypadkowo zdarzyło mi się spojrzeć w ich stronę. Zawsze z ogromnym trudem udawało mi się przedrzeć przez ich, zdaje się niekończące, zastępy.

Dziś port jest pusty.

Spowodowane jest to niewątpliwie opóźnieniem, które nastąpiło tylko i wyłącznie z mojej winy. W Majarze nikt nie ma pojęcia, że zjawiamy się tego wieczoru. Nie przypłynęliśmy terminowo, ale winę za to może zrzucają na niesprzyjające warunki na morzu, choć powinni wiedzieć, że na południowych wodach nie może zdarzyć się nic, co zatrzymałoby okręt aż na dwa tygodnie.

Nie wiem czemu sądziłem, że może Reyna będzie oczekiwać mnie w porcie, oparta o najbliższy budynek lub przechadzająca się po nadbrzeżu. Z pewnością ona również nie miała bladego pojęcia, że zjawię się akurat końcem tego dnia. Może i tak nie przyszłaby do portu, tak jak nie zjawiła się, gdy szykowałem się do odpłynięcia.

Jestem podirytowany i zniecierpliwiony, gdy w końcu pojawiają się pracownicy portu i w mozolnym tempie rozładowują statek. Choć staram się na

nich nie wrzeszczyć, denerwuje mnie każda chwila zwłoki i żałuję, że nie mogę rzucić konieczności nadzorowania rozładunku na kogokolwiek innego. Gdy kończymy pracę, jest już niemal środek nocy.

Zgodnie z obowiązkiem, winienem powiadomić urząd marynistyczny o powrocie. Zakończyć zlecenie i cieszyć się rokiem wolności, jaki mi przysługuje, jednak ja myślami jestem zupełnie gdzie indziej.

Ostatnie pięć lat zlewa się w jedno marzenie o Reynie.

Zdaje się, że to marzenie o niemożliwym.

Mam nadzieję, że teraz wszystko okaże się prostsze: jeśli, zgodnie z planem, ukończyła Akademię Morską, może teraz nająć się na moim okręcie. W odpowiednim momencie, może za rok, może nieco wcześniej, zamierzam poprosić ją o rękę. W Port–Majar żaden z urzędników nie przymknie oka na dzielące nas różnice, nawet mimo tego, że jestem kapitanem króla, ale możemy przecież udać się do któregoś z sąsiednich krajów, by pobrać się, a potem wrócić do Majaru.

Nie sędzę, by wielu pochwaliło mnie za tak śmiałe plany, podczas gdy łączy nas jak dotąd kilka sporadycznych uścisków i jeden pocałunek. Ale ja mam nadzieję i plan. Nie uwzględniłem w nim tylko jednego: że wystarczy, by zabrakło jednej cegły, a cała wieża moich fantazji się rozsypie. Najgorsze jednak, gdy cegła, której brakuje, jest podstawą całej budowli.

Ale teraz, puki jeszcze tego nie wiem, ruszam z radosnym oczekiwaniem w sercu i łagodnym ciężarem pierścionka w kieszeni.

Przekłęci marynarze, którzy wlekli się tak bardzo z rozładunkiem. Teraz jest już za późno, by udać się do jej domu i niepokoić jej rodzinę, nie mogę także udać się do urzędu, bo dawno go zamknęli. Muszę czekać do rana, a, że czekałem całe pięć lat, każda kolejna sekunda zwłoki męczy mnie coraz bardziej.

Zwykle udawałem się do „Perłowej Latarni”, nadbrzeżnej gospody, obsługującej bogatszych marynarzy, i wynajmowałem tam pokój, puki nie otrzymałem kolejnego wezwania od króla, ale dziś nie mam ochoty z nikim rozmawiać. Idę prosto w stronę akademii. Po otrzymaniu tytułu królewskiego

kapitana, otrzymałem również na własność mieszkanie w jej pobliżu. Niemal z niego nie korzystałem, każdą możliwą chwilę woląc spędzać na morzu, ale może w końcu przyszedł czas, by na coś się przydało. Potrzebuję miejsca w którym mógłbym mieszkać przez cały następny rok.

Gdy wchodzę do środka, nie mogę odpędzić się od kurzu i pyłu. Wnętrze jest niemal puste: kilka szafek i stół z trzema krzesłami w jednym pomieszczeniu oraz łóżko i komoda w drugim. Powinienem tam posprzątać i obiecuję sobie zająć się tym następnego dnia. Doprowadzam jedynie sypialnię do względnego porządku – tyle tylko, bym mógł się tam przespać – i padam na łóżko.

Choć staram się jak mogę, nie jestem w stanie zmrużyć oka. Słyszę jak zegar po raz czwarty wybija pełną godzinę i, w chwili gdy do mojego pokoju wpadają pierwsze promienie słońca, gwałtownie zrywam się z łóżka, zarzucam płaszcz i wychodzę na zewnątrz.

Miasto wciąż śpi, na ulicach nie ma żywej duszy. Mimo to, świadom, że jeszcze chwila zwłoki i zwariuję, ruszam do dzielnicy w pobliżu nabrzeża, gdzie mieszka dawny królewski medyk wraz z żoną i córką.

Idąc znajomymi ulicami do domu Reyny, przypomina mi się, jak pięć lat temu próbowałem go odszukać. Nigdy nie spytałem jej, gdzie dokładnie mieszka, więc błądziłem, pytając ludzi o drogę, jednak jej imię niczego im nie mówiło. W końcu dopadłem jakiegoś staruszka i zdecydowałem się zmienić taktykę.

– Gdybym, teoretycznie, potrzebował usług wiedźmy, dokąd by mnie pan skierował? – spytałem.

– Do diabła. – oznajmił mężczyzna i splunął mi pod nogi. – Ale, jeśli tak ci pilno do piekieł, to wiedźmę znajdziesz w domu dawnych Hambletonów. Skręcisz na prawo i piąty dom po lewej. Ostatni na ulicy.

Podziękowałem mu skinieniem, zatrzymałem się jednak jeszcze na moment.

– Dlaczego „dawnych” Hambletonów? – spytałem. Może to jednak był fałszywy trop. Reyna nie miała nazwiska.

– Kto para się magią, nie jest godzien żadnych przywilejów. Król odebrał całej rodzinie wszelkie prawa wynikające z pozycji, jaką zajmował mąż czarownicy,

w tym także odebrał im nazwisko.

Wiedziałem, że ojciec Reyny był kiedyś nadwornym medykiem, ale utracił tę posadę, gdy na jaw wyszło, że jego żona rzekomo jest wiedźmą, nie wiedziałem jednak, że Reyna miała kiedyś nazwisko. Nigdy o tym nie wspominała. Możliwe, że była tak drażliwa na tym punkcie nie dla tego, że sądziła, iż brak nazwiska czyni ją gorszą, a dlatego, że zostało jej odebrane.

Choć byłem w jej domu tylko jeden, jedyny raz, doskonale pamiętam jak tam trafić. Ostatni budynek na ulicy, przed którym rosną dwa drzewka pomarańczowe.

Czekałem na to całe pięć lat. Biorę głęboki wdech i pukam do drzwi.

Otwiera mi matka Reyny, zielarka. Chyba w pierwszej chwili mnie nie rozpoznaje, bo marszczy brwi, zastanawiając się, czego mógłby chcieć od niej kapitan okrętu, który na pierwszy rzut oka wcale nie wygląda na chorego. Po chwili jednak jej oczy otwierają się szerzej w wyrazie zaskoczenia.

– Kapitan Crepusculum? – pyta, a z głębi domu dobiega nas odgłos skrzypienia, jakby ktoś gwałtownie zerwał się z fotela i już po chwili dołącza do nas ojciec Reyny. Mimowolnie przypominam sobie, że gdy byłem tu ostatnim razem, uderzył mnie w twarz.

Dla nich czas się nie zatrzymał: matka Reyny ma twarz poznaczoną zmarszczkami, a ojciec włosy zupełnie siwe. Przez chwilę boję się ponownego spotkania z Reyną, świadom, że i ona pewnie się zmieniła.

– Czy zastałem Reynę? – pytam.

Jej rodzice wymieniają znaczące spojrzenia. Cóż, może dla nich znaczące, bo dla mnie całkowicie niejasne. Zielarka wygląda na nieco zmartwioną, medyk na zmieszanego. Analizuję w głowie, co może być tego przyczyną i układam prawdopodobne opcje w kolejności od najmniej niepokojącej, do takiej, o której nawet nie chcę myśleć.

Może po prostu śpi. Z jakiś przyczyn zarwała wczorajszą noc, a teraz odsypia i jej rodzice nie chcą jej budzić, nie wiedzą jednak jak powiedzieć to kapitanowi, który chciał się z nią zobaczyć po pięciu latach nieobecności.

Może nie ma jej w domu. Jej ojciec mógł przyjąć nocą jakiegoś pacjenta, a ona teraz, bladym świtem, gnała do niego z lekarstwami. Może na drugi koniec miasta i nie wróci tak prędko.

Może... może w ciągu tych pięciu lat poznała kogoś w akademii. Może jest już zaręczona.

Dwie najgorsze możliwości, jakie przychodzą mi do głowy są takie, że może jest już nawet po ślubie. Albo, że nie żyje.

– Reyny... Reyny nie ma. – mówi wreszcie jej ojciec.

Marszczę brwi i otwieram już usta, by zapytać, jak to, jednocześnie skreślając z listy pierwszą możliwość, jednak zielarka uprzedza mnie, spiesząc z wyjaśnieniami.

– Reyna ukończyła Akademię Morską, kupiła statek i odpłynęła. Gdy opuszczała dom, mówiła, że może jej nie być przez długi czas, a może i nie wróci w ogóle. Ale odeszła, bo nie ma na świecie prawa, które pozwoliłoby mi zatrzymać dziewczynę goniącą za marzeniami.

Czuję się, jakby ktoś kopnął mnie w brzuch i to diabelnie mocno.

Kupiła statek.

K u p i ł a statek.

Na jaką cholere cieśla okrętowy miałby kupować statek?

Gdy pierwszy szok mija, zaczynam rozważać, czy może nie domyśliła się mojego planu, obejmującego kupno własnego okrętu i najęcie jej, jako członka załogi. Mimo wszystko, mogła jednak na mnie zaczekać.

Ale... wypłynęła? To nie zgadza mi się z niczym. Skoro kupiła statek, po co najmowała się na innym? Pilnie potrzebowała pieniędzy? To nie ma dla mnie żadnego sensu, chyba jej rodzinie nie wiodło się aż tak źle, by była do tego zmuszona.

– Mógłbym wiedzieć, kiedy wypłynęła? – pytam, choć, nawet jeśli mi tego nie powiedzą, i tak się dowiem. Tym razem wizyta w urzędzie marynistycznym wyraźnie wiązać się będzie z czymś więcej, niż irytującą koniecznością.

– Blisko rok temu. – stwierdza zielarka.

– A... Joy? – zastanawiam się, łapiąc ostatniej nadziei, która jeszcze trzyma mnie w tych drzwiach.

– Joy bardzo upierał się, by z nią płynąć. Nie mógł wstąpić do akademii, ale Reyna znalazła jakiś sposób, aby mógł nająć się na jej okręcie.

Jej okręcie. Oczywiście. To brzmi niemal, jakby Reyna była kapitanem.

Kiwam głową, dziękuję za poświęcony czas, przepraszam za najście o tak wczesnej porze i zawracam. Zatrzymuje mnie jednak matka Reyny.

– Chcielibyśmy panu podziękować. – mówi. – W imieniu swoim i Reyny. Wiele pan dla niej zrobił. W życiu nie sądziliśmy, że Akademia Morska może być tym, co ją uszczęśliwi, nigdy też nie byłoby nas na to stać, gdyby nie udało się panu uzyskać jej wynagrodzenia za podróż po Bestialskim Morzu. A udzielenie jej pańskiego nazwiska i pieniędzy na statek... nigdy nie będziemy w stanie się za to odwdzięczyć.

Przyjmuję podziękowania z uśmiechem, ale ten uśmiech jest sztuczny i boję się, że w każdej chwili może się rozpląnąć, ukazując te prawdziwe emocje, które właśnie mną targają.

Może powinienem winić siebie, bo nie zostawiłem Reynie żadnej jasnej wskazówki, co do tego, że pieniądze, które przekazano jej na moje polecenie po ukończeniu przez nią akademii ma zatrzymać, bo owszem, były na statek, ale ten, który miał być naszym wspólnym, a ja miałem być jego kapitanem.

Miasteczko portowe w końcu budzi się do życia. Zgodnie z planem, teraz powinienem z lekkim sercem udać się do biura marynistycznego, zatem właśnie to robię. Choć moje serce wcale nie jest lekkie.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 2
w Majorze*

Gwiazdy,

*Będę szukał wśród was drogi, puki nie przeczeszę całego świata wzdłuż
i wszerz.*

*Okrutnym jest to uczucie, które mnie opętało i okrutnym jest ten świat, że nie
daje mi wytchnienia.*

*Ale wiedźcie, że nawet jeśli nie zlitujecie się nade mną, nie zamierzam się
poddawać.*

James Crepusculum

ROZDZIAŁ DRUGI

CZŁOWIEK, KTÓRY WIDZIAŁ „ARACHNE”

Będąc kapitanem, wolno mi oglądać rzeczy niedostępne dla zwykłych mieszczan, dlatego nikt nie robi mi problemów, gdy zaraz po załatwieniu wszelkich formalności związanych z zakończeniem pracy na południu, proszę o wgląd do rejestru statków sprzed mniej więcej roku.

– Kogo szukamy? – pyta urzędnik, starszy, znużony życiem jegomość, pochylając się nad księgą i poprawiając okulary na nosie.

– Kapitan Reyny. – mówię. Może moje przypuszczenia są błędne i Reyna wcale nie jest kapitanem, ale, puki co, wszystko na to wskazuje. – Niestety, nie wiem jakie nosi nazwisko. Możliwe, że Hambleton, ale tak naprawdę, to nie mam pojęcia.

Założenie, że wróciła do dawnego nazwiska, to strzał w ciemno. Równie dobrze mogła wymyślić sobie jakiegokolwiek, choć żywię ogromną nadzieję, że nie tak pretensjonalne jak kapitan Daniel Moondrowner.

– Kapitan Reyna... – powtarza i jeszcze bardziej pochyla się nad księgą w zamyśleniu. W końcu, po chwili dłużącej się w nieskończoność, ponownie się odzywa. – Jest. Kapitan Reyna pod nazwiskiem Crepusculum.

Marszczę brwi, nie rozumiejąc. Podejrzewałem, że jeśli faktycznie została kapitanem i przyjęła nazwisko, wróci do tego, które jej odebrano. Owszem, udzieliłem Reynie swojego, aby ułatwić jej naukę w akademii. Pod nazwiskiem protegującego ją kapitana powinna była być traktowana jak ktoś lepszy, niż prosta mieszcanka, liczyłem też na to, że wówczas w niepamięć pójdą plotki o córce

czarownicy, jednak po ukończeniu nauki mogła z niego zrezygnować, gdyż otrzymałaby własne nazwisko.

Tymczasem Reyna zdecydowała się pozostać przy pożyczaniu mojego i pozostaniu na granicy pomiędzy mieszczanką, a kimś wyższego stanu. Nie jestem pewien, co powinienem o tym myśleć, ale mój egocentryzm każe mi się cieszyć z takiego obrotu spraw.

– Wypłynęła na „Nadmorskiej Piosnce” blisko rok temu. – oznajmia urzędnik, wskazując najbardziej zamazany fragment rejestru.

Cóż, kapitan Moondrowner może się cieszyć, że jego „Rosamunda” nie była najgorszą nazwą statku, wymyśloną przez króla.

– Czemu informacja o tym jest zamazana? – pytam podejrzliwie.

– Kapitan Reyna... – urzędnik odzywa się niepewnie. – bardzo upierała się, by zmienić nazwę okrętu na „Bystrego Zefira”, bo okręt należał do niej, jednak król ma prawo nadawać nazwy wszystkim okrętom, które dla niego wypływają, zatem nic nie dało się zrobić. Ale w nocy, gdy jej okręt wypływał, mieliśmy włamanie. Bogowie niech będą błogosławieni, bo nic nie zginęło, jednak popisano rejestr. Ktoś zmienił nazwę statku na „Bystrego Zefira”.

Ciężko mi uwierzyć w to, że Reyna miałaby włamać się do urzędu, ale z drugiej strony, nigdy nie miałem pojęcia, czego można się po niej spodziewać.

– Co do kapitan Reyny – wracam do tematu. – to dokąd popłynęła?

– Statkiem towarowym do Kraterii. – wyjaśnia urzędnik. – I jak dotąd nie wróciła.



Zakładałem, że skoro Reyna zdecydowała się na służbę u króla zaraz po ukończeniu akademii, przyjęła jakieś proste zlecenie, by udowodnić, że nadaje się na kapitana, choć fakt, że od razu pozwolono jej dowodzić okrętem i tak był dość

zaskakujący. Coś łatwego i szybkiego, co pozwoliłoby jej wrócić do Majaru jeszcze prze moim powrotem. Ale tego... tego się nie spodziewałem.

Droga z Majaru do Kraterii usiana jest bestiami. Reyna już płynęła przez Bestialskie Morze i nie mieści mi się w głowie, że dobrowolnie zdecydowałaby się pokonać tę trasę ponownie.

Podróż do Kraterii trwa niewiele ponad trzy tygodnie. Wyprawa nie powinna była zająć jej więcej niż dwa miesiące. Jeśli nie wróciła...

Jedynym wyjaśnieniem pozostawały potwory. To z pewnością dlatego pozwolono niedoświadczonej absolwentce akademii od razu przejąć dowodzenie nad okrętem. Nigdy nie było pewności, czy statek wysłany na Bestialskie Morze w ogóle powróci.

Zatopiony w myślach wchodzę do „Pijanej Mewy”. To jedna z tych tawern, których wolałbym nie odwiedzać, ale wiedzie mnie tam konieczność. To miejsce, w którym mogę zdobyć jakieś informacje od prostych marynarzy. Może któryś z nich słyszał cokolwiek o „Nadmorskiej Piosnce”. Jeśli jednak nikt niczego nie wie, to najwyżej wyśmieją mnie, gdy usłyszą tak absurdalną nazwę statku.

To właśnie w „Pijanej Mewie” po raz pierwszy słyszę o „Arachne”.

Im więcej dowiaduję się o grasujących na Bestialskim Morzu piratach, tym jaśniejszy staje się w mojej głowie obraz tego, co mogło przytrafić się Reynie.

Kilkoro marynarzy z którymi rozmawiałem, wskazuje mi czarnowłosego człowieka siedzącego pod oknem w kącie karczmy, wpatzonego w dno swojego kufła. Wygląda jakby nie sypiał od miesięcy, a brzytwy nie widział pewnie jeszcze dłużej. Jego włosy są rzadkie i pozlepiane, nie jestem nawet w stanie stwierdzić, czy jest w średnim wieku, czy może całkowicie stary. Ale wiem, że mogę uzyskać od niego sporo informacji za parę groszy i kiepski trunek. Zresztą, to był człowiek, który ponoć na własne oczy widział „Arachne”.

– Co możesz mi powiedzieć o tym pirackim statku? – pytam, siadając naprzeciw niego.

– Niewiele więcej, niż sam wiesz. To, że byłem świadkiem tego, jak napadają mój okręt, nie czyni ze mnie żadnego eksperta.

– Więc powiedz mi, co wiesz. Ja mam o tej całej sprawie bardzo mgliste pojęcie.

– Nic nie słyszałeś? – marynarz wytrzeszcza oczy. – To gdzieś ty był przez ostatnie półtora roku?

– Za granicą. – rzucam wymijająco. – Tam sława kapitan Arachne jeszcze nie dotarła.

– Ta kobieta to bestia! Potwór! – oznajmia mój rozmówca z obłędem w oczach.

– Jest taka odrażająca? – pytam, marszcząc brwi.

– Przerażająca. – mówi, a jego oczy rozszerzają się tak bardzo, że przez moment mam wrażenie, iż mężczyzna nie jest przy zdrowych zmysłach. – To potwór! Dziewiąty potwór na Bestialskim Morzu! Najgorszy z nich wszystkich! Pozostałe... przynajmniej wiemy, czego chcą. Nakarmimy je i wykupimy sobie drogę. Ale nie ona. Jej nie wystarczy oddać niewolnika. Ona zabiera ich wszystkich, a czasem i część załogi. Ba, nawet i same statki! Pewnie potrzebuje tylu ludzi do oddania na żer bestiom, skoro cały czas przebywa na morzu i za każdym razem jest w innym miejscu. Musi mieć dla nich ogromne ilości niewolników.

– I nigdy nie wiadomo, gdzie się znajduje? – dopytuję, wpatrując się w niego z łokciami opartymi na stole i twarzą wspartą na złączonych dłoniach. – Tyle statków już napadła. Nie ma w tym jakiegoś wzoru?

– Nie! Jednego dnia jest u wybrzeży Kraterii, a drugiego ktoś mówi, że widział „Arachne” przy Syrenich Skałach...

– Niemożliwe. – zauważam sceptycznie. – Żaden statek nie porusza się tak szybko.

– Żaden, prócz „Arachne”.

Świadom, że nie wyciągnę od niego już żadnej pożytecznej informacji, zostawiam mu na stole garść lazurowych jednostek i wychodzę na zewnątrz.

Uznałbym go za szaleńca, gdyby jego zeznania nie pokrywały się z tym, co zasłyszałem wcześniej od innych marynarzy. Wszyscy zgodnie twierdzili, że na

Bestialskim Morzu pojawił się piracki statek, który atakuje i plądruje wszystko, co tamtędy przepływa.

Próbuję dopasować to do moich domniemań, co do losu Reyny. Gdy wypływała, piraci grasowali na morzu stosunkowo od niedawna, mogła zatem jeszcze o nich nie wiedzieć. Nie chce mi się wierzyć, że zdecydowała się na taką wyprawę ze świadomością nie tylko potworów, ale i tej całej „Arachne”. No chyba, że ta wariatka wpadła na jakiś szaleńczy pomysł, który wiązał się z tak samobójczą wyprawą... właściwie, po niej można było się wszystkiego spodziewać.

Wmawiam sobie, że o statku usłyszała dopiero w Port-Kraterii, gdy ataki stały się częstsze, a sprawa głośniejsza. Może wtedy zdecydowała, że droga powrotna jest zbyt niebezpieczna i została w Kraterii. Nikt nie jest jednak w stanie potwierdzić jej losów, bo cały trop urywa się w chwili, gdy wypłynęła w morze rok temu.

Cały ten czas na wpół świadomie idę w stronę portu.

Nie wiem czemu przez ostatnie pięć lat nie dopuszczałem do siebie żadnej innej możliwości, niż ta, o której marzyłem. Wszystko wydawało się proste i jasne: wracam do Majaru, idę do Reyny i jesteśmy razem szczęśliwi już na zawsze. Nawet przez chwilę nie rozważałem, że coś mogłoby pójść nie po mojej myśli.

Teraz muszę przyznać przed samym sobą, że byłem idiotą.

Jednak, już w chwili, gdy usłyszałem, że ślad po Reynie zaginął, powziąłem postanowienie, że dowiem się, co ją spotkało. Nawet jeśli zginęła gdzieś na morzu, dowiem się tego. Jeśli porwali ją piraci, ocalę ją. A jeśli siedzi przez ten cały czas bezpieczna w Kraterii, chyba rozpłaczę się ze szczęścia.

W porcie pytam o datę wypłynięcia najbliższego okrętu pasażerskiego do Kraterii i klnę, dowiedziawszy się, że odbije od brzegu jutrzejszego wieczora. Nie ma możliwości, by znajdowało się na nim jeszcze choć jedno wolne miejsce.

Ale pracownik portu zaskakuje mnie, pytając, czy chcę płynąć, bo wciąż mają miejsce dla jeszcze jednego pasażera.

Opłacam swoją podróż i idę po kufry, szczęśliwy, że nie zdążyłem ich jeszcze rozpakować.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 3
na Bestialskim Morzu*

*Gwiazdy świadkami, że każdego dnia wierzyłem w odnalezienie Reyny żywej.
Gwiazdy świadkami mojego bólu i mojego cierpienia.*

James Crepusculum

ROZDZIAŁ TRZECI

POSZUKIWANIA

Dziwnie czuję się płynąc statkiem, na którym nie jestem kapitanem. Z prostą kurtką zamiast płaszcza i bez obowiązków.

Staram się stronić od innych pasażerów w obawie przed rozpoznaniem. Nie chcę, by myśleli, że wraz z nimi płynie legendarny kapitan Crepusculum. Puki badam sprawę zaginięcia Reyny lepiej, by nikt nie odgadł z kim naprawdę ma do czynienia. Teraz jestem tylko jednym z pasażerów. Choć szacunek i uznanie to to, do czego dążyłem postanawiając zostać kapitanem, uważam chwilowe ukrycie swojej tożsamości za konieczne.

Jedyny człowiek, od którego nie stronię, zagadnął mnie drugiego dnia rejsu. Jest mieszczaninem, w miarę bogatym kupcem i, choć zdawało się, że doskonale wie kim jestem, od początku traktował mnie dość zwyczajnie.

– Kapitan Crepusculum? – odezwał się na tyle cicho, by nie wzbudziło to zainteresowania innych pasażerów. Skinąłem głową. Cóż, i tak już mnie przejrzał, nie było więc sensu zaprzeczać. – A zatem to pan stoi za odebraniem mi ostatniego miejsca na tym statku? – spytał, jednak w jego głosie nie słyszałem urazy, jedynie rozbawienie.

– Cóż, przykro mi, że tak wyszło. Ponaglały mnie pilne sprawy. To i tak cud, że zostało jedno wolne miejsce i to dzień przed rejsem.

– Zdaje się, że pewna markiza z niego zrezygnowała, chcąc pozostać w Majarze na ślubie swojej siostrzenicy. Szkoda tylko, że daremnie, bo ślub wcale się nie odbędzie.

– Czemuż to? – spytałem zaciekawiony.

– Bo ta siostrzenica właśnie ucieka ze mną do Kraterii. – mój rozmówca uśmiechnął się pod nosem.

– Dlaczego, w takim razie, pan mi o tym mówi? – zdziwiłem się. Może to i nie mój statek, ale jestem kapitanem, a on właśnie przyznał się do pomocy w ucieczce jakiejś arystokratki.

– Bo wydaje mi się, że pana napędza to samo, co i mnie. To samo, co kazało mi działać, gdy ta biedna dziewczyna przyszła do mnie, błagając, bym pomógł jej w ucieczce. Pan też goni za miłością, nie mam racji? I nie chce pan, by ktokolwiek o tym wiedział, inaczej wykorzystywałby pan wpływy, jakie zapewnia panu pańska pozycja. Stara się pan nie rzucać w oczy, ale szuka pan kogoś. Jakiejś kobiety. Widzę to gołym okiem, ale tylko dlatego, że sam to rozumiem.

Skinałem głową, nie chciałem jednak ciągnąć tematu. Wyglądał dość pospolicie i, choć wówczas nie wiedziałem jeszcze kim jest, nie sądziłem, by miał jakiegokolwiek przydatne mi informacje.

– Skoro zabrałem panu ostatnie miejsce... jak dostał się pan na ten statek? – spytałem zaciekawiony, zmieniając przy okazji temat.

– Otrzymałem drobne wsparcie od zupełnie nieoczekiwanej osoby. Natknąłem się na nią w urzędzie marynistycznym, gdy wychodziłem sfrustrowany, że nie uda nam się uciec. Załatwiła nam miejsce na tym statku, choć przyznaję, że nieco nielegalnie. Miała jednak blisko siebie sznurki, za które trzeba było pociągnąć. Pan też wygląda na sfrustrowanego. Sądzę, że gdy będzie pan kiedyś w potrzebie, może i panu ona pomoże.

– Kto taki? – dopytywałem zaintrygowany. Jeśli w Majarze była osoba, która mogła mi pomóc, to dowiedziałem się o niej nieco poniewczasie. Ktoś, kto jest w stanie załatwić nielegalnie podróż na statku króla... nawet jeśli nie wiedziałaby nic przydatnego, mogłaby zdobyć informacje, a ja gotów byłbym zapłacić za nie nawet wygórowaną cenę.

– Bezoka Królowna. – powiedział mój rozmówca, uśmiechając się.

Zmarszczyłem brwi. Nic mi ten pseudonim nie mówił.

– A kim ona jest? – dociekałem.

– To narzeczona naszego kapitana. – wyjaśnił. – Była niewolnicą na jednym ze statków pod jego dowództwem, ale nie mogę opowiedzieć panu tej historii. Z moich ust zabrzmiał irracjonalnie i niedorzecznie. Ona sama powinna to zrobić, jeśli kiedyś przyjdzie wam się spotkać.

– Nie jestem pewien, czy przyda mi się pomoc w Majarze. – przyznałem. – Puki co, poszukiwania pchają mnie do Kraterii, a jeśli tam nic nie znajdę, sam nie wiem, co wówczas zrobię.

Wiem jednak, że tym razem powinienem mieć jakiś plan awaryjny albo i kilka. Istnieje naprawdę wielkie prawdopodobieństwo, że Reyna nigdy nie dopłynęła do Kraterii, a ja muszę być gotów, by przyjąć tę informację i wiedzieć, co robić dalej.

Jeśli piraci dopadli ją na morzu, muszę wykombinować, jak się do nich dostać.



Piątego dnia rejsu czeka nas spotkanie z krakenem.

Nie jestem tu kapitanem i nie spoczywa na mnie obowiązek wyprowadzenia niewolników, którzy zostaną skazani na pożarcie przez potwora. Jestem zwykłym pasażerem, a oni dzielą się na tych, którzy złęknieni umykają pod pokład i tych, którzy rządni krwi i rozrywki obserwują wszystko, niekiedy aż wychylając się za burzę.

Ja nie wpasowuję się do żadnej z tych kategorii. Nie chcę ani patrzeć, ani uciekać. Jestem wdzięczny, że przynajmniej tym razem krew niewolników nie będzie plamiła moich rąk. Gdy wracaliśmy z Kraterii ostatnim razem z kapitanem Moondrownerem, każde spotkanie z potworami spędzałem pod pokładem wraz z Reyną.

Stoję oparty o nadburcie i zatapiam się w myślach, puki nie odciąga mnie stamtąd czyjaś dłoń. Graham – mój znajomy kupiec, porywacz i jedyny towarzysz, jakiego mam na pokładzie „Pięknej Isabelli”, choć muszę przyznać, że ten statek zupełnie nie zasługuje na taką nazwę.

– Płynąłem już po tych wodach. – oznajmiam, gdy siadamy razem w mesie. – Sam musiałem skazywać niewolników na śmierć.

– Taki los królewskiego kapitana. – Graham wzrusza ramionami.

Dla niego to nic takiego, ja jednak pamiętam oburzenie na twarzy Reyny, gdy nazywała mnie potworem i mordercą.

Siedząc pod pokładem przy okazji mijania każdego z potworów na naszej trasie – choć, na szczęście, jest ich zaledwie trzy – mam okazję poznać lady Adeline, która okazuje się być wyjątkowo uprzejmą, miłą i dość przyjazną, choć nieco przerażoną osobą. Jej lęk nie wiąże się jednak z potworami, a z wykryciem, bo prócz kapitana, Grahama i mnie, nikt nie wie, że „Piękna Isabella” ma dodatkowego pasażera. Jest zdeterminowana, by rozpocząć nowe życie z dala od tego, które przyszykowała jej rodzina. Krateria wydaje się być miejscem na to wprost idealnym.

Dotrzymujemy jej towarzystwa, gdy tylko możemy, choć zdaje się, że samotność jej nie przeszkadza. Za każdym razem, gdy się widzimy, prosi mnie o opowieści, w czym do bólu przypomina mi krateriańską księżniczkę Rohesię, a to ciągnie za sobą wspomnienie Reyny. Różnica polega na tym, że opowieści, o które mnie prosi, to nie te z moich podróży, a właśnie te o Reynie.

– Mam ogromną nadzieję, że nic jej nie jest. – mówi pewnego dnia, gdy siedzimy w trójkę w jej kajucie, podczas gdy tuż obok szaleje wygłodniały wąż morski. – Szkoda, że nie będę mogła jej poznać, z pańskich opowieści wynika, że to niezwykła kobieta.

Nagle statkiem zarzuca, a potem jeszcze długą chwilę wszystko wokół niebezpiecznie się kołysze.

– Uderzył w nas? – Graham marszczy brwi.

– Nie. Odpływa. – zapewniam, podczas gdy lady Adelina odsłania niepewnie bułaj, co zasugerowaliśmy jej robić jeszcze przy krakenie.

Zgodnie z moimi zapewnieniami, węża już nie ma.

– Bogowie opuścili te wody. – mówi, wpatrując się w fale czerwone od krwi.
– Może i my powinniśmy.



Są chwile, gdy odnoszę wrażenie, że to co robię, jest całkowicie bezcelowe.

Wypływanie w morze zawsze wiązało się z marzeniami. Gdy wypłynąłem po raz pierwszy, marzyłem o wolności, byciu gdzieś poza czasem i przestrzenią, gdzie wokół byłoby tylko niebo i woda. Teraz wypłynąłem, by odnaleźć Reynę.

Ale jakie marzenia kierowały nią? Jakie by nie były, ja się w nich nie znajdowałem.

Może odnalazła cel w życiu.

Może już mnie nie potrzebowała.

Może zwyczajnie zapomniała.

Żałuję, że w pośpiechu zdecydowałem się płynąć na okręcie pasażerskim, bo teraz popłyniemy na północny wschód, by wyminąć wieloryba i popłynąć dalej, bezpieczniejszym szlakiem w pobliżu Dali, rezygnując tym samym z zahaczenia o Wyspę Odrobiny Nadziei, gdzie mógłbym uzyskać informacje, czy Reyna w ogóle do niej dopłynęła. Dawno już nie podejmowałem decyzji tak pochopnie i pod wpływem impulsu.

Jeśli Reyna nie zjawiała się w Kraterii, powrót do Majaru okrętem towarowym da mi sposobność, by odwiedzić oba krańce wyspy.

O ile po drodze nie zaatakują nas piraci.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 1
w Kraterii*

Gwiazdy, które śledzicie me poczynania każdej nocy.

Jeśli błądzę, udowodnijcie mi to.

Jeśli idę w dobrą stronę, dajcie mi jakiś znak.

Ta droga się kończy. I jeśli skończy się, jak się zaczęła, nie wiem czy będę w stanie jeszcze kiedykolwiek na was spojrzeć.

James Crepusculum

ROZDZIAŁ CZWARTY

NA POKŁADZIE „WICHRU WOLNOŚCI”

W Kraterii jak zwykle pada deszcz.

Gdy staję wreszcie na stałym lądzie, zwracam się do pracowników portu, by zajęli się moimi bagażami i jak szalencie biegnę do ambasady. Chwilę zajmuje, zanim w końcu otrzymuję zgodę na wgląd do krateriańskich rejestrów, ale gdy tylko dostaję ją do rąk, pędzę do urzędu marynistycznego.

Tamtejszy urzędnik kieruje mnie do archiwum, a kolejny – starszy archiwista w okularach o wąskich oprawkach, udowadniający moją teorię, że wszyscy pracownicy biur marynistycznych noszą okulary – pomaga mi w odnalezieniu książki z zeszłego roku.

Po wizycie w urzędzie zjeżdżam krateriańskie miasto portowe wzdłuż i wszerz, szukając jakichkolwiek śladów Reyny. Szukam pomocy nawet u samej księżniczki, ale wówczas dochodzą mnie tragiczne wieści o śmierci zarówno jej, jak i jej ojca. Jedyne, co znajduję, to wpis w tym rejestrze sprzed roku, mówiący o statku towarowym, który nie dopłynął na czas, a po miesiącu został opatrzony pieczętą z napisem „stracony”.

Ale dla mnie wcale nie oznacza to, że ten okręt jest stracony. Dla mnie oznacza to jedynie, że nigdy nie dopłynął do Kraterii. Usilnie trzymam się nadziei, że został napadnięty przez piratów. Lepszy piraci niż potwory, z nimi przynajmniej można się dogadać, może zażądają okupu, ale gotów jestem go zapłacić. Wynagrodzenie królewskiego kapitana nie jest małe, a ja mógłbym poświęcić wszystko, czego dorobiłem się przez całą służbę, byleby odzyskać Reynę. Nie chcę nawet myśleć,

jak z jej perspektywy musiałyby wyglądać porwanie przez piratów, szczególnie biorąc pod uwagę wspomnienia Reyny związane z rejsem „Aquariusem”.

Beckwith dopracował tamten plan w najdrobniejszych szczegółach: zdecydował się na porwanie młodej dziewczyny, której rodzina utraciła łaskę króla, a zatem nikt by jej nie pomógł, nikt nawet nie przejąłby się jej losem. W trakcie podróży miał jej się przydarzyć jakiś nieszczęśliwy wypadek, by nie mogła choćby postawić stopy na krateriańskiej ziemi, gdzie istniało z jej strony zagrożenie, że wymknie się i zgłosi całą sprawę w ambasadzie. Nawet napomknięcie, że na „Aquarius” trafiła z mojego rozkazu nie było przypadkowe. Miało na celu sprawić, by bała się mnie i nienawidziła, bo ja nigdy nie miałem poznać prawdy o jej losie.

Naturalnie rodzice Reyny nie otrzymaliby także żadnych pieniędzy z racji śmierci córki na morzu, bo Beckwith zatrzymałby je wszystkie dla siebie.

Gdy wracam do portu, pytam o statki towarowe do Majaru. Najbliższy odpływa za dwa tygodnie i, tak się składa, brakuje im sternika.

Mam dwa tygodnie czasu na kontynencie i, choć wiem, że to daremny trud, wznawiam poszukiwania.



Chyba nie wspominałem jeszcze, że pogoda uwielbia grać mi na nerwach. Zawsze, gdy wyruszam w morze, drugiego dnia dopada mnie burza.

Pierwszy i jedyny raz, kiedy następstwem mojego wypłynięcia nie była ulewa, zdarzył się, gdy powierzono mi „Aquarius”.

Powinienem był wiedzieć, że to zły omen.

Nigdy nie powinienem był wypływać na te wody.

Zabobonni żeglarze, wśród których na ogół zmuszony jestem przebywać, zwykli mawiać, że Aquarius musi mnie bardzo lubić, skoro stroi sobie ze mnie

żarty. Muszę jednak przyznać, choć w życiu nie powiedziałbym tego na głos, a już w szczególności nie w ich obecności, że ja za Aquariusem zupełnie nie przepadam.

Czytałem oficjalną mitologię Wielkiej Dwunastki, choć jej nie wyznaję i opowieści te są dla mnie niczym więcej, jak barwnymi historiami. Nigdy nie przepadałem w nich za Aquariusem – surowym bogiem pogody, złego oblicza wody, opiekunem stworzeń morskich, który zesłał na nas potwory tylko dlatego, że jacyś głupi ludzie za namową Capricorna porwali jego ukochaną Pisces. W tych opowieściach moją ulubienicą zawsze pozostawała Libra – samotna bogini sprawiedliwości, która otrzymała niebo pełne gwiazd od umierającego wszechboga. Może to dlatego, że i mnie zawsze ciągnęło do gwiazd. A może dlatego, że urodziłem się pod jej znakiem.

Tak czy inaczej drugiego dnia podróży na „Wichrze Wolności” kompletnie przemoczony udaję się do mesy wraz z kilkoma innymi, niesamowicie zabobonnymi marynarzami.

Ryzykuję, pytając ich o piratów. Chcę wiedzieć, co nowego wiadomo o „Arachne” i gdzie ostatnio ją widziano, ale marynarze odpowiadają mi jedynie gestami, mającymi na celu odpędzenie złych duchów. Pewien otyły podoficer, który zwykł jadać razem z nami, posyła mi podejrzliwe spojrzenie.

Przewracam oczami, ale wtedy odzywa się stary nawigator.

– Ostatnio Arachne polowała na południu, przy bezpiecznych wodach Majaru. Za cztery dni powinien nas minąć okręt z Majaru, jeśli to nie nastąpi, pewnie są tam nadal i szukają nowych ofiar.

Żeglarze są przerażeni, ale mnie napawa to nadzieją i jakąś głupią radością. Pewnie, gdyby się o tym dowiedzieli, kazaliby mnie wyrzucić za burzę, nie czekając nawet na najbliższą bestię. Nie wątpię, że uznaliby, iż opętali mnie diabli morscy.

Wiedziałem, że pytanie ich o piratów to igranie z losem. Nie sądziłem jednak, że efekty niepokoju marynarzy dopadną mnie już następnego dnia.

Chwilowo inny marynarz zastępuje mnie za sterem, a ja zmierzam powoli do swojej kajuty z zamiarem odpoczęcia po całej nocy spędzonej na pokładzie.

Zatrzymuję się tylko na moment, zerkając na horyzont. Niczego na nim nie można dostrzec, prócz nieba i wody, co zawsze stanowiło dla mnie kojący widok, teraz jednak zaczyna mnie irytować. Jestem na statku ledwo kilka dni, ale te ciągną się w nieskończoność.

Niespodziewanie ktoś szarpie mnie za kurtkę na plecach i popycha.

Łapię się barierek i odwracam gwałtownie, by nie wypaść za burzę, co zupełnie dezorientuje napastnika i daje mi doskonałą okazję, by odwrócić role. Łapię go za fraki i przypieram do desek.

To ten otyły podoficer. Jest ode mnie starszy i, puki co, wyższy rangą, ale przed chwilą chciał mnie zabić, więc mam to gdzieś.

– Nikt ci nie mówił, że morderców czeka koniec w paszczach bestii? – cedzę przez zęby.

Mój niedoszły zabójca patrzy na mnie z zaskoczeniem i przerażeniem. Jeszcze przed chwilą z pewnością myślał, że popchnie mnie i zrzuci to na nieszczęśliwy wypadek, ale teraz, gdy trzymam go za kołnierz, a jego głowa niebezpiecznie wychyla się za burzę, chyba nie jest już tego taki pewien. Na pewno nie uda mu się już wykpić.

– Sprowadzisz na nas zgubę. – charczy, a do mnie dociera, że chyba zaciskam rękę na jego kołnierzu trochę za mocno.

Niczego nie robię z tym faktem.

– Doprawdy, sprowadzę?

– Wymawiasz nazwę tego upiornego okrętu tak bez troski, jakby nic nie znaczył. Ona cię usłyszy. Sprowadzisz ją tutaj. – ciągnie.

– Musiałaby chyba być jakąś czarodziejką. – prychem. – A, z tego co wiem, to zwykła piratka.

– Tylko kuisz los, bezbożniku.

Choć podoficer jest przerażony, nie mam wątpliwości, że, gdyby tylko nadarzyła mu się jeszcze jedna okazja, nie wahałby się i znów spróbował zepchnąć mnie ze statku.

Myśli pewnie, że jestem bezbronny, naiwnie głupi albo zbyt pewny siebie, bo, w przeciwieństwie do reszty załogi, nie noszę broni. Nie ma pojęcia, że pod kurtką ukrywam rewolwer, ale stwierdzam, że od teraz bezpieczniej będzie nosić ze sobą też i szablę.

– Co tu się dzieje? – dobiega mnie głos kapitana, który przedziera się przez zbiegowisko marynarzy. Zdaje się, że ja i podduszony podoficer stanowimy dla nich doskonałe przedstawienie, ale do tej pory nawet nie zwróciłem na nich uwagi.

– Puść go, sterniku. – zwraca się do mnie topicielka, żylasta kobieta w średnim wieku o krótko przyszyżonych włosach i ciele pokrytym makabrycznymi tatuażami. Jej głos jest chłodny, pobrzmiwa w nim ostrzeżenie.

– A gdzie byłeś przed chwilą, gdy próbował mnie zabić? – pytam szorstko, ale wypuszczam w końcu fraki oficera, a ten odbiega ode mnie jak najdalej.

– Co tu się właśnie stało? – pyta zniecierpliwiony kapitan. – Jesteś sternikiem, tak? Pan...

– Crepusculum. – odpowiadam.

– Ten Crepusculum? Kapitan Crepusculum? – jego oczy otwierają się nieco szerzej w wyrazie zaskoczenia.

No tak. Odnoszę wrażenie, że po tych wodach pływają sami ignoranci. Gdzie on był myślami podczas błogosławieństwa? Przecież wywołał mnie wówczas, podobnie jak i całą resztę załogi.

– Chwilowo jestem tylko sternikiem. – zauważam. – Wystarczy „pan Crepusculum”.

– Tak czy inaczej – kapitan otrząsa się z chwilowego zaskoczenia. – próbował pan udusić mojego podoficera.

– Po tym jak on próbował mnie utopić.

Kapitan marszczy brwi i rozgląda się po pokładzie. Chyba szuka świadków, którzy potwierdzą moją wersję wydarzeń.

To na nic. Większość obecnych na pokładzie albo zwróciła na nas uwagę dopiero podczas szamotaniny, albo popiera ideę wyrzucenia mnie za burtę przy najbliższej nadarzającej się okazji.

– Płynę z nim już któryś raz. – mówi kapitan, wskazując na podoficera. – Nie mam powodu, by mu nie ufać. Z panem natomiast mam styczność po raz pierwszy. Słyszałem o panu historie różnego rodzaju, jedne pochlebne, inne dość niepokojące. Skoro nikt nie ucierpiał, zamierzam puścić to zajście w niepamięć, niech pan jednak ma na uwadze, że będę pana obserwować.

Nie ma pojęcia, że robi mi w ten sposób przysługę. Jeśli faktycznie zamierza mieć na mnie oko, jego podoficer nie odważy się zaatakować ponownie. Ale i tak będę mieć się na baczności. Tak na wszelki wypadek.



Naiwnie spodziewam się, że „Nadmorska Piosnka” dotarła chociaż do drugiego portu na Odrobinie Nadziei.

Choć nazwa wyspy oznaczać ma w zamyśle nadzieję żeglarzy na to, że przetrwają podróż przez te przeklęte wody, bo połowa już za nimi, to u mnie wiąże się z inną nadzieją.

Jeśli Reyna wypłynęła statkiem towarowym, musiała zatrzymać się na wyspie i to dwukrotnie.

Gdy tylko do niej przybijamy, schodzę na ląd wraz z innymi pasażerami, którzy z trudem łapią równowagę na stałym gruncie i, zamiast zgłaszać się do pomocy przy noszeniu skrzyń z zapasami, od razu ruszam do tubylców.

Wyspa wielkości małego kontynentu, cała pokryta łąkami i pastwiskami, jest rajem dla farmerów, żyjących tam w spokoju i wymieniającym swoje zbiory na przywożone z Majaru i Kraterii towary. A fakt, że Wyspa Odrobiny Nadziei znajduje się niemal dokładnie w połowie drogi między Majarem, a Kraterią, czyni ją miejscem idealnym do zaopatrzenia się przez statki w zapasy na dalszą drogę i towary do handlu z tymi krajami.

Zapytani przeze mnie miejscowi są nieco bardziej komunikatywni, niż ci, z którymi miałem do czynienia podczas rejsu „Aquariusem” pięć lat wcześniej

i postoję na przeciwnym krańcu wyspy, jednak zapytani wprost o Reyne, nie mają pojęcia o kogo chodzi, a nazwisko Crepusculum zupełnie nic im nie mówi. Muszę przyznać, że czuję się tym nieco urażony.

Farmerzy nie są w stanie przekazać mi nic istotnego, prócz poniewierania mojej dumy, wracam zatem oburzony pomóc przy załadunku.

Waham się przez chwilę, czy nie zostawić załogi „Wichru Wolności” i nie prosić tubylców o przewiezienie na drugi kraniec wyspy, by tam wywiedzieć się o losy Reyne i przeczekać, aż do brzegu dobieje kolejny statek transportowy, ale rezygnuję z tego pomysłu.

Moją ostatnią nadzieją są piraci, ale od samego początku zakładałem, iż tak będzie. Coraz mniej wierzę w to, że Reyna dopłynęła choćby do pierwszego portu na Odrobynie Nadziei. Pocieszam się jednak myślą, iż prawdopodobieństwo jej śmierci na morzu jest zbyt małe w porównaniu z tym, że jej okręt napadli grasujący od niedawna na tych wodach piraci. Postanowiłem, że, nie ważne ile razy będę musiał przepłynąć Bestialskie Morze, będę robił to w kółko i w kółko, puki i mnie nie dopadnie Arachne. I powinna się bać, bo nie daruję jej odebrania sobie Reyne.

Okręt z Majaru wymija nas planowo, zatem nie dopadli go piraci. W końcu dobijamy i do drugiego portu na Wyspie Odrobiny Nadziei – tego, w którym już kiedyś byłem.

Przebywając tu, nie potrafię odpędzić się od wspomnień. Niemal widzę Reyne, ścigającą się z Joy'em po pobliskich wzgórzach i ich oboje, zdyszanych i roześmianych, wylegających się na trawie i czekających, aż oznajmię, że pora odpływać.

Wtedy jeszcze byliśmy sobie zupełnie obcy. Wtedy miałem ją za zdziwaczałą wariatkę, a ona mnie za bezdusznego potwora.

Tubylcy okropnie kaleczą majarski. Nie rozumiem połowy z tego, co do mnie mówią, ale to i tak nic takiego, bo wydaje się, że oni nie rozumieją ani jednego słowa z tego, co ja mówię do nich.

Pytam o „Nadmorską Piosnkę”, ale jedynie kręcą głową. Ryzykuję więc z „Byстрыm Zefirem”, ale doczekuję się takiej samej reakcji. Nie łudzę się nawet, że

prowadzą rejestr statków, z którymi handlują.

Nie zamierzam prosić ich o dokładne opisanie wszystkich okrętów, które przybiły do wyspy w przeciągu ostatniego roku, ale wypłynąłem w poszukiwaniu informacji i nie poddam się puki ich nie zdobędę.

Z jakąkolwiek reakcją spotykam się dopiero, gdy pytam wprost o Reynę pod nazwiskiem Crepusculum.

Oczy jednego z farmerów otwierają się szerzej i kiwa energicznie głową.

Nie jestem pewien, czy do końca mnie zrozumiał, jednak on powtarza łamanym majarskim:

– Crepusculum. – kiwa głową. – Kobieta Crepusculum. Była tu.

No tak, moja legenda, podobnie jak i ja sam, dotarła i do wybrzeży tej wyspy. Tutejsi ludzie nie znają zapewne pojęcia pożyczania komuś nazwiska, zatem musiało ich niezłe zaskoczyć, że zamiast osławionego kapitana, u ich brzegów pojawiła się kobieta posługująca się tym samym nazwiskiem. Możliwe, że uznali ją za moją siostrę czy kuzynkę.

– Była tu? – dociekam, choć moja cierpliwość ma swoje granice i właśnie do nich dobiega.

– Rok. – mówi tamten, zataczając okrąg ręką i nie potrafiąc znaleźć odpowiednich słów, by powiedzieć, o co dokładnie mu chodzi.

– Rok temu? – zgaduję.

Farmer kiwa głową.

– Ile razy?

Mężczyzna zastanawia się chwilę, ale raczej nie nad tym, ile razy widział Reynę, tylko jak brzmią liczebniki w naszym języku. W końcu poddaje się i pokazuje na palcach.

Raz.

Reyna dopłynęła zatem do Wyspy Odrobiny Nadziei, ale nie dotarła do jej drugiego krańca.

Podobnie jak niegdyś „Aquarius”.



Kilka dni i potworów później zbliżamy się do Majaru. Minęliśmy już krakena i jeszcze jakieś trzy, cztery dni, a znów znajdę się w mieście portowym. Zamierzam raz jeszcze przetrząsnąć wszelkie dokumenty w urzędzie marynistycznym, podreżycić trochę obsługę portu i nawet poszperać w samej Akademii Morskiej, może też znaleźć tą Bezoką Królową, która rzekomo mogłaby mi pomóc, a potem znów wypłynąć w morze.

Snuję właśnie te plany, gdy do moich uszu dobiega przeraźliwy krzyk.

Na pokładzie rozpętuje się istny chaos. Ktoś wzywa artylerzystę, ktoś szuka flagi.

Flagi?

Chcą się poddać, ale... odwracam się gwałtownie i wiem już, co jest przyczyną tego zamieszania. Kapitan stoi przy przeciwległej burcie i patrzy przed siebie na to, co i ja widzę już gołym okiem.

Płynie na nas statek.

Żeglarze wokół panikują, ale mnie przepełnia ekscytacja.

Co prawda okręt z Majaru minął nas zgodnie z oczekiwaniami, a jego załoga twierdziła, że po „Arachne” nie ma nigdzie śladu, ale nie znaczyło to, że zupełnie opuściła te wody.

Teraz płynie prosto na nas.

– Przestań stać jak ten kołek i zrób coś! – łaja mnie jeden z niższych rangą oficerów i wciska w ręce flagę.

Zerkam na nią przelotnie. To nie flaga obwieszczająca kapitulację. Oni nie chcą się poddać. Oni chcą walczyć.

– A nie potrzeba wam czasem sternika? – pytam, patrząc wymownie na płótno w swoich rękach.

Oficer prycha z irytacji, a jego pulchna twarz staje się cała czerwona z wściekłości. Wyrywa mi flagę z rąk i każe zająć miejsce za sterem. Muszę

przyznać, że tęsknię za czasami, kiedy to ja pomiatałem w ten sposób własną załogą.

– Cała naprzód! – krzyczy do mnie kapitan. – Jesteśmy już blisko! Dotrzemy do Majaru przed nimi, nie odważą się zbliżyć do portu!

Może wahałbym się pomiędzy moim wątpliwym poczuciem honoru i lojalności do króla, czy dopuścić się sabotażu, czy nie, ale pogoda oszczędza mi konieczności podejmowania jakiegokolwiek decyzji.

Może naprawdę Aquarius nade mną czuwa.

– To na nic. – przekrzykuję wiatr. – Ich statek jest szybszy, a my płyniemy pod wiatr!

Kapitan klnie i każe przygotować działa. Niektórzy z marynarzy, ci, którzy poczuli się zbyt pewnie na tych wodach, znikają pod pokładem po broń.

Piracki okręt zbliża się zbyt szybko. Teraz jestem w stanie bez trudu zobaczyć ich banderę, o dziwo nie piracką, czarną z białą czaszką, a czerwoną z wielkim czarnym pająkiem.

Nie rozumiem, dlaczego moją pierwszą myślą jest to, że Reyna boi się pajaków.

Jeszcze moment i znajdą się w zasięgu naszych dział. „Arachne” jednak nie atakuje, więc i my czekamy.

– Co oni robią? – pyta pulchny oficer, marszcząc brwi.

– Ustawiają się... – zauważa kapitan i klnie ponownie. – Chcą nas ostrzelać! Ognia! Już!

Statkiem wstrząsa huk wystrzałów i już po chwili „Arachne” odpowiada ogniem. Piracki okręt jest coraz bliżej.

Z początku nie trafiają, my zresztą też, ale niespodziewanie okręt zaczyna niebezpiecznie miotać się pod wpływem silnego wstrząsu.

– Trafili nas?! – wrzeszczy oficer.

Wychylam się odrobinę za burtę, po czym szybko chowam, bo załoga „Arachne” właśnie dobywa rewolwerów, gotowa do nas strzelać.

– Nie! – oznajmiam. – Musieli trafić tuż obok statku!

Potem nie słyszę już niemal nic, bo huk armat i wystrzały rewolwerów po obu stronach zagłuszają się nawzajem. Ja również wyciągam broń i biorę głęboki wdech.

Mam już zamiar wstać, gdy dociera do mnie pewien fakt. Wystrzelili tyle kul w naszą stronę... ale żadna nie trafiła w statek. Patrzę na marynarzy ranionych pociskami, ale, choć obnieśli mniejsze, bądź większe obrażenia, ani jeden z nich nie leży martwy.

Podnoszę się do pionu, ale robię to w złym momencie, bo załoga „Arachne” właśnie przystąpiła do abordażu i niemal obrywam w głowę butem jednego z piratów, którzy przeskakują na linach na nasz pokład.

Nie tak wyobrażałem sobie piratów.

W mojej głowie byli to brudni, obszarpani ludzie, pozbawieni niektórych kończyn, przywdziani w strzępiące się łachmany, ale mężczyzna, który idzie właśnie na mnie z obnażoną szablą, mógłby równie dobrze być marynarzem na królewskim okręcie.

Nie daje mi jednak zbyt wiele czasu na zastanowienie, bo zawija bronią w moim kierunku. Wokół cały czas brzmią wystrzały i szcęk parowanych ciosów.

Uchylam się przed pierwszym atakiem i dobywam własnej szabli. Muszę to dobrze rozegrać. Muszę dostać się na ich statek i, w miarę możliwości, ocalić życie tych niewinnych ludzi.

Choć, o ile jestem w stanie to stwierdzić, żaden z nich jeszcze nie rozstał się z życiem, pomimo, że otyły podoficer, który próbował wypchnąć mnie za burzę, rozstał się z lewym uchem.

– Nie chcę z tobą walczyć. – mówię do atakującego mnie mężczyzny. Choć atakują nasz statek, ciężko mi nazwać go piratem, nawet w myślach. Po prostu... piraci tak nie wyglądają.

– Zabawny jesteś. – oznajmia tamten, uśmiechając się szeroko i ponawiając atak. Tym razem nie unikam, a blokuję cios.

– Może ujmijmy to inaczej. – mówię. – Ty nie chcesz walczyć ze mną.

Wystarczy kilka moich ciosów, by wytrącić mu broń z ręki.

– Chcę tylko pomówić z waszą kapitan. – oznajmiam, gdy tamten podnosi rękę do góry, uśmiech jednak wciąż nie spełza mu z twarzy.

– Chcesz mówić z Arachne? – parska śmiechem.

Niespodziewanie czuję dotyk zimnej lufy na skroni.

– Możesz mówić ze mną. – słyszę za sobą kobiecy głos i wściekam się na siebie, że dałem się tak łatwo podejść. – Jestem jej bosmanem.

Kobieta pozwala mi się odwrócić, a mój przeciwnik wykorzystuje to, by podnieść z desek pokładu swoją szablę.

Bosman „Arachne” jest wysoka, tylko odrobinę niższa ode mnie. Ma czerwonawą skórę, świadczącą o wschodnim pochodzeniu i karmelowe włosy posplatane w warkoczyki przetykane koralikami. Na jej stój składa się czerwona, obcisła kamizelka, która jedynie podkreśla jej muskularną sylwetkę i proste, brązowe bryczesy, wciągnięte w wysokie, żeglarskie buty.

Skoro to jest ledwo bosman, to przestaję się dziwić, że sama Arachne budzi taki postrach na morzu.

– Czego chcesz? – pyta. – Błagać o życie swoje czy reszty załogi?

– Chcę mówić z Arachne. – naciskam.

– To masz pecha, bo możesz mówić albo ze mną, albo w ogóle.

– Twoja kapitan kogoś mi odebrała. – mówię.

– Moja kapitan zabrała wielu marynarzy.

– Chcę ją odzyskać. Przetrzęsnałem całe morze, by ją odnaleźć.

– Dziewczyne? – pyta. Nie odpowiadam, ale ona wyraźnie uznaje to za potwierdzenie. – Biedny, zakochany chłopiec. – szydzi sztucznie słodkim głosem. – Ale obawiam się, że to ja tu stawiam warunki.

– Obawiam się, że jesteś w równie kiepskim położeniu, co i ja. – zauważam i dociskam rewolwer mocniej do jej brzucha. Zgodnie z moimi podejrzeniami, skupiła się na szabli, którą wciąż miałem w prawej ręce i pewnie myślała, że nie strzelę bronią z lewej.

– Umówmy się tak – proponuje bosman, która nieco zbladła, ale tylko na moment. – Ty teraz ładnie się poddasz i pójdziesz za resztą swojej załogi, a ja,

może, ale tylko może, załatwię ci pogawędkę w cztery oczy z moją kapitan, co ty na to?

– A jeśli się nie zgodzę?

– Rozbroimy cię siłą i od razu wrzucimy pod pokład. – mówi. – Przykro mi, ale raczej nikt już cię nie ocali.

Dopiero teraz zauważam, jak okrutnie jest cicho. Cały zgiełk walki, który wciąż był słyszalny gdzieś w tle, nagle zupełnie zniknął. Bosman pozwala mi się odwrócić, a ja widzę, że zostaliśmy pokonani. Załoga „Arachne” prowadzi marynarzy z „Wichru Wolności” na swój pokład. Większość z nich jest związana.

Upuszczam zarówno szablę, jak i rewolwer.

– Grzeczny chłopiec. – mówi bosman i prowadzi mnie wraz z nimi.

Na „Arachne” wszyscy zostajemy zebrani pod lewą burtą i porządnie związani. Bosman, która mnie tu zaprowadziła, gdzieś znikła i pozostaje mi jedynie mieć nadzieję, że dotrzyma słowa i załatwi mi rozmowę z Arachne.

W chwilach oczekiwania wyobrażam sobie, jak może wyglądać. Na pewno ma dredy albo włosy powiązane w warkoczyki i chustę na głowie. Może i kapelusz z piórem. Widzę ją jako ciemnoskórą i wysoką, pewnie wyższą ode mnie, odzianą w długi do kolan albo do ziemi ciemny płaszcz, przewiązany w pasie szarfą, z której wisieć będą kabury na rewolwery.

Z rozmyślań wytrąca mnie odgłos kroków – stukot obcasów na deskach pokładu, który słyszę tak donośnie, bo wszędzie wokół panuje grobowa cisza.

Kapitan Arachne przechodzi przez pokład wolnym krokiem.

Myliłem się, co do jej wyglądu. Skórę ma jasną, choć opaloną, włosy ciemne, zebrane do tyłu i związane w ciasny kucyk. Ubrana w czerwoną koszulę, brązowe spodnie i buty bardzo podobne do moich własnych. Przy pasie ma przypiętą zarówno szablę, jak i rewolwer. Na ramiona narzucony niebieski płaszcz.

Taki płaszcz noszą kapitanowie króla, chcący wzbudzić respekt pośród załogi. Taki płaszcz noszą kapitanowie, chcący udowodnić, że są kimś więcej, niż chłopcami okrętowymi.

Taki płaszcz nosiłem przez całą swoją karierę, aż moje imię obrosło legendą.

Arachne zaszczyca załogę „Wichru Wolności” krótkim, niezbyt zainteresowanym spojrzeniem i zwraca się w stronę swojej bosman, a mnie brakuje powietrza w płucach, nie jestem jednak w stanie złapać oddechu.

Nie dlatego, że kapitan Arachne jest tak przerażająca, jak głosiły plotki. Dlatego, że kapitan Arachne to Reyna.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 1
na „Arachne”*

Gwiazdy,

Kpicie sobie ze mnie?

*Ile to nocy umierałem z tęsknoty, podczas gdy wy znałyście największy sekret
mojego świata i cicho ze mnie się śmiałyście?*

Jesteście sprawiedliwe?

Czym w takim razie jest sprawiedliwość?

James Crepusculum

ROZDZIAŁ PIĄTY

ARACHNE

To chyba niemożliwe, ale właśnie duszę się własnymi myślami.

Mój umysł nie jest w stanie – nie chce – zrozumieć tego, co widzi.

Wciąż siedzimy pod burta, związani i strwożeni. Reyna odwraca się w naszą stronę i przeciąga po nas wszystkich znużonym wzrokiem, na nikim nie skupiając szczególnej uwagi.

– Pod pokład z nimi! – woła, odwracając się do swojej załogi. – Tamtego przyprowadźcie do mnie. – dodaje nieco ciszej, nawet się nie odwracając, ale palcem wskazuje mniej więcej w moim kierunku.

Rozpoznała mnie? Czy po prostu jej bosman poinformowała ją, że żądałem rozmowy z kapitan Arachne?

Reyna odchodzi, a reszta załogi „Arachne” rusza w naszą stronę, chcąc zaciągnąć nas pod pokład.

Do mnie prędko podbiega jakiś chłopak i w szaleńczym pośpiechu rozwiązuje mi ręce.

Ma bardzo jasne, rozczochrane włosy i bladobłękitne oczy. Luźna, biała koszula wychodzi mu ze spodni, porozpinana niemal do połowy, ale chyba zupełnie go to nie obchodzi. Jest dość wysoki, choć nie może mieć więcej niż osiemnaście lat.

– Kapitan Crepusculum? – pyta, uśmiechając się szeroko. Jego oczy zaczynają świecić. – To naprawdę pan?!

Marszczę brwi.

Czyżby i do załogi „Arachne” doszły słuchy o mnie i moich dokonaniach? Czy po prostu słyszeli o mnie od Reyny?

Ale nagle go rozpoznaję.

– Joy? – pytam zaskoczony.

Co prawda rodzice Reyny wspominali, że wypłynął razem z nią, ale spotkanie go na pokładzie pirackiego okrętu jest dla mnie zaskoczeniem tak dużym, jak odkrycie, że to Reyna jest jego kapitanem.

Chłopak energicznie kiwa głową, nie przestając się uśmiechać.

– Mógłbyś mi powiedzieć, co tu się dzieje? – pytam, gdy Joy pomaga mi wstać.

– Mam pana zaprowadzić do kajuty kapitan, Rey chce z panem rozmawiać. – mówi uradowanym głosem, po czym kręci głową. Wydaje się, że podekscytowanie zaraz rozsądzi go od środka. – Nie wierzę, że pana tu widzę!

– Ja też nie wierzę, że was tu widzę. – stwierdzam, jednak nie z podekscytowaniem, a raczej sceptycznie.

Gdy stajemy pod drzwiami kapitańskiej kajuty, widzę jak reszta załogi „Wichru Wolności” prowadzona jest pod pokład, do miejsca, które marynarze z Bestialskiego Morza nazywają „piwnicą” - dokładnie tam, gdzie w czasie rejsu trzymani są niewolnicy.

Joy energicznie wali pięścią w drzwi, a mnie przechodzą dreszcze.

– Wejść! – słyszę z środka głos Reyny. Jest nieco inny, niż go zapamiętałem. Najwyraźniej zdążyła przywyknąć już do wydawania rozkazów.

Wchodzę do środka, a Joy zamyka za mną drzwi.

Zostaję sam na sam z kapitan Arachne.

Reyna stoi oparta tyłem o zawałone mapami biurko. Jej płaszcz jest przewieszony niedbale o oparcie krzesła. Ręce ma skrzyżowane i patrzy na mnie wzrokiem, którego nie potrafię rozszyfrować. Jej zielone oczy lśnią w bladym blasku lampki ustawionej na biurku.

Przez chwile patrzymy na siebie w milczeniu, bo chyba żadne z nas nie wie, od czego zacząć. Jestem jednak pewien, że mnie rozpoznała.

– Witaj, James. – odzywa się w końcu. Jej głos jest łagodny, ale się nie uśmiecha.

– Witaj, Reyno.

Reyna opuszcza rękę. Wygląda, jakby nie do końca wiedziała, co ma z nimi robić.

– Co ty tu robisz, James? – pyta w końcu.

„Szukam cię.” – odpowiedź mam już na końcu języka, ale się waham. Tak naprawdę szukałem Reyny, nie kapitan Arachne, a nie jestem pewien, która z nich stoi przede mną.

– Mógłbym zapytać cię o to samo. – mówię zamiast tego. Mój głos jest tak bezbarwny, jak chciałem. Ani cienia żalu czy wyrzutu. Wciąż nie wiem, kim stała się kobieta, na którą patrzę.

Reyna wzdycha.

– Ukończyłam Akademię Morską – zaczyna niepewnie. – kupiłam statek, bez nazwy i bez przeszłości. Nadałam mu nazwę i dałam mu cel. Przepłynęłam Bestialskie Morze parę razy tam i z powrotem. Chyba nawet zostałam żywą legendą. A tobie jak minęło ostatnie pięć lat?

Stara się przybrać bardziej beztroski ton, ale widzę wyraźnie, że jest równie niepewna, jak ja. Ona też nie wie, jak ma ze mną rozmawiać.

– Byłem na południu, jak było zaplanowane. – mówię ostrożnie. – Wróciłem do Majaru i doszły mnie słuchy o kapitan Arachne, ale w życiu nie pomyślałbym, że to ty.

Po tych słowach doczekuję się wreszcie pierwszej reakcji z jej strony, pierwszego prawdziwego przebłysku emocji - Reyna uśmiecha się pod nosem.

– Chyba faktycznie „Arachne” stała się dość sławna. – zauważa.

– Jest postrachem morza. – stwierdzam.

Reyna przygląda mi się, wyraźnie niepewna, co o tym wszystkim myślę. Lekko przekrzywia głowę, marszcząc brwi.

– Coś ty narobiła, Reyno? – pytam.

Kapitan Arachne porywa statki, rabuje je i uprowadza załogę. Rzuca ich na pastwę potworów, tylko po to, by przepłynąć przez morze, szukając kolejnych okrętów do złupienia. Reyna, którą pamiętam, miała traumę związaną z tymi wodami. Nienawidziła marynarzy, którzy po nich pływają, bo wyrzucają za burtę niewolników – żywych l u d z i – mniej lub bardziej winnych, ale nie zasługujących na śmierć w taki sposób.

Reyna, którą pamiętam, nigdy więcej nie wypłynęłaby na te wody.

Kapitan Arachne żyła na nich i żerowała na życiu wszystkich załogantów statków, nie tylko niewolników.

– Ja chcę tylko naprawić ten zepsuty świat. – mówi. Nie mogę znieść spojrzenia jej zielonych oczu. Choć śniłem o nim przez pięć lat, teraz nie mogę go wytrzymać.

– A gdybyś wiedziała, że płynę tym statkiem... oszczędziłabyś go? – wyrywa mi się.

Reyna wciąż się we mnie wpatruje, gdy odpowiada.

– Chciałabym móc ci powiedzieć, że, gdybym tylko wiedziała, że jesteś na pokładzie, nie zaatakowałabym tego statku, ale to nie prawda. Zaatakowałabym go nawet gdyby płynął nim sam król Majaru. Uniknęłabym jednak zaskoczenia, jakim było dla mnie zobaczenie cię pośród załogi. Jesteś teraz sternikiem? Zdegradowali cię?

Zdaje się, że nie mogę mieć już nawet złudzeń, co do tego, iż to nadal ta sama kobieta, którą poznałem lata temu. To już nie Reyna, córka medyka z Majaru. Teraz to Arachne, potworna kapitan, siejąca strach na Bestialskim Morzu. Tak jak mawiają, dziewiąty potwór.

Czas wykorzystał ostatnie pięć lat, by ograbić mnie z marzeń, którymi żyłem, a teraz porzucił mnie na pastwę bezwzględnej rzeczywistości.

Muszę mieć wypisaną na twarzy przynajmniej połowę szargających mną emocji, bo Reyna sugeruje:

– Pomówimy o tym wszystkim jutro, w porządku? Dziś mam do załatwienia jeszcze sporo kwestii związanych z waszym statkiem.

Nie wątpię, że ma. Obrabować go, zagrabić wszystko, co przewozimy.

Kiwam zdawkowo głową i ruszam do wyjścia. Ciekawi mnie właściwie, co teraz będzie się ze mną działo.

– Anika mówiła, że chciałeś ze mną mówić, bo kogoś szukasz. – odzywa się jeszcze, zanim zdążę otworzyć drzwi.

„Szukałem ciebie.” – myślę, ale i tym razem wolę przemilczeć tę odpowiedź.

– Tak. – mówię tylko. – szukałem.

Po tych słowach wychodzę.

Przed drzwiami do kajuty Reyny czeka na mnie jeden z jej marynarzy. By spojrzeć mi w twarz musi odrobinę zadzierać głowę, ale pod względem wzrostu ciężko mnie prześcignąć. Włosy ma nieco przydługie, barwy gorącej czekolady, opadające mu pasmami na czoło. Cerę mocno opaloną, a na sobie jedynie wysokie buty, spodnie i ciemną kamizelkę, rozpiętą, a zatem mam doskonały widok na jego umięśniony brzuch.

Nagle uświadamiam sobie, że nie dość, iż jest nad wyraz urodziwy, to zapewne jest także w wieku Reyny.

Muszę wyglądać naprawdę żałośnie, bo ten obcy mężczyzna klepie mnie po plecach z pocieszającym uśmiechem.

– Mam cię zaprowadzić do twojego obecnego zakwaterowania. – mówi, po czym podaje mi rękę. – Jestem Heard, sternik „Arachne”.

Pozwalam sternikowi zaprowadzić się do mojej kajuty.

Tak, dostałem własną kajutę. Podczas, gdy wszystkich pozostałych z „Wichru Wolności” zamknięto pod pokładem.

Dobry kapitan odmówiłby takiego traktowania. Dobry kapitan zostałby ze swoją załogą.

Ale ja nie jestem kapitanem „Wichru Wolności”. Ta załoga nie była moja, byłem jedynie jej częścią. Nigdy też nie byłem dobrym kapitanem – byłem tym potwornym, rzucającym ludzi za burtę na śmierć, zastraszającym marynarzy, tworzącym własną, wielką legendę.

Byłem chłopcem w stroju kapitana, marzącym o szacunku i wolności.

Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 2
na „Arachne”

Miałem sny i pragnąłem, by się ziściły.

Nie widziałem ani jednej przeszkody na drodze do ich spełnienia.

I okazałem się głupcem.

Teraz ten głupiec nie wie, co począć ze swoim życiem, które zaplanował z taką dokładnością, gdy wszystkie jego plany umarły, uśmiercone przez bestie na Bestialskim Morzu.

W wodzie i na pokładzie statku.

James Crepusculum

ROZDZIAŁ SZÓSTY

WYJAŚNIENIA

Rano budzę się znacznie wcześniej niż reszta marynarzy i od razu udaję się na górę.

Stoję oparty o nadburcie i obserwuję „Wicher Wolności” wciąż cumujący tuż obok „Arachne”. Nie jestem pewien czy został już ograbiony, czy jeszcze nie.

Patrząc nieobecny wzrokiem w horyzont, wyciągam z kieszeni pierścionek. Przywiozłem go z Norii. Wyprawa tam wymagała ode mnie niebywałego poświęcenia, zważywszy, iż lata temu poprzysiągłem sobie już nigdy nie postawić stopy w rodzinnym kraju. Ale na całym świecie nie ma jubilerów lepszych, niż tamtejsi. Dowód tego przekładam właśnie w rękach.

Morskie fale wysadzone szmaragdami miały zdobić palec Reyny.

Przez krótką chwilę mam ochotę cisnąć pierścionek za burzę.

Powstrzymuje mnie odgłos zatraskiwanych drzwi. Gdy się odwracam, widzę jak Reyna idzie przez pokład zamaszystym krokiem, o który jeszcze kilka dni temu w ogóle bym jej nie posądzał.

Próbuję ukryć pierścionek w kieszeni, ale robię to niedostatecznie szybko. Moja ręka pląta się w zwiłkach sznurków, który w niej trzymam, a te wystają teraz na zewnątrz.

Reyna podchodzi do mnie spoglądając w moim kierunku spod uniesionych brwi.

– Chyba nigdy nie pojmę, co tak bardzo podoba się żeglarzom w ciągłym motaniu sznurka. – stwierdza.

– Życie na morzu może i jest cudowne, ale całe dni spędzane na pokładzie, podczas gdy na horyzoncie wciąż widać tylko wodę i niebo, potrafią być okrutnie nużące. – mówię, szczęśliwy, że nie przyjrzała się dokładniej temu, co chowałem do kieszeni.

Reyna opiera się o barierkę obok mnie. Przez chwilę jest tak jak dawniej. Jak wtedy na „Rosamundzie”. Ja jestem Jamesem, a ona Reyną, nie kapitanem Crepusculum i upiorną Arachne.

– To jak ze staruszkami. – ciągnę. – One dziergają na drutach, my plątamy węzły. Efekt jest ten sam: zabijamy czas.

– Mógłbyś się zabrać za robienie na drutach. Byłoby to nieco bardziej produktywne. – stwierdza. Może mi się wydaje, ale mam wrażenie, że w jej oczach tańczą iskiereczki rozbawienia.

Reyna odwraca się w stronę morza – w stronę „Wichru Wolności”, który napadła poprzedniego dnia, a ja, który pozwoliłem sobie przez chwilę bujać w obłokach, wracam na ziemię, jakby chlusnęła mi w twarz wiadrem morskiej wody.

– Obiecałam ci wyjaśnienia. – odzywa się Reyna. – Pytaj, o co zechcesz, bo sama nie wiem, od czego zacząć.

Nim zdążę się odezwać, podchodzi do nas ciemnowłosy sternik, którego miałem okazję poznać poprzedniego dnia. Nadal jest w rozchełstanej kamizelce. Nadal bez koszuli.

– James, to jest Heard. – mówi Reyna, wskazując przybyłego. – Zdaje się, że już się znacie. Heard jest moim sternikiem.

Liczyłem na odbycie tej rozmowy z samą Reyną, ale sternik nigdzie się nie wybiera. Wydaje mi się, że Reyna chce, by towarzyszył jej podczas tej rozmowy.

Skoro tak, w porządku. Może przy okazji uda mi się wybadać, jaki rodzaj relacji ich łączy.

Reyna spogląda w moją stronę zachęcająco, a ja przypominam sobie, że miałem pytać.

– Mówiłaś wczoraj, że... że chcesz naprawić świat. – zauważam. – Co miałaś na myśli? Jak ma w tym pomóc napadanie na okręty, grabienie ich i – gryzę się w język, nim powiem „mordowanie załogi”. – porywanie marynarzy?

Reyna zastanawia się chwilę, szukając odpowiednich słów.

– Pamiętasz... na „Rosamundzie”, jak płynęliśmy z powrotem do Majaru? Pytałeś wtedy, co chcę robić, gdy wrócę, a ja powiedziałam ci, że chciałabym uleczyć te wody, tylko...

– ... nie wiedziałaś od czego zacząć. – przypominam sobie.

Reyna kiwa głową.

– Akademia Morska była strzałem w dziesiątkę. – ciągnie. – Wpadłam tam na pewien pomysł, który szlifowaliśmy przez całe cztery lata.

– „Wy”? – unoszę brwi.

– W akademii poznałam głównych członków mojej załogi. – mówi, uśmiechając się blado. – Właściwie, to jestem ci winna podziękowania.

– Za co? – dociekam, zastanawiając się, czy ma na myśli zapisanie jej do akademii, pieniądze, czy coś jeszcze innego.

– Trochę mnie zaskoczyli, gdy powiedziano mi w akademii, że jestem zapisana pod nazwiskiem Crepusculum. Ale jestem ci niezmiernie wdzięczna, że to zrobiłeś.

– Mam nadzieję, że dzięki temu traktowano cię tam nieco lepiej, niż, jak gdybyś zjawiła się bez żadnego nazwiska. – mówię.

– Tak, nikt nie łączył mnie z moim ojcem, który wyszedł spod łask króla, ani nikt nie nazywał mnie „dzieckiem wiedźmy”. Jeśli z kimś mnie kojarzyli, to jedynie z tobą. Nie mam pojęcia skąd, na króla, wytrzasnąłeś pieniądze na mój okręt, ale gdy powiedziano mi, że mam je przeznaczyć na statek, udało mi się nabyć „Arachne”. Choć tak właściwie teraz to „Arachne”, ale gdy wypływaliśmy nazywała się „Bystry Zefir”.

– Ja słyszałem coś o „Nadmorskiej Piosnce”. – mówię, uśmiechając się krzywo.

Reyna wygląda na dogłębnie poruszoną.

– Nie chcę już nigdy w życiu słyszeć tej nazwy. – oznajmia, unosząc ręce.

Stojący obok Heard parska śmiechem. Uświadamiam sobie, że musiał być świadkiem utarczek Reyny z urzędnikami w biurze marynistycznym, gdy żądała zmiany nazwy swojego statku. A zatem musiał być jednym z tych członków załogi, których poznała w akademii.

– Tak właściwie... dlaczego zostawiłeś mi te pieniądze? Jako królewskiego kapitana przydzielono by mnie po prostu do jakiegoś okrętu. – zauważa.

– W życiu nie powiedziałbym, że zechcesz zostać królewskim kapitanem. – oznajmiam. – Ale jeśli już miałabyś nim zostać, skłaniałbym się raczej ku myśli, że zostaniesz niezależna, nie tylko przez wzgląd na to, że nie pozwolisz już nigdy nikomu przejść kontroli nad własnym życiem, ale też przez to, co cię spotkało.

– Fakt, nieciekawie byłoby, gdyby podsunęto mi jako pierwszego oficera kogoś takiego jak Beckwith.

Nie wiem, czy tylko mi się wydaje, ale mam wrażenie, że Heard stara się unikać jej wzroku.

– Nieciekawie byłoby też, gdyby wysłano cię na Bestialskie Morze. A tu proszę, sama się na nie wpakowałaś. – mówię.

– Odbiegłam od tematu. – zauważa Reyna. – Chciałeś wiedzieć, co tak naprawdę tu robimy?

– Wspominałaś o planie naprawy wód, który opracowaliście w akademii. – przypominam. Chcę wreszcie wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Chcę zrozumieć, czym stała się Reyna i dlaczego.

– Skompletowałam załogę. Zostałam kapitanem. Bank wręczył mi pieniądze, które dla mnie zostawiłeś, twierdząc, że miał polecenie przekazać mi je, gdy ukończę naukę. I przeczytałam list, który do nich dołączyłeś, z wyjaśnieniami, co, u licha, mam z nimi zrobić.

Marszczę brwi.

– Ale ja nie zostawiłem ci żadnego listu. – zauważam.

– No właśnie. – Reyna uśmiech się kwaśno, po czym ciągnie opowieść. – Musiałam podjąć służbę u króla, żeby nasz plan miał większe szanse powodzenia. –

ciągnie. – Nie wiem, czy inaczej cokolwiek by się udało, a tak mieliśmy właściwie tylko dwa problemy...

Heard chrząka.

– „Nadmorską piosnkę.” – mówi pod nosem.

Reyna gromi go spojrzeniem.

– Tak. – przyznaje. – I topicielkę. Zostawiliśmy ją na Odrobinie Nadziei. Albo zabrał ją jakiś kolejny statek, albo została szczęśliwą farmerką.

Uświadamiam sobie, że rzeczywiście, nigdzie na pokładzie nie widziałem topicielki. Czy to znaczyło, że Reyna osobiście wyrzucała ludzi za burtę? Nie potrafię nawet zmusić się, by to sobie wyobrazić. Reyna bała się potworów, nienawidziła krwi, brzydziło ją to, co dzieje się na tych wodach. Ale, mimo to, postanowiła po nich żeglować.

Opieram czoło o dłoń. Mam wrażenie, że moja głowa zaraz eksploduje od środka.

– Tak czy inaczej, przemalowaliśmy „Zefira”, wymieniliśmy flagę Majaru na naszą własną i przeszliśmy do realizacji planu.

– Który zakładał... – dociekam.

Reyna bierze głęboki wdech. Heard spogląda w jej stronę, chyba również niepewny, co takiego mi powie.

– Przepłynęliśmy Bestialskie Morze, całe, od Majaru do Kraterii, bez żadnych strat w ludziach. – oznajmia, po czym dodaje pospiesznie. – Wliczając w to niewolników.

Po chwili ciszy, która między nami zapada, wybucham głośnym śmiechem.

– Gdyby to było możliwe... – mówię. – nie sądzisz, że już dawno inni żeglarze nie odkryliby, jak to zrobić?

– To prawda. – wtrąca Heard. Jego twarz nie wyraża już poufalej wesołości. Teraz jest śmiertelnie poważny. – Zrobiliśmy to, i to nie raz.

Wpatruję się pytająco w Reynę.

– To jest możliwe, James. – mówi. – Daliśmy radę. Cztery lata układaliśmy plan, jak tego dokonać i się udało. Mogę ci to udowodnić. Mam w kajucie mapy,

które sporządziliśmy...

- Ja też mam mapę. – wtrąca Heard, a powaga zupełnie znika z jego twarzy.
- Nie masz za to ani krzty wstydu, czy przyzwoitości. – prycha Reyna. –

A James nie chce oglądać twojej mapy.

Zachodzę w głowę, o co może im chodzić, gdy sternik obdarowuje ją szerokim uśmiechem.

- Zmieniłaś się. – zauważam. – Wtedy byłaś inna.

– Gdy ją poznaliśmy, też była inna. – wtrąca Heard. – Ale, może bycie kapitanem zmienia człowieka. Obowiązek, który na tobie spoczywa, decyzje, które musisz podjąć i za nie odpowiadać. Czasem niewybaczalne decyzje. Z tobą tak nie było?

Przez chwilę myślę o chłopcu, którym kiedyś byłem i o tym kimś, w kogo zmieniłem się, zakładając kapitański płaszcz.

Kiwam głową potwierdzając, a wtedy Reyna ponownie się odzywa.

– Nie osiągnęliśmy tego od razu. – mówi, a jej ton jest jakiś odległy, zbyt oficjalny jak na nią. – Nim doszlifowaliśmy plan przebycia wód bez ofiar, musieliśmy przepłynąć tędy kilka razy. Zanim osiągnęliśmy perfekcję, musiałam poświęcić dziesięciu ludzi.

- Niewolników? – pytam, marszcząc brwi.

Reyna krzywi się, ale potwierdza.

– To i tak minimalne straty, jak na tak nieprzewidywalne przedsięwzięcie. To cud dla pozostałych z nich, że uszli z życiem. – stwierdzam cicho, ale Reyna nie wygląda na przekonaną.

– Ale, jak powiedzieć dziesięciu ludziom, że ze wszystkich, to ich czeka śmierć? Dla większego dobra. Po to, by inni nie musieli umierać. Jak wybrać tych dziesięciu, plamiąc na zawsze swoją duszę i sumienie. Zamieniając się w...

– ... w potwora. – kończę. – Nie da się. Dlatego wszyscy na tych wodach jesteśmy potworami. Te istoty w morzu i ci ludzie na pokładach. Tak, jak ja byłem potworem z „Aquarius”, teraz wy wszyscy jesteście potworami z „Arachne”.

Reyna wygląda tak żałośnie, że przez myśl przechodzi mi, czy czasem ona sama nie musiała utopić tych nieszczęśników. Przez chwilę mam ochotę objąć ją i pocieszyć, ale w porę uświadamiam sobie, że to nie jest już ta sama kobieta, którą znałem pięć lat temu. Teraz to kapitan Arachne, a ja wciąż nie wiem, czy szanuję ją z powodu tego, co rzekomo osiągnęła, czy raczej nienawidzę za to, że odebrała mi Reynę.

Nim zdążę zrobić czy powiedzieć cokolwiek, Reyna odwraca się i odchodzi, a za nią unosi się mętny zapach fiołków i pomarańczy.

Pamiętam, jak na Dali często czuć od niej było fiołkami. W końcu zapytałem ją, jak to robi, a ona się roześmiała. Powiedziała mi wtedy, że, gdy wpadła do morza, miała w kieszeni flakonik perfum, który musiał rozbić się, gdy miały ją fale. Zawartość wylała się na kurtkę i wsiąkła w materiał tak mocno, że żadna siła nie była w stanie go wywabić.

Tylko, że ta Reyna nie wygląda na kogoś, kto mógłby śmiać się tak beztrąsko. Ta Reyna zdaje się być poważna i odległa.

Zdaje się, że jest dokładnie taka, jakim i ja wydawałem się jej być przez cały czas.

Nim odchodzi poza zasięg głosu i nim zacznę rozważać jakiegokolwiek za i przeciw tego pomysłu, krzyczę za nią.

Reyna odwraca się z pytaniem wymalowanym na twarzy.

– Ta szabla – spoglądam pytająco na broń przytoczoną do jej paska. – potrafisz się nią posługiwać czy to tylko taka atrapa?

Reyna patrzy mi prosto w oczy.

– Chcesz się przekonać? – pyta. W jej głosie wyzwanie miesza się z rozbawieniem. Przez chwilę w rysach pomiędzy elementami jej maski dostrzegam starą Reynę.

Poprzedniego wieczoru kilkoro załogantów „Arachne” przytargało mi do kajuty moje kufry z „Wichru Wolności”. W jednym z nich była i moja szabla, z którą wracam po chwili na pokład.

Choć pewnie wszyscy myślą, że tego nie widzimy, to mojej uwadze nie umyka, iż dosłownie każdy członek załogi tylko udaje, że coś robi, tak naprawdę cały czas zerkając w naszym kierunku. Chcą obejrzeć dobre przedstawienie.

Może jednak nie wszyscy... jeden z nich wydaje się nie być zupełnie przejęty tym, czy Reyna zauważy, że się obija, czy nie. Ciemnoskóry, młody mężczyzna z szopą kręconych włosów siada na beczce niedaleko nas i jawnie się nam przygląda.

– To Randel. – mówi Reyna, takim tonem, jakby to imię wystarczyło za wszelkie wyjaśnienia. – Nie przejmuj się nim.

– Ale mogę dać wam sygnał do rozpoczęcia walki? – pyta ciemnoskóry, uśmiechając się krzywo.

– Możesz. – oznajmia Reyna, a tamten sięga za pasek, by dobyć rewolweru. – Ale nie marnuj naboju. – dodaje, a mina Randela rzednie. Pospiesznie zabiera rękę z rękojeści broni.

– No to... – grzebie przez chwilę w kieszeniach, aż odnajduje brudną chusteczkę i unosi ją do góry. – Start!

Spodziewam się, że przez dłuższą chwilę będziemy tańczyć wokół siebie i podpuszczać nawzajem do ataku, ale Reyna mnie zaskakuje od razu zamachując się szablą w moim kierunku. W porę paruję cios.

Planowałem dać jej wygrać. Może trochę się pobawić, ale ostatecznie pozwolić jej na triumf, tyle, że nie ma takiej potrzeby.

Reyna radzi sobie aż za dobrze.

Naprawdę tańczyliśmy, obchodząc się dookoła i nieprzerwanie atakując, a szczęk naszych zderzających się szabli niósł się po całym pokładzie.

Niektórzy z załogantów, przykładem Randela, porzucili swoje obowiązki i zebrali się wokół nas, oglądając rozrywkę, jaką im zapewnialiśmy.

Reyna, choć coraz bardziej zmęczona, zdaje się czerpać z tego pojedynku satysfakcję. Właściwie, dla mnie też jest on przyjemną rozrywką, zważywszy, że dawno już nie miałem godnego przeciwnika.

Tylko... skąd ona to potrafiła? Walki szablą nie uczą w Akademii Morskiej, a jeszcze pięć lat temu, jestem tego pewien, nie potrafiłaby nawet poprawnie jej trzymać.

Im dłużej ścieramy się, tym słabsze i mniej precyzyjne stają się jej ataki. Choć radzi sobie naprawdę dobrze, nie daje rady mi dorównać i w pewnym momencie jej szabla z głośnym brzdękiem upada na deski pokładu.

Reyna unosi ręce uśmiechając się szeroko.

– Zdaje się, że wygrałeś. – mówi, podnosząc szablę.

Chyba też się uśmiecham, dlatego, że dawno już nie miałem okazji poćwiczyć z przeciwnikiem z krwi i kości, a także dlatego, że ten szeroki uśmiech, który wykwita na jej twarzy, przypomina mi tą jej wersję, za którą gotów byłem stawić czoła potworom i dać się porwać piratom, byleby tylko ją odzyskać.

– Gdzie nauczyłaś się walczyć? – pytam, podczas gdy reszta załogi w pośpiechu wraca do pracy, udając, że wcale jej nie przerwali.

– Heard mnie uczył. – wyjaśniła. – A ty skąd masz takie umiejętności? – pyta podchwytliwie. Kiedyś by tego nie zrobiła. Kiedyś po prostu przyjęłaby do wiadomości, że to jeden z moich licznych talentów i przeszła z tym do porządku dziennego, jednak cztery lata w akademii udowodniły jej, że wszystkiego, co potrafię, musiałem się gdzieś nauczyć.

– Jeszcze w Norii latałem po mieście z szablą. – wyjaśniam. – A uciekając z domu obiecałem sobie, że nigdy już nie dam sobą pomiatać i nigdy nie dam się skrzywdzić. Gdybym nie umiał się bronić, prędko skończyłbym jako żebrak. Najpewniej martwy żebrak. Więc ćwiczyłem, kiedy tylko nadarzała się okazja. A skąd twój sternik wie, jak walczyć szablą?

– Jego zapytaj. – Reyna uśmiecha się krzywo. Tym razem jest to uśmiech Arachne.

Wciąż nie wiem, czy w ogóle przepadam za Heardem, dlatego wolę nie ryzykować tym pytaniem. Dociera do mnie jednak, że może Reyna to wciąż Reyna, tylko za maską, którą przywdziewała ostatnio zbyt często i w efekcie stała się ona jej drugą naturą.

Może jest pod tym względem podobna do mnie: dzieciaka pod maską kapitana, który został legendą zbudowaną na wyobrażeniach małego chłopca.

Jestem gotów dać jej szansę. Nie jedną, mogę dawać jej szans więcej niż gwiazd na niebie, jeśli znaczyłoby to, że pewnego dnia do mnie wróci, taka sama jak kiedyś.

Jestem gotów posłuchać o potworach.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 3
na „Arachne”*

Gwiazdy, które wszystko widzicie, każdej nocy obserwując świat, nie odwracajcie się ode mnie.

Możecie zapomnieć wszelkie moje winy, zapomnieć o potwornościach, które splamiły moje sumienie. Potworów do potępienia na tych wodach i tak macie pod dostatkiem.

James Crepusculum

ROZDZIAŁ SIÓDMY

KOBIETA, KTÓRA PRZECHYTRZYŁA POTWORY

Następny dzień niemal cały spędzam w kajucie kapitan Arachne, siedząc wraz z Reyną przy biurku zawalonym mapami i kubkami po wypitej przez nas kawie - pewnie jednym z towarów skradzionych z napadniętych przez nią statków.

Reyna pokazuje mi sporządzone przez siebie notatki i mapy. Kilka z nich jest w zasadzie nienaruszonych, ale pozostałe pokryte znakami i pospiesznymi bazgrołami. Na jednej nie jestem w stanie dojrzeć końca ani początku, bo w całości wykonana jest przez Reynę i pokryta jej zawiłym charakterem pisma.

Trasa, którą opracowała, w znacznym stopniu odbiega od tej, którą podążają królewskie okręty. Rozbieżność rozpoczyna się tuż za krakenem, co zastanawia mnie, gdyż ponoć „Arachne” udaje się przepłynąć morze bez żadnych ofiar. Dalej porywa się na samobójczą przeprawę przez Syrenie Skały, by wypłynąć gdzieś na obrzeżach strefy zagrożonej atakiem olbrzymiego wieloryba. Następnie jej plan zakłada opłynięcie Wyspy Odrobiny Nadziei, ale nie od zachodu, a od wschodu, wpadając niemal na łowiska latających kałamarnic.

– W ten sposób omijamy zupełnie lewiatana. – wyjaśnia.

– Ale wówczas nie ma sposobu, aby handlować z wyspą. – zauważam. – Zresztą, co z kałamarnicami? I charybdą?

– Na charybdę mamy sposób. – mówi. – A co do kałamarnic... one nie są mięsożerne, podobnie jak meduzy w pobliżu wybrzeży Majaru. Stanowią niebezpieczeństwo z innego powodu. Meduzy przyklejają się do dna statku i powoli ciągną go pod powierzchnię, natomiast kałamarnice... one... skaczą? Nie wiem, jak to ująć, na pewno nie latają. Ale jak tylko wyczują niebezpieczeństwo,

wypuszczają z siebie atrament, który unosi się w powietrzu jak mgła. Jeśli w porę nie wydostanie się z zagrożonej strefy, nie widać nawet dokąd się płynie i rozbija się o skaliste wybrzeża Odrobiny Nadziei. Ale nic się nie stanie, jeśli wiesz, jak umiejętnie je ominąć.

Wizja, którą mi przedstawia, jest zbyt piękna. Chciałbym móc w nią wierzyć, ale nie jestem w stanie, puki nie zobaczę tego na własne oczy.

Zostaję z Reyną nawet wówczas, gdy dawno już skończyła mi wszystko wyjaśniać. Na przemian widzę w niej Reynę i Arachne.

Opowiada mi o akademii, o nauce i ludziach, których tam poznała. Dowiaduję się dzięki temu, że w akademii poznała zarówno Hearda, jak i swoją bosman – Anikę, nawigatora imieniem Jackin i kilkoro innych, nieobecnych na pokładzie. Razem z nimi studiowała stare dzienniki i notatki z podróży przez Bestialskie Morze z okresu ostatnich stu lat i wspólnie opracowali plan bezpiecznej przeprawy. Odnoszę jednak wrażenie, że, choć Reyna upiera się, iż to ich wspólna zasługa, ona miała w tym wszystkim największy wkład.

- Skoro ta Apatszanka, wybaczone, zapomniałem jej imienia...
- Anika. – przypomina Reyna, wpatrując się we mnie pytająco.
- Skoro ona jest twoim bosmanem... to kto jest pierwszym oficerem?

Reyna uśmiecha się lekko.

- Joy.

Tej odpowiedzi się nie spodziewałem.

- Joy? – powtarzam. – Przecież on nawet nie ukończył akademii.
- Przekazywałam mu wszystko, czego się uczyłam, a poza tym pływaliśmy razem na szkoleniowych rejsach. – wyjaśnia. – Teraz nadal się uczy, ale wolałam żeby, w razie gdybym musiała oddać „Arachne” pod dowództwo kogoś innego, był to ktoś, komu ufam bezgranicznie.

– Urzędnicy zgodzili się wpisać go do rejestru jako oficera? – nie dowierzam. Właściwie to mam wrażenie, że stanowiska jakie zajmują poszczególne osoby na tym statku są im przydzielone tylko dla zasady, by każdy wiedział, jakie obowiązki

ma wypełniać. Pod innymi względami załoga, a w szczególności przyjaciele Reyny z akademii, niezależnie od funkcji, zachowują się jak sobie równi.

– Nie, ale, jak już pewnie zauważyłeś, nie obchodziło nas wiele rzeczy, na które nie zgadzali się urzędnicy. Wpisaliśmy Hearda, ale na pokładzie wszyscy wiedzą, że jest sternikiem.

– Twoja załoga wie, że Joy to twój adoptowany syn? – interesuję się, zmieniając temat, nim dowiem się, że artylerzysta jest jednocześnie kukiem i może pomylić proch strzelniczy z pieprzem.

– Już nie. – Reyna uśmiecha się pod nosem. – Ojciec pociągnął za parę sznurków z dawnych lat i zmieniliśmy wpis w dokumentach. Teraz Joy to mój brat i całe zresztą szczęście.

Przez okna do kajuty zaczynają wpadać promienie zachodzącego słońca, a Reyna wstaje od biurka i zarzuca na ramiona ciemnoniebieski płaszcz.

– Mam nadzieję, że wypocząłeś przez te parę dni. – mówi. – Bo przez następny tydzień nie będziesz mógł narzekać na brak rozrywek.

Unoszę pytająco brwi.

– Chciałeś oglądać, jak radzimy sobie z potworami. – przypomina. – Dzisiejszej nocy pora poigrać sobie z krakenem.



Tego dnia Reyna wyjaśniła mi jakich spostrzeżeń dokonali odnośnie krakena: potwór nie posiada zmysłu słuchu ani węchu, a jedyne czym się kieruje, to wzrok. Nie mam jednak pojęcia, jak zamierzają to wykorzystać. Co gorsza, jeśli dobrze ich rozumiem, chcą przepłynąć krakena nocą. Żaden okręt nigdy wcześniej nie poważył się na starcie z którymkolwiek z potworów po zmierzchu.

Gdy wychodzimy na pokład, Reyna w pośpiechu wysyła mnie do kajuty.

– Miej przy sobie jakąś broń. – radzi, a ja ukradkiem zerkam na załogę „Arachne”, dźwigającą bele czarnego materiału i pospiesznie wnoszącą pod pokład

wiadra po farbie. – Przepłynęliśmy już tędy kilka razy bez szwanku, ale nigdy nie wiadomo, kiedy kraken uświadomi sobie, że został oszukany.

Schodzę więc do swojej kajuty po broń.

Choć każdy z żeglarzy cały czas nosi przy sobie rewolwer albo chociażby rapier, ja zdecydowałem się tego nie robić. I bez broni przy pasie podejrzliwie na mnie zerkają.

Jestem zaskoczony, gdy wchodzę do swojej kajuty i zastaję kogoś w środku. Młody mężczyzna zakłada właśnie na bulaj kawałek czarnej tkaniny.

Gdy uświadamia sobie, że nie jest sam, odwraca się w moim kierunku i posyła mi niepewny uśmiech. Ma przyjazną aparycję i krótkie, ciemne włosy z prawej strony posplatane w dwa cieniutkie warkoczyki, przyozdobione kolorowymi paciorkami. Podejrzewam, że jest to trzeci z poznanych przez Reynę w akademii żeglarzy – nawigator Jackin.

– Zasłaniamy wszystkie bulaje. – wyjaśnia. – Kraken kieruje się jedynie wzrokiem, więc ma być tu ciemno jak w grobowcu. Rozkaz kapitan.

Kiwam głową i sięgam do swojej skrzyni. Nie jestem pewien, co byłoby bardziej przydatne w walce z krakenem: broń palna czy biała, zatem biorę zarówno szablę, jak i rewolwer. Choć podejrzewam, że gdyby doszło do tej walki, pewnie oba okazały się równie bezużyteczne.

Jackin przygląda mi się ciekawie, gdy przypinam broń do pasa.

– Reyna kazała mi się uzbroić. – wyjaśniam, widząc jego spojrzenie. – Rozkaz kapitan.

Nawigator posyła mi przyjazny uśmiech, po czym wychodzi, a ja ruszam w ślad za nim.

Pod moją nieobecność załoganci zdążyli dokończyć zamalowywanie wszelkich lśniących i metalowych elementów statku. Także żagle wymieniono z białych na czarne. Czerwoną banderę z pajakiem zupełnie zdjęto.

Jackin miał rację – statek prezentuje się jak upiorny grobowiec, a ja staram się nie dopuszczać do siebie myśli, że jeśli coś pójdzie nie tak, to w rzeczy samej „Arachne” będzie naszym grobowcem.

– Nie mogę się doczekać, aż pan to zobaczy! – dobiega mnie rozradowany głos Joy’a, który nagle pojawia się tuż obok. – Będzie pan pod wrażeniem!

Moje spojrzenie na chwilę ucieka w stronę „Wichru Wolności”. Jego żagle również wymieniono.

– Co się stanie z tamtym statkiem? – pytam, wskazując go brodą.

– Połowa naszej załogi jest na pokładzie. Od wczoraj pracowali nad jego wyglądem, żeby był ciemny, jak „Arachne”. Będą płynąć tuż za nami. – wyjaśnia chłopak. – Już to robiliśmy, nie ma się pan czego obawiać. – zapewnia, a ja zastanawiam się, czy widać po mnie, jak bardzo nie dowierzam w powodzenie ich planu, chociaż Reyna i reszta jej załogi zapewniają mnie, że dokonali tego już nie raz.

– Weź to. – Heard podchodzi do mnie z małym flakonikiem w ręce.

Marszczę brwi, nie rozumiejąc, o co chodzi, gdy odbieram od niego buteleczkę.

– Za dwa dni będziemy płynąć bezpiecznie między Syrenimi Skałami, ale do tego czasu może nas dopaść wąż morski. Co prawda nie będziemy przepływać przez jego łowisko, ale wolimy nie ryzykować.

– A to, co mi podałeś... – spoglądam pytająco w jego stronę. – To, co to właściwie jest? Trucizna, którą mam zażyć, zanim szczęki węża rozerwą mnie na strzępy?

– To jest olejek. – mówi powoli Heard. – Joy wytłumaczy ci resztę. – dodaje i idzie dalej, rozdając flakoniki innym członkom załogi.

– Czy on próbuje mi zasugerować, że śmierdę i niegodnym jest umierać z takim stanem rzeczy?

– Kraken polega jedynie na swoich oczach. – mówi Joy. – Wąż morski na węchu. Potrafi wyczuć ofiarę z odległości wielu mil. Ale Reyna znalazła gdzieś, w jakiś starych dziennikach, że wąż nie zaatakował nigdy ani jednego statku, który przewoził zapasy goździków i cynamonu na sprzedaż. Zdaje się, że nie lubi tego zapachu, dlatego, gdy wypływamy w rejony w jego pobliżu, wylewamy na siebie

trochę tych olejków. Odkąd zaczęliśmy to robić, jeszcze ani razu nas nie zwęszył. Nie atakuje, jeśli nie wyczuwa krwi. I ucieka, kiedy czuje cynamon.

Zastanawiam się, ile razy zwęszył ich, zanim wpadli na ten pomysł, ale tak naprawdę, chyba nie chcę tego wiedzieć. Odkręcam buteleczkę i przykładam ją do nosa. Jestem pewien, że po minięciu zagrożenia, będę krzywił się za każdym razem, ilekroć wyczuję gdzieś ten zapach.

– Może i dobrze, że cynamon, a nie wiosenna łąka. – stwierdzam, zakręcając ją pospiesznie.

Joy uśmiecha się pod nosem.

– Jedna taka butelka to jedna przeprawa tam i z powrotem. – dodaje Joy. – Musi pan wylać na siebie ćwiartkę, gdy znajdziemy się w pobliżu strefy zagrożenia. I drugą, gdy zapach tej pierwszej zacznie się ulatniać.

Patrzę na niego, jakby oszalał.

– Chyba zwymiotuję, jeśli będę miał na sobie pół butelki tego czegoś. – ostrzegam.

– Niewątpliwie. – zapewnia Joy. – Ale wszyscy będą cierpieć podobne katusze. Cały okręt będzie miał nudności, dopóki nie wpłyniemy między skały.

Choć nie uśmiecha mi się ta wizja, chyba wolę zatruć się zapachem, niż zostać zjedzonym przez węża.

– Skąd bierzecie te olejki i to w takich ilościach? – pytam. Nie wiem, czy całe moje wynagrodzenie starczyłoby na tyle butelek.

– Ze statków towarowych. Gdy je napadamy, zabieramy cały ładunek.

Joy nie zdążyła dodać nic więcej, bo woła go Reyna.

Gdy wpływamy w strefę ataków krakena, na pokładzie zapada absolutna cisza, jakby załoga obawiała się, że głuchy potwór jednak zdoła ich jakoś usłyszeć. Tylko czasem dobiega mnie cichy dźwięk modlitwy szeptanej przez bosman – Anikę.

Ale płyniemy niezauważeni. Gdyby nie ta grobowa atmosfera, nie sposób byłoby stwierdzić, że, być może, przepływamy właśnie nad wygłodzoną bestią.

Gdy zapada świt, a niebo przybiera barwę bladego różu, zaczynam dostrzegać geniusz planu Reyny. Po tym, jak zobaczyłem, że to faktycznie możliwe, przestaje

wyglądać on dla mnie jak mrzonki szaleńca.

W ten sposób można ocalić setki ludzi i to nie tylko niewolników. Ile to razy zdarzało się, że coraz to bardziej wygłodniałe potwory domagały się większej liczby ofiar i kapitanowie zmuszani byli poświęcać własną załogę?

Przed południem wypływamy ze strefy znaczonej na wszystkich mapach tych wód ciemną czerwienią.

Po krakenie nie było i nie ma ani śladu.

Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 7
na „Arachne”

Im dalej brnę w to wszystko, tym mocniej utwierdzam się w przekonaniu, że to wcale nie jest rzeczywistość. To chyba tylko bardzo długi i dziwaczny sen, przemieniający się naprzemiennie w koszmar i urojenia szaleńca. Przecież to, czego dokonała Arachne, nie jest możliwe. A Reyna nigdy nie wróciła na Bestialskie Morze. Nigdy mnie nie zostawiła.

Gwiazdy, długo jeszcze będziecie zajmować niebo? Wolałbym się już obudzić. Wolałbym wrócić do rzeczywistości, bardziej bestialskiej, a jednocześnie znacznie piękniejszej.

James Crepusculum

ROZDZIAŁ ÓSMY

WSCHODNIE WODY

Gdy wpłynęliśmy między Syrenie Skały, cała załoga, bez wyjątku, ślęczała nad baliami z wodą i szorowała swoje ubrania, starając się wywabić z nich przyprawiający nas już o mdłości cynamonowo-goździkowy zapach. Pozbycie się go zupełnie okazuje się jednak niemożliwe i wciąż czuję na koszuli lekki zapach korzennych przypraw.

Chyba żadne z nas nie byłoby w stanie nawet spojrzeć na coś doprawionego cynamonem, dlatego nie dowierzam, gdy słyszę, jak Reyna pyta Joy'a, czy nie widział gdzieś kucharki, bo naszła ją potworna ochota na ciastka korzenne. Mam nadzieję, że żartuje, ale nie. Ona mówi jak najbardziej poważnie.

Wydaje się, że sposób Reyny mimo wszystko faktycznie zadziałał, przynajmniej wąż morski nas nie zaatakował. Teraz załoga „Arachne” męczy się z karkołomną próbą przepłynięcia pomiędzy Syrenimi Skałami.

Zaczynam odczuwać mimowolny podziw dla Hearda, który radzi sobie z tym doskonale.

Jutro powinniśmy być już za skałami. Ominięcie potworów w ten sposób sprawia, że okręt płynie puki co z niewielkim tylko opóźnieniem w stosunku do zwykłej trasy.

Dziś przekonam się, w jaki sposób „Arachne” pokonuje syreny.

- W żaden. – oznajmia Reyna, gdy ją o to pytam.
- Wspominałaś, że działacie podobnie jak inne statki. – przypominam. – Że wysyłacie na pokład same kobiety.

– Bo tak robimy. Ale tylko na wszelki wypadek. Udaje nam się wyminąć syreny, bo „Arachne” płynie nieco bardziej na wschód, niż inne statki. Mijamy je, powiedzmy, o włos.

– A co jeśli jednak staną na waszej drodze?

– Nie wiem. – przyznaje Reyna. – Puki co, jeszcze się to nie zdarzyło. Nie będę mogła wtedy liczyć na Hearda za sterem, więc będę zdana tylko na siebie. Ale za każdym razem dajemy radę. – zapewnia pospiesznie. – Może lepiej zejść pod pokład. – dodaje ostrożnie. – Powinna tam być Anika, dostaniesz od niej trochę wosku do uszu.

Nie specjalnie mam ochotę zwracać się z czymkolwiek do Aniki, zważywszy, że wyraźnie za mną nie przepada, ale śmierć w morskich odmętach uśmiecha mi się jeszcze mniej, więc decyduję się jednak na spotkanie z bosman „Arachne”.

Gdy schodzę na dół, mija mnie kobieta, której do tej pory nie widziałem. Ma długie, czarne włosy związane w warkocz, a poza tym jest niemożliwie wręcz otyła. Zdaje się, że to kucharka.

Ona też jeszcze mnie nie widziała. Gdy obrzuca mnie spojrzeniem, identycznym jak te, posyłane mi zwykle w portach przez naiwne dziewczęta, umykam pospiesznie pod pokład, na spotkanie z bosman.

Anika wręcza mi porcję wosku, mrużąc coś pod nosem. Nie jestem pewien, czy to obelgi, czy prośby skierowane do bogów, by chronili moją duszę, ale wolę się nie przysłuchiwać.

Reyna miała rację, omijamy syreny bez konieczności konfrontacji z nimi i czeka nas jeszcze tylko jeden potwór, nim będziemy chwilowo bezpieczni.

– Wieloryba też ominiemy w jakiś cudowny sposób, czyż nie? – pytam Joy’a, który niemal skacze ze szczęścia, po tym, jak oznajmiłem mu, że owszem, jestem pod ogromnym wrażeniem tego, jak z zaskakującą łatwością neutralizują śmiertelne niebezpieczeństwa, które od niemal stu lat czyhają na tych wodach.

– Nie omijamy go... – mówi przeciągle Joy, kręcąc palcami.

– Więc... co robimy, skoro go nie omijamy?

– Przepłyniemy tuż przy nim.

Nie jestem pewien, co chłopak ma na myśli.

– Ale przecież wieloryb zawsze jest do połowy wynurzony. – zauważam.

– Na ogół wynurza jedynie pysk i płetwę ogonową. My przepływamy tuż za ogonem. – wyjaśnia.

– I wieloryb tak po prostu wam na to pozwala? – nie dowierzam.

– Nawet nas nie widzi. Musielibyśmy płynąć tak, jak inne statki, tuż przed jego paszczą, żeby zwrócił na nas uwagę. Potwory, mimo tej ich potworności, są bardzo głupie.

Nie sądzę, aby tysiące ludzi, którzy zginęli w ich paszczach poparli jego słowa.

Gdy zbliżamy się do wieloryba, stwierdzam z całą pewnością, że wolę omijać potwory, nawet jeśli oznacza to stanie i wpatrywanie się w gładką taflę wody przerażonym wzrokiem, w obawie, że nagle wyskoczy z niej monstrum. Przebycie wieloryba nie daje nam nawet złudzenia bezpieczeństwa - widzimy go w niemal całej okazałości.

– Myślałem, że jesteś geniuszem. – zwracam się do Reyny, która stoi na mostku i obserwuje coraz to bliżej znajdującą się bestię. – Ale teraz zaczynam mieć co do tego wątpliwości.

– Nic nam nie będzie. – zapewnia poważnym głosem. Ona w to wierzy, wierzy, że wszystko, co osiągnęli, może naprawić nasz świat. Może też w to uwierzę, jeśli wyjdziemy z tej przeprawy bez szwanku.

Wieloryb nijak nie reaguje na to, że do niego podpływamy. Ogromna płetwa ogonowa porusza się nad wodą, ale prócz tego nie wykonuje żadnego ruchu. Nie odwraca się, a jego monstrualny łeb jest zupełnie nieruchomy.

Anika znów się modli.

Z wolna przepływamy za wynurzoną częścią jego ogona.

I wtedy wieloryb się porusza.

Jego ogromny ogon z ogłuszającym pluskiem w całości zanurza się pod wodę. Wielka fala uderza w „Arachne”, wdziera się na pokład, przewraca nas wszystkich i niemal wyrzuca za burtę.

– Przestań się z tym cackać, Heard! – krzyczy Reyna, podnosząc się z desek pokładu. Jest zupełnie przemoczona, ciemne włosy lepią się jej do twarzy, z płaszcza ścieka woda. – Anika, powiedz tym przy wiosłach, że cała naprzód!

Mogę odetchnąć z ulgą dopiero, gdy całkowicie mijamy zagrożenie. Nie mam pewności, czy życie zawdzięczamy jedynie łutowi szczęścia, czy może wieloryb co jakiś czas zanurza się w całości i nie miało to nic wspólnego z faktem, że tuż za nim przepływał jakiś statek.

– Mówiłam, że wszystko będzie w porządku. – Reyna idzie w moją stronę, wyzymając końce przemoczonej koszuli.

– Powinniście skorygować kurs. – stwierdzam. Woda skapuje mi z włosów prosto do oczu. – Płyniecie za bardzo na wschód. Jak tak dalej pójdzie, trafimy nie do Kraterii, a wprost w łapy prawdziwych piratów.

– Ale... my nie płyniemy do Kraterii. – mówi ostrożnie Reyna.

– A zatem dokąd? – marszczę brwi, zerkając na nią podejrzliwie.

Reyna uśmiecha się pod nosem.

– Do naszej bazy wyjściowej. Do kryjówki nieprawdziwych piratów.

*Miesiąc 1, tydzień 2, dzień 5
na „Arachne”*

Chyba błędę.

Od tygodni przestaję patrzeć w gwiazdy, bo nie wskazują mi już drogi do celu.

Ale to nie dlatego, że nie ma ich na niebie.

To dlatego, że ja nie wiem, co jest moim celem.

James Crepusculum

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

DROGA DO PRZESMYKU KOŚCI

– Obserwuję cię od jakiegoś czasu. – słyszę za sobą znajomy głos, gdy bez celu przechadzam się po pokładzie. – Ty się tu dusisz.

Na „Arachne” jestem czymś na pograniczu pasażera i więźnia, choć nikt nie mówi mi tego wprost. Nie należę do załogi i nie mam tu żadnych obowiązków. I nie mogę opuścić tego okrętu, muszę płynąć wraz z nimi, niezależnie, jaki kurs obiorą.

Załoga patrzy na mnie podejrzliwie lub obojętnie. Jackin wydaje się być przyjaźnie nastawiony. Joy mnie uwielbia. Anika mnie nie znosi.

Wolę nie ryzykować przebywania pod pokładem, w obawie przed kucharką, która od dnia, gdy zobaczyła mnie po raz pierwszy, zawzięcie szuka sposobności, by przebywać akurat tam, gdzie i ja jestem w danym momencie.

Głos, który za sobą słyszę należy do Hearda.

– Po prostu czuję się bezużyteczny. – mówię. – Wyjaśnij raczej, dlaczego ty mnie obserwujesz.

– Bo nie jestem pewien, czy możemy ci ufać. Reyna jest w ciebie ślepo zapatrzona i zdradza ci wszystkie nasze plany. Trzyma cię na pokładzie, oferuje prywatną kajutę, omawia z tobą naszą strategię, a teraz jeszcze zabiera do kryjówki, o której lokalizacji nie powinieneś mieć bladego pojęcia. Jeśli ufa ci tak bardzo, chcę mieć pewność, że ma ku temu słuszne powody.

– Nie wydam was nikomu. – zapewniam. – Choć nie ukrywam, że gdyby wyjawić innym wasze osiągnięcia, tylko byście na tym zyskali, nie mówiąc już o reszcie świata.

– Komu mielibyśmy o tym powiedzieć? – pyta Heard, krzyżując ręce. – Królowi Majaru? Księżciu Kraterii? Zareagowaliby dokładnie tak samo jak ty, gdy usłyszałeś o naszej działalności. Wyśmialiby nas. A potem kazali powiesić za piractwo, grabieże i uprowadzanie marynarzy państwowych.

Przez chwilę patrzy na mnie wyzywająco, jakby czekając tylko, aż powiem, że i tak ich wydam, bo tylko na to zasługują.

– Nie pisnę ani słowa o tym, co robicie. – zapewniam ponownie.

– Puki co i tak nie będziesz miał ku temu okazji. – stwierdza Heard, potwierdzając moją teorię co do tego, że większość załogi uznaje mnie raczej za więźnia, aniżeli pasażera. To od nich zależy dokąd trafię i co się ze mną stanie.

– Nie wpakowałbym Reyny w takie bagno. – zapewniam. – Jeśli zdecydowała się żyć w ten sposób, to jej decyzja. Nie zamierzam nasyłać na nią armii króla.

– Kapitan króla będzie trzymał w sekrecie nasze zbrodnie, dla dobra piratki, będącej od ponad roku największym utrapieniem tego morza? – nie dowierza, ale już po chwili macha ręką i odwraca się, by ruszyć w swoją stronę.

Wciąż nurtuje mnie jedna kwestia i uznaję, że właściwie mogę ją poruszyć nawet teraz, skoro sternik i tak nie pała do mnie zbyt dużą sympatią.

– Co cię łączy z Reyną? – pytam, a on na chwilę zamiera, po czym odwraca się w moim kierunku. Z początku jego twarz jest nieprzenikniona, ale zaraz zamienia się w szeroki uśmiech, którego wyraźnie nie może powstrzymać.

– Mam cię! – klaska w dłonie.

Spoglądam pytająco w jego stronę, ale Heard nie przestaje szczerzyć zębów.

– Może i Reyna ma rację. – mówi, choć nijak nie odpowiada tym na moje pytanie. – Może i możemy ci ufać.

– Na jakiej podstawie to stwierdzasz? – pytam. Ledwo chwilę temu zupełnie nie był do mnie przekonany.

– Nie wydasz jej za żadne skarby, bo ci na niej zależy. – oznajmia. – I nie możesz przeżyć tego, że nie wiesz, co nas łączy, a że coś jest na rzeczy zakładasz zapewne na podstawie poufałości między nami.

– Wydajesz się być jej najbardziej zaufanym pomocnikiem. – stwierdzam bez zbędnego entuzjazmu.

– Nasza grupa z akademii... ufamy sobie nawzajem. Co do pozostałych, zawsze mam jakieś wątpliwości, nawet jeśli wydają się być w porządku. To Reyna decyduje, kogo wcielić do załogi, a ja nie podważam jej osądu, mam ich tylko na oku. Albo czasem i obu oczach, tak jak ciebie do tej pory. Ale sądzę, że jedno oko mogę już przymknąć. Wracając do twojego pytania, nie musisz się o mnie martwić. Ja już dawno oddałem swoje serce i to nie Reyna jest tą szczęściarą.

Heard uśmiecha się do mnie przyjaźnie, chyba po raz pierwszy odkąd się poznaliśmy.

Jeden z setki kamieni, które zaległy na moim sercu w chwili, gdy wróciłem z południa, właśnie spadł, ale ja wciąż nie czuję się dostatecznie lekko.

– Pozwolisz mi wrócić do pracy czy masz jeszcze jakieś pytania? – unosi brwi.

– Właściwie... – zaczynam, bo dawno już chciałem poruszyć ten temat, jednak nigdy nie znajdowałem odpowiedniej sposobności. – Co się dzieje z załogami statków, które napadacie? Co będzie z załogą „Wichru Wolności”?

Ostatni raz, gdy ich widziałem, byli prowadzeni pod pokład. Do części przeznaczonej dla niewolników. Ale jeśli „Arachne” omija wszystkie potwory, niewolnicy nie są jej potrzebni.

– Siedzą na dole, chwilowo jako więźniowie. – mówi Heard. – Dokładnie tam, gdzie i ty siedziałbyś, gdyby nie nasza wspaniałomyślna kapitan, która właśnie idzie w naszą stronę.

Gdy się odwracam, zauważam, że rzeczywiście Reyna zmierza w naszym kierunku.

– Nie pozabijaliście się jeszcze? – zagaduje, gdy do nas dołącza.

– Twój przyjaciel pytał o resztę swojej załogi. – wyjaśnia Heard. – Tłumaczyłem mu, że siedzą pod pokładem.

– Co się z nimi stanie? – dociekam.

– Zabierzemy ich do kryjówki, ale tak, by nie poznali jej położenia. – wyjaśnia Reyna. – Dlatego trzymamy ich na dole. W kryjówce dokonamy selekcji. Jeśli znajdą się chętni, by wesprzeć naszą sprawę, wcielimy ich do załogi. Pozostałych przewieziemy do któregoś z portów.

Przypominam sobie szalonego marynarza, którego wypytywałem w Majarze o „Arachne”. Zapewne należał do tych odstawionych z powrotem na ląd.

– A... w wypadku okrętów pasażerskich? – pytam. Heard przymyka oczy i przygląda mi się przez chwilę, po czym chyba zakłada, że jeszcze długo będę dręczył ich pytaniami, więc rzuca pospiesznie, że wraca do pracy, odwraca się na pięcie i odchodzi.

– Napadliśmy jeden statek pasażerski. – oznajmia Reyna. – To był jeden z naszych pierwszych. Ale było tyle zachodu z tymi wszystkimi pasażerami, których i tak trzeba było odstawić do celu, że zdecydowaliśmy się na razie puszczać je wolno. Ich trasa i tak obejmuje mniej potworów, choć zamierzam zająć się i tym problemem w niedalekiej przyszłości.

– A co robicie z niewolnikami? – pytam.

Jestem świadom, że głównym celem Reyny jest zakończenie tego bestialstwa, jakim jest wyrzucanie ludzi za burtę na pożarcie potworom, nie zmienia to jednak faktu, że wielu z nich to kryminaliści.

– Zależy. – mówi Reyna. – Jeśli są niebezpieczni albo stanowią jakiegokolwiek rodzaju zagrożenie dla naszych planów, zamykamy ich w areszcie w naszej kryjówce.

– Nie odstawiacie ich z powrotem do Majaru albo Kraterii, jak członków załóg?

– Nie, ja... my chcemy zupełnie wyeliminować wyrzucanie ludzi na pożarcie potworom. Gdybyśmy ich odstawiali, wszystko zataczałoby błędne koło, a tak, cóż... zasoby ludzkie w końcu muszą im się skończyć, a wtedy zobaczymy, co wymyślą.

Kiwam głową.

– Może, na wszelki wypadek, powinnaś jednak zabierać na pokład kilku niewolników. – proponuję ostrożnie, niepewny, jaką reakcją to wywoła. – Może morderców najgorszego sortu...

– A czy i oni nie zasługują na życie? My też jesteśmy mordercami, James. Sądzisz, że jedyne, co powinno nas teraz czekać, to śmierć w paszczach potworów?

Chcę już powiedzieć, że przecież różnica między nami, a nimi jest ogromna, ale gryzę się w język. Bo, czy naprawdę jest taka wielka?

– Ale... mówisz, że zamykacie tylko tych niebezpiecznych. – wracam do przerwane go wątku. – Co masz na myśli?

– Nie wszyscy niewolnicy to seryjni mordercy. – wyjaśnia. – Winy niektórych są tak nieistotne... przynajmniej dla nas. Czemu mamy się przejmować kobietą, której jedynym przewinieniem było urażenie króla? Jest kucharką na jednym z moich okrętów. To dobra kobieta, wdzięczna za ocalenie jej życia i oddana naszej sprawie. Randel, nasz artylerzysta, też był niewolnikiem.

Przypominam sobie ciemnowłosego młodzieńca, którego widziałem już wielokrotnie na pokładzie, o gęstych lokach i jakimś dziwnym, nieco niepokojącym błysku w oczach.

Zatem ten ciemnoskóry narwaniec jest artylerzystą. Zastanawiam się, czy Reyna miała po kolei w głowie, gdy go nim mianowała.

– Za co go zamknęli?

– On... lubił bawić się bronią. – mówi wymijająco Reyna. – Ale pływam z nim od roku i wiem, że mogę mu ufać. Gdyby zaszła taka potrzeba, powierzyłabym mu „Arachne”.

– Powierzyłabyś mu „Arachne”, ale nie własne życie. – zauważam.

– Życie nauczyło mnie, bym nie powierzała go w ręce niczyje, poza swoimi. No albo Joy’a, o ile ma pod ręką kokosy.

Uśmiecham się pod nosem. Wtedy na Dali rzeczywiście Reyna zawdzięczała Joy’owi życie. A co do samej Dali... przyznam, że czasem żałuję, iż tamten statek w ogóle po nas przyplłynął. To wszystko, co teraz mnie gnębi, nigdy nie miałyby miejsca.

– Masz jeszcze jakieś nurtujące pytania? – odzywa się Reyna, unosząc lekko brwi. W przeciwieństwie do Hearda jest chętna, by udzielać mi odpowiedzi. Chyba zależy jej na tym, bym ją zrozumiał.

– Cały czas przychodzą mi na myśl nowe, ale puki co, chciałbym po prostu zobaczyć tę waszą kryjówkę. Nie do końca pojmuję, gdzie właściwie może się znajdować.

– Jak sam zauważyłeś, płyniemy na wschód. – podpowiada Reyna.

– Ale na wschodzie jest tylko Duża i Mała Draquaria. No i Skull Terra, ale plotki głoszą, że urzędują tam piraci. Co nie zmienia faktu, że te wyspy to sterta skał, nic poza tym.

– Mówi się tak tylko na podstawie pogłosek, których nigdy nie potwierdzono, bo nikt nie raczył się tam wybrać, by to zbadać. To wyspy w dużej mierze pokryte skałami, ale miejscami i żyzną ziemią. Oraz ogromną siecią jaskiń. Nasza baza jest na Dużej Draquarii.

Patrzę na Reynę, jakby zupełnie oszalała.

– Nie dostaniesz się tam w inny sposób, niż przez Przesmyk Kości lub Przesmyk Śmierci. A tych nazw nie nadano im bez powodu. – zauważam.

– Dokładnie. – Reyna uśmiecha się krzywo. – Przygotuj się, czeka nas przednia zabawa.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 1
w kryjówce piratów*

Niebo nad światem jest jedno, niezmienne.

Gwiazdy, które przez zeszłe lata patrzyły na mnie, patrzyły i na Reynę.

Jak mogły milczeć i dawać mi nadzieję, wiedząc, że nie prowadzi do niczego?

*Jak mogły kierować mnie do niej świadome, że koniec tej wędrówki nie jest tym
końcem, o którym śniłem?*

Nie proszę już, by zabrały mnie na powrót do domu.

Nie wiem nawet, jakie miejsce mogłoby się nim dla mnie teraz stać.

James Crepusculum

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

KRYJÓWKA PIRATÓW

Gdy wpływamy do Przesmyku Kości, powoli zaczyna otaczać nas mgła, a im dalej się posuwamy, tym staje się ona gęstsza. W końcu przestajemy widzieć cokolwiek, wliczając w to siebie nawzajem.

Te mgły są zawieszane między Draquariami od zawsze. Statki, które kiedykolwiek próbowały tędy przepłynąć, w końcu niezmiennie rozbijały się na skałach, a całe ich załogi ginęły. Stąd właśnie nazwy przesmyków.

Gdybym spytał któregokolwiek z marynarzy, czy aby na pewno wiedzą, co robią, pewnie odpowiedzieliby mi to, co w przypadku wszystkich mijanych przez nas potworów: że już to robili, wiedzą, co czynią i, żebym się nie martwił, bo wszystko jest pod kontrolą.

Siedzę zatem cicho.

Co jakiś czas słyszę róg okrętowy, naprowadzający „Wicher Wolności”. Po połowie dnia spędzonej w mlecznobiałej mgle, dobiega nas też sygnał z przeciwnej strony.

Zatem to prawda. Poplecznicy Arachne mają tu swoją kryjówkę.

W końcu statki dobijają do brzegu wyspy.

Po spuszczeniu trapu, cała załoga opuszcza okręt. Schodząc na ląd, dostrzegam jeszcze, że Reyna została w tyle wraz z Randelem i toczą o czymś zawziętą dyskusję. Zostawiam ich tam i dołączam do reszty załogi, mając nadzieję, że wyjaśnią swoim poplecznikom, iż nie jestem ich wrogiem.

Gdy Randel schodzi wreszcie z pokładu, wygląda jakby chciał skakać ze szczęścia. Nie mam pojęcia, co takiego mogła mu powiedzieć Reyna, by

doprowadzić go do takiego stanu. Ona sama schodzi na ląd w ślad za nim.

Zamierzam podejść do niej, ale nagle zamieram.

Na Reynę ktoś czeka, a ja poznaję tę postać.

Jasne włosy Daniela Moondrownera są jak zwykle związane w kucyk, a szary płaszcz powiewa na łagodnym wietrze. Kapitan uśmiecha się szeroko na widok Reyny. Obejmuje ją serdecznie, a potem unosi nad ziemię i kręci się w koło. Gdy w końcu stopy Reyny znów dotykają ziemi, ta całuje go w policzek.

Czuję, jak moja szczęka mimowolnie się zaciska, podobnie pięści, tak bardzo, że aż bieleją mi knykcie.

Nie mam bladego pojęcia, co robi tu kapitan Moondrowner, ale wydaje się, że przez te pięć lat ominęło mnie bardzo wiele.

Reyna mówi do niego półgłosem coś, co sprawia, że Moondrowner odwraca się w moim kierunku. Chyba mnie rozpoznaje, bo i mi posyła szeroki uśmiech.

– Kapitan Crepusculum! – woła, ruszając w moją stronę. – Jak wspaniale, że i pan tu jest! Choć, nie ukrywam, spodziewałem się was wcześniej, czyżby miał pan jakieś opóźnienie?

Nie do końca rozumiem, co ma na myśli, ale wtedy dołącza do nas Reyna.

– Trafiliśmy na niego przypadkiem. – wyjaśnia, niemal wchodząc mu w słowo. Coś się w niej zmieniło, odkąd zeszła na ląd. Jej wystudiowana powaga zniknęła, zastępuje ją natomiast jakiś rodzaj ulgi, niemal radość. Teraz przypomina mi dawną Reynę o wiele bardziej, niż podczas całego tego czasu, który spędziłem na pokładzie jej statku. – Pewnie nie uwierzysz, ale należał do załogi okrętu towarowego, płynącego z Kraterii do Majaru.

Daniel gwizdże przeciągle.

– A pana co tam przywiało? – pyta zaskoczony.

Zastanawiam się, którą wersję prawdy powinienem wybrać, gdy ratuje mnie przed tym przybyciem jakiegoś chłopaka.

Jest nieco starszy od Joy'a, możliwe, że dopiero co wkroczył w dorosłość. Trzyma w garści pęk listów.

– Reyna! Reyna, ale się cieszę, że wróciliście! – krzyczy, podbiegając do nas.

- Też się cieszę. – oznajmia Reyna. – Coś się działo, gdy mnie nie było?
 - Nic ciekawego. – przyznaje chłopak. – Tylko dostałaś dużo listów.
 - Jakim cudem dostajesz tu listy? – wtrącam zaskoczony.
 - Nie dostaję ich tutaj. – mówi Reyna. – Moi szpiegzy odbierają je w Majarze albo Kraterii i przywożą do kryjówki.
 - Masz szpiegów. – mówię powoli. – W Majarze. I w Kraterii.
- Reyna uśmiecha się niepewnie.
- Co to za listy? – zwraca się do chłopca.
 - Chyba nic ciekawego. Są od ludzi, którzy cię nienawidzą, od ludzi, którzy się ciebie boją i od ludzi, którzy cię uwielbiają. I jest jeden z pieczęcią księcia Kraterii.
 - Daj je Anice do poczytania. – oznajmia Reyna, po czym zwraca się w naszą stronę. – Musicie mi wybaczyć, ale powinnam pomóc w wyprowadzeniu więźniów spod pokładu.
 - Jeśli mogę coś zasugerować, odradzam wcielanie do waszego zespołu pewnego podoficera z „Wichru Wolności”. Poznasz go bez trudu, ktoś z twojej załogi odciął mu ucho.
 - Randel. – mówi Reyna. – Już z nim pomówiłam na ten temat... co jest nie tak z tym podoficerem?
 - Próbował mnie zabić.
 - Więc rzeczywiście, raczej nie wcielę go do zespołu. – obiecuje.
- Gdy się oddala, zwracam się do Moondrownera.
- A pan jak się tu znalazł?
 - Rok temu „Arachne” napadła na „Rosamundę”. Nie muszę chyba panu mówić, jak ogromnym zaskoczeniem było dla mnie, gdy zobaczyłem na pokładzie Reynę, bo i pan pewnie przeżył to samo. A, że jest ona niezwykle przekonująca, jeszcze tego samego dnia mój okręt zmienił kurs i ruszył w kierunku tej wyspy. – wyjaśnia. Nieco mnie to dziwi, biorąc pod uwagę, że „Rosamunda” była statkiem pasażerskim, których Reyna rzekomo nie napada. Ale, skoro wydarzenia te miały miejsce około rok temu, może to właśnie ten jedyny statek pasażerski, który

napadła na początku swojej działalności. – Pływam jako jeden z jej kapitanów, ale obecnie „Lunaroza” przechodzi naprawy i chwilowo bawię na stałym lądzie. – dodaje Moondrowner.

– „Lunaroza”? – podejmuję.

– To już nie jest statek króla. – Moondrowner uśmiecha się nieco drapieżnie. – Nie zamierzam pływać statkiem, noszącym imię mojej babki. Teraz należy do Arachne, a Reyna nie miała nic przeciwko, bym przechrzczył ją na „Lunarozę”.

– Co ma pan na myśli, mówiąc o byciu jednym z jej kapitanów?

Kapitan Moondrowner unosi brwi, po czym łapie mnie za ramiona i odwraca w przeciwną stronę.

W oddali majaczą zakotwiczone statki, a na maszcie każdego z nich powiewa flaga Arachne: czerwona z czarnym pajakiem. Osiem odnóży, jak osiem potworów i Reyna pośrodku tego wszystkiego, starająca się je kontrolować. Nie widzę ich jednak dokładnie z powodu mgły, która, choć rzadsza niż ta, przez którą zmuszeni byliśmy płynąć, to wciąż utrudnia widoczność.

Nagle ostatni element układanki trafia na swoje miejsce.

Reyna mówiła, że ma niewolnicę za kucharkę na jednym ze swoich okrętów. Miała szpiegów, którzy dostarczali jej informacji i przywozili listy na wyspę. „Arachne” widziana była u wybrzeży Majaru jednego dnia, przez jeden statek, a następnego w pobliżu Kraterii przez inny.

To nie bzdurne plotki żeglarzy. „Arachne” nie była jednym statkiem. Była całym szeregiem uprowadzonych statków, pływających pod jej banderą, rozmieszczanych na Bestialskim Morzu tak, by przepuścić jak najmniej okrętów.

– Musi pan przyznać – odzywa się kapitan Moondrowner. – że jest pan pod wrażeniem.

– Jestem. – przyznaję, wpatrując się w rząd okrętów.



Joy znajduje mnie niedługo potem i prowadzi do jednego z małych, drewnianych domków, zbudowanych w niewielkiej odległości od wybrzeża, łączących się z jaskiniami rozmieszczonymi na całej wyspie.

– Może są małe, ale każde z nas ma własny dach nad głową i odrobinę prywatności. – mówi chłopak, jak zwykle przepełniony entuzjazmem.

Domki rzeczywiście są małe. W środku nie ma nic, prócz zbitego z desek łóżka i skrzyni, która w zamyśle ma pewnie służyć za stół. Niewiele to się różni od mojego mieszkania w Majarze, ale przywykłem do takich warunków, gdy nie jestem na statku.

To właśnie tam zastaje mnie Reyna, gdy przychodzi wczesnym wieczorem.

Wygląda na zmęczoną, ale w jej oczach tlą się iskiereki radości.

– Chcesz, żeby cię oprowadzić? – pyta.

– Nie zamierzam zawracać ci głowy, skoro masz obowiązki. – mówię

– Już wszystkim się zajęliśmy. – zapewnia. – A ja sama chciałabym się przejść po wyspie. Myślałam, że może zechciałbyś mi towarzyszyć.

Choć jedyne, na co mam w tej chwili ochotę, to zaszyć się w tym domku ze szklanką rumu albo lepiej całą butelką, to widzę, że naprawdę zależy jej na tym, by pokazać mi, czego dokonała. Może ma dla niej znaczenie moje zdanie i aprobatę tego, co robiła. Choć nie jestem w stanie wyrzucić z głowy domysłów, co do jej relacji z Moondrownerem, a na końcu języka mam słowa, że może on byłby bardziej chętny przespacerować się z nią po wybrzeżu, kiwam głową i wychodzę w ślad za nią.

Reyna prowadzi mnie wprost do tej części zatoki, w której kotwiczą statki. Jej ciemne włosy są rozpuszczone i powiewają za nią na wietrze, podobnie jak poły zwyczajnej kurtki, którą ma narzuconą na ciemną koszulę.

Reyna nie wygląda jak Arachne. A, gdy tak idziemy wybrzeżem, mam wręcz wrażenie, że czas się dla mnie cofnął i znów jesteśmy na Dali.

Oboje milczymy, ona chyba też nie wie, co ma mówić. Niespodziewanie Randel przebiega koło nas w szaleńczym pędzie.

– Co takiego mu powiedziałaś, wtedy, gdy schodziliśmy na ląd, że wyglądał, jakbyś przynajmniej oddała mu w posiadanie „Arachne” – pytam, szczęśliwy z pojawienia się chociażby najgłupszego powodu do przełamania tej nieznośnej ciszy.

– Nie sądzę, by był choćby w połowie tak szczęśliwy, gdybym oddała mu „Arachne”. – stwierdza Reyna. – Powiedziałam, żeby zawiadomił jedną z naszych medyczek, Christianę, że chciałabym ją widzieć na „Arachne” podczas następnej wyprawy. Gdy ostatnim razem wypływaliśmy, musiałam ją tu zostawić, bo zajmowała się jakimś biedakiem z napadniętego statku, który stracił w walce lewą stopę, aczkolwiek nie z winy moich ludzi, a własnej załogi, ale sądzę, że może już wrócić do obowiązków.

Nie zamierzałem nawet udawać, że rozumiem, co go w tym tak uradowało. Może stałoby się to bardziej jasne, gdybym miał okazję spotkać się ze wspomnianą medyczką, a może po prostu Randel cieszył się z czego popadnie.

Następną porcję ciszy, której nie możemy przełknąć, przerywa Reyna.

– Co teraz zamierzasz? – pyta, a ja uświadamiam sobie, że już prowadziliśmy podobną rozmowę, pięć lat temu, tylko, że to ja wtedy zadawałem to pytanie.

Przez chwilę nie odpowiadam z prostego powodu: nie mam pojęcia, co teraz.

Odkąd dowiedziałem się, że Reyna nie czeka w Majarze, miałem cel, chciałem ją odnaleźć. Gdy znalazłem się na pokładzie „Arachne”, po prostu płynąłem dokąd chcieli mnie zabrać, próbując jedynie pojąć ich motywy. Nie myślałem nawet o tym, co dalej, chciałem tylko zrozumieć Reynę, znaleźć dowód, że jest tą samą osobą, którą zostawiłem w Majarze lata temu.

Teraz, gdy nie mam już złudzeń, co do naszej wspólnej przyszłości, mogę zacząć się zastanawiać, czego chcę od życia.

Ale nie wiem.

– Możemy cię zabrać z powrotem do Majaru. – oznajmia pospiesznie. – Albo do Kraterii. Wybacz, że cię porwaliśmy. – mówi. – Chciałam, żebyś zobaczył to wszystko. – wykonuje gest, którym obejmuje zarówno statki, jak i całą wyspę.

– Nie mam ci tego za złe. – zapewniam. – Ale nie rozumiem, skoro pokazałaś mi to wszystko, zdradziłaś wszystkie wasze tajemnice... nie boisz się puścić mnie wolno? Odesłać do portu, w którym mógłbym was wydać?

– Przecież nie zrobiłbyś tego. – mówi. – Pozwolę ci odejść, bo ci ufam.

Cóż, teraz, gdy wszystko się zmieniło, chyba jedynie zaufanie jest tym, co wciąż nas łączy. A gdyby i tego zabrakło, chyba wszystko, co jeszcze między nami jest, zupełnie by się posypało.

Nie widzę swojej przyszłości w Majarze ani w Kraterii, ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany co do innej możliwości.

– Pozwoliłabyś mi zostać tutaj? – pytam. – Dołączyć do was?

Zielone oczy Reyny otwierają się szeroko.

– Chciałbyś do nas dołączyć? – pyta zaskoczona. – Myślałam... myślałam, że nie popierasz tego, co robimy. To znaczy... mówiłeś, że to, co obmyśliliśmy, to szczyt geniuszu, ale i tak odnoszę wrażenie, że nie jesteś przekonany, co do słuszności naszego przedsięwzięcia.

– Jestem. – zapewniam. – Chciałaś zmienić świat na lepsze i jesteś na dobrej drodze, by tego dokonać. Co prawda, nie przekonują mnie niektóre aspekty waszej działalności, jak na przykład więzienie ludzi w jaskiniach czy pod pokładem, ale...

– To tylko tymczasowe rozwiązanie. – wtrąca pospiesznie Reyna. – Po prostu nie wiedzieliśmy, co z nimi robić. Zresztą... uwięzienie w jaskini to chyba lepsze wyjście, niż rzucanie na śmierć w odmęty wód pełnych potworów. Ale jesteśmy gotowi na modyfikacje planów, jak tylko znajdziemy lepsze rozwiązania.

Ludzie, którzy o niej słyszą, mają ją za bezwzględną bestię, tymczasem Reynie chodzi tylko o to, by ratować ludzi, nawet jeśli to przestępcy, których skazano na śmierć.

Choć boli mnie fakt, że będę musiał przebywać w jej towarzystwie, to sądzę, że może w końcu zaakceptuję jej naturę, która każe jej zmieniać się w bezwzględną kapitan Arachne za każdym razem, gdy napada kolejny statek. Może kiedyś patrzenie na nią przestanie sprawiać mi ból i zakończy się to przyjaźnią. Puki co,

mogę zająć się czymś słusznym, a próba naprawy tego świata może okazać się dobrym początkiem.

Dochodzimy już do ostatniego z zakotwiczonych okrętów. Reyna zawraca, ale ja się zatrzymuję.

Ostatni ze statków wygląda jak okręt pasażerski, ale tylko przez precyzyjnie wykonane figury dziobowe. Właściwie cały kadłub statku pokrywają rzeźby gwiazd, słońca i księżyca. Nie mogę oderwać od nich wzroku.

– To „Zmierzch”. – mówi Reyna, uśmiechając się lekko. Widocznie zauważyła, że nie idę za nią i zawróciła, bo stoi teraz tuż obok mnie. – Jeden z naszych najlepszych statków. Ale stoi tu i się marnuje, bo do teraz nie mieliśmy dostatecznie dużo zaznajomionych z żeglugą ludzi, by skompletować załogę. Może, wraz z tymi z „Wichru Wolności”, się uda.

Uświadamia mi tym samym, że zanim do mnie przysłała, zdążyła dokonać już selekcji marynarzy z „Wichru Wolności”. Ciekawi mnie, których spośród nich uznała za godnych zaufania.

– Tam dalej, za domkami, mamy pola uprawne. – mówi Reyna, wskazując ręką miejsce, o którym mówi, a w jej głosie pobrzmiewa duma z tego wszystkiego, co osiągnęła. Wszystkiego, co działało, w głównej mierze dzięki niej i co posypałyby się, gdyby tylko jej zabrakło.

Zmierzamy w kierunku wzniesień przed nami, gdy do Reyny podbiega chłopiec, ten sam, który wcześniej przyniósł jej listy.

– Reyna! – krzyczy w jej stronę.

Moja towarzyszka rzuca mu pytające spojrzenie.

– Anika przeczytała listy! – mówi tamten, zginając się wpół, opierając ręce na kolanach i łapiąc oddech po długim biegu.

– I? – brwi Reyny podjeżdżają nieco do góry.

– I ten list od księcia Kraterii... – mówi. – To jest wezwanie.

– Do czego? – pytam zaskoczony.

– Księżę Kraterii chce z tobą mówić... a, zresztą sama sobie poczytaj. – oznajmia chłopak, wyciągając z kieszeni pogięty list i wręczając go Reynie.

Czekam cierpliwie, gdy Reyna w skupieniu analizuje jego treść.

– Czego od ciebie chce? – pytam, gdy po chwili zgina kartkę na pół, potem jeszcze raz i kolejny. Nie jestem pewien czy jest wściekła, czy po prostu obmyśla jakiś plan.

– Księżę Dunstan z Kraterii żąda spotkania z kapitan Arachne. – mówi jakimś odległym tonem, a wesołość, która nie opuszczała jej odkąd pojawiła się w kryjówce piratów, zupełnie znika.

Wróciła Arachne.

– Chce, bym stawiała się w pałacu przed koronacją, która wypada za dokładnie dziewięć dni. – ciągnie. – Zapewnia mi nietykalność, pod warunkiem, że stawię się nieuzbrojona. Podkreśla, że chce jednie pomówić, a rozmowa ma mieć charakter dyplomatyczny.

– Chyba to zignorujesz, prawda? – pyta chłopak, ale Reyna nie odpowiada. – Reyna?

– Jeśli wyruszymy jutro rano, może zdążymy... – odzywa się Reyna, ale wygląda jakby myślami była gdzieś bardzo daleko.

– Zamierzasz płynąć do Kraterii? – pytam zdziwiony.

– Skoro księżę Kraterii chce ze mną rozmawiać, to ze mną porozmawia. Ale na moich warunkach. – oznajmia. – Wypływamy jutro rano. Zawiadom Joy'a i Anikę. – zwraca się do chłopaka. – A, poczekaj. Nie macie czasem jeszcze jakiejś wypchanej krowy?

To pytanie zupełnie zbija mnie z tropu.

– Owszem. – potwierdza chłopak. – Zostawiliśmy ją, bo podejrzewaliśmy, że któryś ze statków będzie jej potrzebował.

– Każ załadować ją na „Arachne”. – poleca Reyna. – Może pod pokład niewolników. Nie zamierzam tym razem atakować żadnych okrętów. Jeśli jakiś się napatoczy, pozwolimy mu przepłynąć. – decyduje, choć jej twarz wykrzywia się w dziwnym grymasie. – Ktoś stacjonuje w tej chwili na północnych wodach?

Chłopak kiwa głową, a Reyna z ulgą wypuszcza wstrzymywane powietrze.

– Więc po problemie. – mówi Reyna i go odprawia. – A ty, James... jesteś pewien, że chcesz do nas dołączyć?

Potwierdzam swoją decyzję skinieniem głowy.

– Więc popłyniesz z nami. – decyduje, po czym wzdycha. – Trzeba znaleźć Daniela.

Jakaś niewidzialna szpilka wbija mi się właśnie w serce. Ale skoro Reyna zamierza wypłynąć z samego rana, nic dziwnego, że chce spędzić z nim jeszcze trochę czasu.

– Mam nadzieję, że nakłonię go, by wypożyczył nam na ten rejs Marikę. – mówi.

Przypominam sobie kasztanowłosą artylerzystkę z „Rosamundy”, która pełniła na statku również rolę cieśli. Reyna dzieliła z nią kajutę i pomagała w pracach na statku. To jej zawdzięczała obudzenie w sobie pasji do majsterkowania na statku, co zaprowadziło ją wprost do akademii, ja jedynie zasugerowałem jej to i umożliwiłem.

Jeśli płyniemy do Kraterii nie wiedząc, co tak naprawdę może nas tam czekać, nie dziwię się Reynie, że chce mieć pod ręką dobrego artylerzystę, a nie jestem pewien czy Randela można by opisać w ten sposób.

– Zważywszy, że „Lunaroza” jest w naprawie i kapitan Moondrowner nigdzie na razie nie wypływa, czemu niby miałyby się nie zgodzić na to, by Marica popłynęła razem z nami? – pytam.

Reyna uśmiecha się pod nosem, po raz pierwszy od chwili, gdy przeczytała list.

– Bo to jego żona. – oznajmia.

Przez chwilę stoję całkowicie osłupiały, a zaraz potem mam ochotę wybuchnąć śmiechem wypełnionym ulgą.

Reyna chyba dostrzega, że coś się ze mną dzieje, bo unosi lekko brwi, ale nie docieka, tylko rusza z powrotem do obozowiska.

Gdy wracamy, powoli zapada zmrok. Mieszkańcy wyspy w większości siedzą na plaży w okolicy domków, przy ogromnym ognisku. Reyna jednak omija ich

i rusza wprost na „Arachne”.

– Mam jeszcze jedną prośbę, James. – mówi, nim się rozstajemy. – Chodzi o naszą wyprawę do Kraterii.

– Słucham.

– Potrzebuję, żebyś wyglądał inaczej, gdy dopłyniemy na miejsce. Nie chcę, żeby kapitan Crepusculum miał jakiegokolwiek kłopoty, jeszcze może się nam przydać. Chciałabym, żebyś udawał kogoś innego. – oznajmia, po czym dodaje ku mojemu całkowitemu zaskoczeniu. – Zrezygnuj z brzytwy przez następne dziewięć dni, zgoda?

Choć wymaga to ode mnie ogromnego wysiłku i bodzie moją dumę, kiwam głową.

Podróż zapowiada się doprawdy tragicznie.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 2
w kryjówce piratów*

Nie wiem, czy podejmuję dobrą decyzję, ale jestem gotów się przekonać.

*Może z czasem to wszystko przestanie być tylko sposobem na zabicie bólu.
Może w końcu czas wyleczy rany, a ja stwierdzę, że tak naprawdę bycie piratem to
coś, czego jeszcze w moim życiu brakowało.*

Puki co, pozostaje mi czekać.

James Crepusculum

ROZDZIAŁ JEDENASTY

WEZWANIE

Następnego ranka cała załoga „Arachne” jest gotowa do wypłynięcia. Czekamy już tylko na Marikę i Daniela Moondrownera, albo przynajmniej jedno z nich.

W końcu zauważamy kapitana Moondrownera, który zmierza do nas szybkim krokiem. Na twarzy ma kilka nierównych czarnych smug.

– I... co? – pyta niepewnie Reyna.

– Płyńcie z wami. – oznajmia Moondrowner. – Została tylko skończyć pakować rzeczy... wyglądasz na nieprzekonaną. – stwierdza.

– Nie, po prostu masz twarz upačkaną smarem i nie byłam pewna czy mam to interpretować pozytywnie, czy negatywnie. – wyjaśnia Reyna.

Kapitan ociera twarz rękawem płaszcza i przygląda mu się ze zmarszczonymi brwiami.

– No tak. Myślisz sobie, że jest taka urocza i kochana, tymczasem ona rozciera ci smar na policzku. – mruczy pod nosem.

Tymczasem Marica wyraźnie zdążyła się spakować i dołącza do nas na nabrzeżu.

– Wspaniale, że już jesteś. – cieszy się Reyna. – Daniel właśnie mówił, że jesteś urocza i kochana.

Marica marszczy brwi zdezorientowana.

– Mówił... co?

Reyna odwraca się pospiesznie w stronę grupy, która zebrała się, by zobaczyć jak odpływamy. Stoję wraz z resztą załogi na nabrzeżu, czekając, aż pożegna się

z ludźmi, których zupełnie nie znam, a którzy wydają się uwielbiać ją tak bardzo, że podchodzi to zapewne pod pewien rodzaj czci.

Mamy już wchodzić na pokład, jednak Marica i Moondrowner nadal zażarcie dyskutują.

– Tylko nie wypływaj nigdzie, gdy mnie nie będzie. – przestrzega artylerzystka.

– Nie śmiałybym. – oznajmia kapitan z udawaną powagą. – Zresztą, nawet gdybym spróbował, statek rozpadłby się na kawałki jeszcze przed podniesieniem kotwicy, jeśli zabrakłoby cię na pokładzie.

Z zaskoczeniem zauważam uśmiech na zwykle ponurej twarzy Mariki.

Moondrowner podchodzi do mnie z szerokim uśmiechem.

– Powodzenia. – mówi, po czym zniża głos tak, bym tylko ja go usłyszał. – I niech uważa pan na Reynę. Nie twierdzę, że trzeba się o nią cały czas troszczyć, bo sama całkiem dobrze sobie z tym radzi, ale lepiej, żeby ktoś miał ją na oku. Może sobie grać Arachne ile chce, ale to wciąż Reyna, trochę zagubiona i przytłoczona tym wszystkim. Dobrze się stało, że pana znalazła.

– Wiem. – mówię. – Ale Reyna i Arachne to dwie, zupełnie odmienne osoby, które trudno jest mi pogodzić.

– Bo patrzy pan na Arachne w ten sam sposób, co ci wszyscy żeglarze, którzy na jej widok nie potrafią robić nic innego, jak tylko odmawiać pacierze. To tylko taka gra. Prawdziwa Arachne, to ta sama kobieta, która zbudowała to wszystko. Od podstaw.

– Tylko, że to nie Arachne, a Reyna. – zauważam.

– No właśnie. – Moondrowner mruga do mnie i klepie po plecach. – A teraz niech pan już idzie, bo nawet na pana księżę Kraterii nie będzie czekał wiecznie.

Gdy wchodzę na pokład, napotykam spojrzenie Reyny, która uśmiecha się do mnie szeroko.

Zdaje się, że poprzedniego dnia podjąłem słuszną decyzję.

Może jeszcze mogę mieć to wszystko, czego pragnę.

Ale jedno jest pewne: nie zamierzam wracać do służby u króla Majaru ani po upływie roku, ani już nigdy.



Żeby skrócić drogę do Kraterii, Reyna decyduje się na ryzykowny krok, jakim jest przepłynięcie przez skraj łowisk piratów. Od chwili, gdy to zrobiliśmy, minęło już dwa dni i, puki co, naszym tropem nie podąża żaden piracki statek, żywimy więc nadzieję, że umknęliśmy ich uwadze.

Od tygodnia staram się nie patrzeć w lustro.

Zdarzali się na moich statkach marynarze, którzy śmiali się ze mnie za plecami, że nadmiernie dbam o swój wygląd. Każdy z nich, bez wyjątku, otrzymywał przydział najpodlejszych możliwych zajęć, na okres tak długi, że nigdy więcej nie słyszałem już podobnego stwierdzenia z ich ust.

Ale prawda jest taka, że nie znoszę świadomości, iż nie prezentuję się odpowiednio dobrze. Z brodą czuję się jak żebrak spod mostu albo jakiś zapijaczony menel w oberży. Gdybym mógł, najchętniej spędziłbym całą podróż pod pokładem, nie pokazując się nikomu, ale zostałem kapitanem właśnie dlatego, że kocham wolność i wiatr uderzający mnie po twarzy. Pokusa, by wychodzić na zewnątrz, jest zbyt duża.

Szóstego dnia podróży stanęliśmy naprzeciw charybdy.

Załoga uświadomiła mi, na czym polega pokonanie tej bestii bez ofiar. Charybda była jedynym potworem, którego nie dało się właściwie oszukać: jej wielka paszcza pozostawała otwarta, blokując drogę do Kraterii, puki nie znalazło się w niej pożywienie.

A Charybda żywiła się oczywiście mięsem.

Z doświadczeń, które miała za sobą „Arachne” wynikało jednak, że nie musi to być koniecznie ludzkie mięso. Charybda zadowalała się czymkolwiek innym, stąd właśnie potrzebna im była wypchana krowa. Zdaje się, że na pomysł ten Reyna

wpadła wspominając podróż z Dali do Kraterii, kiedy to w paszczę potwora wrzucono zwłoki Jeffersona Beckwitha. Zauważyła, że paszcza charybdy zamknie się, niezależnie, co się do niej wrzuci, ważne, by było odpowiednio duże. I stąd koncepcja wypchanej krowy.

Gdy wychodzę na pokład, cała załoga wydaje się być gotowa na starcie z potworem. Napięcie na pokładzie jest niemal namacalne.

Reyna odwraca się w moim kierunku.

– Wyglądasz okropnie. – mówi, marszcząc odrobinę nos.

– Musisz mi wierzyć, że i ja odliczam dni do chwili, gdy pozwolisz mi się wreszcie ogolić.

Kapitan uśmiecha się pod nosem, ale i ten ruch wygląda nieco sztucznie.

Uświadamiam sobie wtedy, że jest przerażona i przeklinam samego siebie, że zauważenie tego zajęło mi tyle czasu.

Moondrowner miał rację. Pomimo tych wszystkich razy, kiedy stawiała czoła potworom, pod maską nieustraszonej Arachne wciąż opanowywał ją paniczny strach na myśl o przepłynięciu chociażby w pobliżu potworów. Wreszcie patrzę dokładniej i widzę szczeliny w jej masce, przez które przebija przerażona dziewczyna.

Właściwie reszta załogi nie wygląda dużo lepiej, a upust swojemu lękowi dają w najróżniejszy sposób: Jackin przestępuje nerwowo z nogi na nogę, Randel pogwizduje cicho, a jego ręce co chwilę wędrują w okolicę zatkniętych za pasek rewolwerów, natomiast Anika modli się cicho.

Heard chyba zauważa, że dyskretnie przyglądam się zajadle klepiącej pacierze bosman.

– Uwierz mi – mówi do mnie. – że na żadnym z mórz nie ma okrętu z bardziej pogańską załogą. Ale ta jedna Anika starcza na całą flotę bezbożników.

Gdy tylko wypowiada te słowa, statek zaczyna niebezpiecznie trząść się na boki.

– Już niemal dopływamy. – stwierdza Jackin, podchodząc do swojej kapitan i dotykając lekko jej ramienia. – Reyna, idź pod pokład.

Reyna jednak nie reaguje, tylko zawzięcie patrzy przed siebie, na wir w którego centrum czeka wygłodniała bestia.

– Powiedz jej, żeby zeszła pod pokład. – zwraca się do mnie nawigator z błagalnym wzrokiem.

Nie robię tego, świadom, że i tak nie posłucha. Podchodzę tylko do burty i patrzę, jak wir powoli zbliża się coraz bardziej.

Gdy możemy już bez trudu dostrzec wstające z paszczy ogromne zęby, uświadamiam sobie, że Reyna się trzęsie.

Gdzieś za nami Anika i Heard targają przez pokład wypchaną krowę.

– Jeszcze chwila. – oznajmia Jackin, unosząc rękę.

Nie wiem, jaki impuls mną kieruje, ale łapię Reynę za ramiona, odwracam tyłem od całego tego zła, przyciągam ją do siebie i mocno obejmuję.

Jestem niemal pewien, że odsunie się ode mnie i jeszcze na mnie nawrzeszczy, ale ona ukrywa tylko twarz w mojej kurtce, odcinając się zupełnie od potworności, które mają miejsce za nią.

Zamiarem Arachne jest zablokowanie statkom możliwości pływania po Bestialskim Morzu, by te nie karmiły potworów. A oszalałe z głodu bestie albo zdechną, albo opuszczą te wody. Ten pomysł miałyby szanse się sprawdzić, ale ciągle pozostawał problem charybdy: jedyne potwora, którego wciąż muszą karmić, bo nie wymyślili jeszcze sposobu, by obejść go w inny sposób.

Zakładam, że Reyna jest w tak ciężkim stanie właśnie przez fakt, że choć wymyślili sposób na bezkrwawe obejście charybdy, jest to jedyny potwór, któremu musimy stawić bezpośrednio czoła, bo nawet wieloryb nie wymagał od nas, byśmy stali z nim twarzą w twarz.

Pamiętam traumę Reyny z „Aquariusia”, pamiętam jak na „Rosamundzie” zamykała się w kajucie, ilekroć pojawiała się przed nami kolejna z bestii i zasłaniała szczelnie bulaje. Nie mogę wyzbyć się myśli, że może po części była ona spowodowana przeze mnie, że to tak naprawdę moja wina, nie tylko Jeffersona. W końcu to ja na „Aquariusie” kazałem jej stać tuż przy burcie, gdy kraken rozrywał człowieka na strzępy. Tyle, że wtedy jeszcze nie wiedziałem kilku

istotnych rzeczy. Wtedy jeszcze byłem człowiekiem, który budował swoją legendę za wszelką cenę. Miałem nadzieję, że Reyna nie robiła właśnie tego samego, ale to miało się dopiero okazać, jeśli przyszłoby nam zaatakować jakiś statek.

Obserwuję jak Heard i Anika wyrzucają krowę za burzę, prosto w środek ogromnych szczęk charybdy, a te gwałtownie się zamykają.

Wiem, że mamy trochę czasu: tyle ile potwór potrzebuje, by zjeść i strawić swoją ofiarę. Anika wydaje rozkaz do odpłynięcia i jakiś czas później jesteśmy już bezpieczni po drugiej stronie.

Reyna wciąż stoi nieruchomo.

– Już ją minęliśmy. – oznajmiam. – Już po wszystkim.

Reyna odsuwa się i patrzy na niemal całkowicie gładką taflę wody nieco nieprzytomnym wzrokiem. Chyba nie jest do końca świadoma, że wciąż kurczowo trzyma mnie za ramię.

– Właśnie dlatego zawsze stacjonuję na południu, w pobliżu Majaru. – oznajmia wściekłym głosem i wyraźnie nie wścieka się na nikogo innego, jak na samą siebie. – Gdy przychodzi stanąć naprzeciw charybdy, staje się zupełnie bezużyteczna.

Po tych słowach odwraca się i idzie wprost do swojej kajuty, gdzie zamyka się na cały dzień. Do końca podróży również niemal jej nie widzimy, co sprawia, że Reyna osobiście grzebie pod gruzami moje plany naprawienia naszej relacji i doprowadzenia jej do stanu sprzed pięciu lat.

Liczę, że może jeszcze nadarzy się ku temu okazja. Ale staram się nie wierzyć w to za bardzo.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 1
w Kraterii*

Gwiazdy, brońcie mnie, ale nie tylko przed wszelkimi przeciwnościami, jakie stają mi na drodze.

Brońcie mnie przed pomysłami tej obłąkanej kobiety, bo wciąż waham się czy popadła w otchłań geniuszu, czy może raczej szaleństwa.

James Crepusculum

ROZDZIAŁ DWUNASTY

AUDIENCJA

Do Kraterii dopływamy rankiem, dwa dni przed koronacją.

Mogę być z siebie dumny: chyba nie ma na tym świecie kapitana, który mógłby powiedzieć, że przebył drogę do Kraterii dwukrotnie w przeciągu roku, tymczasem ja uczyniłem to w przeciągu ledwo połowy tego czasu. Żaden z nich po takiej przeprawie nie decyduje się podjąć jej ponownie tak prędko, o ile w ogóle.

Nie dopływamy jednak do Port-Krateria - miasta w którym, jak utrzymuje Reyna, na pewno się nas spodziewają - tylko cumujemy w osłoniętej zatoczce, gdzieś na wschód od niego. Nie widzimy stąd nawet miasta, tylko gęsty las, ale Randel utrzymuje, że dotrzemy do niego jeszcze przed południem.

Nim wsiądziemy do niewielkiej szalupy, Heard, którego chyba po raz pierwszy widzę w pełni przyodzianego, rzuca mi jakąś brudną koszulę i pasek czarnego materiału.

– Co to jest? – pytam, zerkając na koszulę bez zbędnego entuzjazmu.

– Koszula. – Heard wzrusza ramionami.

– Nie mieliście czystszej?

– Jest Randela. – informuje, co starcza mi za wszelkie wyjaśnienia.

– Oddaje mi ją, bo ukradł komuś świeżą? – pryham, choć to, że odkąd wypłynęliśmy z Draquarii, Randel wygląda znacznie czystiej niż zwykle, jest akurat zadziwiająco prawdą.

– Reyna kazała ci to przekazać. Nie chce, by ktoś cię rozpoznał. – mówi Heard, po czym odwraca się z zamiarem odejścia. Zaskoczony zauważam czarne ślady prześwitujące przez jego białą koszulę. Zdaje się, że to jakiś tatuaż.

– Co masz na plecach? – pytam zaciekawiony, nim schodzę pod pokład, by się przebrać.

Heard odwraca się w moją stronę z chytrym uśmiechem.

– A pytałem, czy chcesz zobaczyć moją mapę. – przypomina.

Nim zdążę cokolwiek odpowiedzieć, nie zważając na to, że jesteśmy na zewnątrz, a wokół roi się od załogantów „Arachne”, sternik pospiesznie zdejmuję koszulę i odwraca się do mnie plecami. Nikt nie zwraca na niego uwagi, wszyscy na statku są już chyba przyzwyczajeni do oglądania go nagiego od pasa w górę.

Całe plecy służą jako podkład pod mapę Bestialskiego Morza naniesioną czarnym tuszem. Ale takiej mapy jeszcze nigdy nie widziałem, choć z pewnością tak właśnie wyglądały wszystkie mapy niemal sto lat temu, nim w tych wodach zaległy się potwory. Do teraz nie zachowała się jednak żadna z nich.

Czarny tusz znaczy jedynie kontynenty i jaskinie. Nie ma ani śladu potworów.

– Nie stać was było na mapę od kartografa? – pytam, unosząc brwi.

Heard pospiesznie zakłada koszulę i odwraca się do mnie z uśmiechem.

– Gdy diabli morscy wezmą wszystkie mapy, ta przynajmniej pozostanie. – oznajmia.

– Cóż, chociaż będzie aktualna, nawet wówczas, gdy diabli morscy wezmą także potwory. – stwierdzam.

Heard chyba widzi, że kpina na mojej twarzy jest udawana i tak naprawdę jestem pod wrażeniem. Zdaje mi się, że od tamtej rozmowy w drodze do kryjówki piratów przestał traktować mnie z taką podejrzliwością i dystansem. Może i byliśmy na dobrej drodze, by się dogadać.

Jeśli wcześniej czułem się jak zapijaczony żebrak, teraz jest jeszcze gorzej. Koszula Randela, pewnie niegdyś biała, jest niemal zupełnie żółta, nie licząc plam brudu i smaru. Czarna tkanina to przepaska na oko.

Gdy wychodzę na górę i ruszam w stronę szalupy, Reyna już na mnie czeka. Właściwie to nie Reyna, dziś jest kapitan Arachne ze swoim granatowym płaszczem, szkarłatną koszulą i włosami związanymi w ciasny kucyk. Brak jej

tylko szabli do dopełnienia charakteryzacji, ale pamiętam, że książe kazał nam się stawić nieuzbrojonymi.

Na mój widok Reyna krzywi się nieznacznie.

– Wiem, jak okropnie wyglądam. – uprzedzam.

– Przynajmniej nikt cię nie pozna. – stwierdza i rusza do szalupy.

– Nie wiem tylko, po co to wszystko, skoro mogłaś zabrać ze sobą kogokolwiek spośród swojej załogi. Przecież nikt nie ma pojęcia, jak wyglądają, prócz nieszczęśników, których napadłaś, a potem odstawiłaś do portu.

– Właściwie, to tak... prócz oczywiście niewolników, których uratowałam. – przyznaje. – Ale to ciebie chcę mieć przy sobie.

Mimo tego, jak zmieniło się nasze wzajemne nastawienie do siebie, Reyna wciąż mi ufa... może naprawę nie wszystko jest stracone. Może odbudowanie tego wszystkiego jest prostsze, niż mi się wydawało.

W łódce czeka już Heard, który zarzucił na siebie czarną kurtkę, maskując zupełnie prześwitujące przez cienki materiał koszuli ślady tatuażu.

Reyna wykrzykuje ostatnie rozkazy w stronę Joy'a i Aniki, każąc im czekać w gotowości w pobliżu Port-Kraterii i odpływamy w stronę lądu.



Dunstan, niekoronowany jeszcze książe Kraterii, czeka na nas w sali tronowej swojego pałacu.

Gdy tylko przybyliśmy na miejsce – choć wcale nie przed południem, a po – i Reyna oznajmiła pałacowym gwardzistom, kim jesteśmy, machając im przed nosem listem od księcia, zostaliśmy niezwłocznie wprowadzeni do środka. Chciano nas rozbroić, jednak strażnicy z zaskoczeniem stwierdzili, że nie mamy przy sobie żadnego rodzaju broni, prócz swoich pięści. Nie umknęło jednak mojej uwadze, że nie spuszczali z nas oczu, prowadząc pałacowymi korytarzami i sami byli w gotowości do użycia własnej broni.

Puki co, nikt nie próbował nas aresztować.

Co do księcia Dunstana - widziałem go już wcześniej. Ani wtedy, ani teraz nie wzbudza mojej sympatii. Wygląda podobnie do swego ojca, choć mia dopiero może z trzydzieści parę lat: z gęstą, ciemną brodą, orlim nosem i wzrokiem przeszywającym człowieka na wskroś. Nie podoba mi się to jego spojrzenie, w którym czai się jakiś niebezpieczny błysk. Krateriańscy nie koniecznie będą zachwyceni jego rządami. Śmierć jego ojca jak i siostry, których rzekomo zabrała zaraza, wydaje się być aż nazbyt podejrzana.

– Kapitan Arachne – odzywa się książę, wpatrując w nas tym przerażającym wzrokiem, rozpostarty na tronie, jakby już wolno mu było na nim zasiadać, choć okres żałoby po poprzednim władcy ma skończyć się dopiero tego wieczoru, a co za tym idzie, koronacja Dunstana przypada dopiero pojutrze. – Długo czekałem, by móc w końcu panią poznać.

Reyna nie wygląda na zachwyconą. Stoi pomiędzy mną, a Heardem, z dumnie uniesioną głową, dając księciu jasno do zrozumienia, że może i ma on prawo rządzić swymi poddanymi, ale ona do nich nie należy. Dziś mamy do czynienia z Arachne w jej całej okazałości.

– Nie musi się pani niepokoić. – oznajmia książę. – Nie zamierzam pani aresztować. Chciałbym jedynie pomówić. Chyba, że wykona pani jakieś nierozsądne posunięcie... Nie przedstawi mi pani swoich towarzyszy, kapitan Arachne?

– To jest Joseph. – Reyna wskazuje głową Hearda. – I Razor. – tym razem odwraca się w moją stronę.

– Nie wątpię, że jesteś Majarczykiem. – mówi książę do Hearda. – Ale ty... – zwraca się w moim kierunku. – Jesteś z południa? Może z Astedenii?

Reyna parska.

– Taki z niego południowiec, jak ze mnie Apatszanka. Nie rozpoznałby astedeńskiego dywanu, choćby mu nim machano przed nosem.

– Powiedziała ta, co rzuciła shahtańską wazę krakenowi na łeb, bo myślała, że to bezużyteczny dzbanek. – odgryzam się.

Oczywiście ta historia nigdy nie miała miejsca, ale Arachne jest legendą. A legendy tworzone są po części na prawdziwych czynach, a po części na zmyślonych dokonaniach, które służą nadaniu wielkości.

Tak tworzyła się moja legenda i tak tworzy się legenda Reyny. Choć z początku byłem do tego wszystkiego sceptycznie nastawiony, teraz dostrzegam, że jej działania, choć wciąż nie idealne, mogą zmienić ten świat w lepsze miejsce. Chcę jej pomóc nie tylko w dążeniu do oczyszczenia morza z bestii, ale i w zbudowaniu jej legendy, która i tak rozrosła się już bardziej, niż Reyna się tego spodziewała.

Jeśli Reyna jest zaskoczona moją współpracą, nie daje tego po sobie poznać. Unosi brwi i otwiera już usta, żeby coś odpowiedzieć, ale uprzedza ją książkę.

– „Razor” to nie twoje prawdziwe imię, mam rację? Jak naprawdę się nazywasz? – naciska.

– Gdybym chciał używać swojego prawdziwego imienia, to nim bym się przedstawiał, czyż nie? – zauważam.

Waham się, czy nadmierna arogancja z jaką się obnosimy nie zostanie czasem zaliczona jako nierozsądne posunięcie, ale książkę wybucha śmiechem.

– Podoba mi się ten pani... – zwraca się do Arachne. – Kim on właściwie jest na pani pokładzie?

– Puszkarzem. – oznajmia od niechcienia Reyna.

– No tak. Nie spodziewałbym się po nim żadnego innego zajęcia. – stwierdza książkę.

Heard chrząka wymownie, zwracając tym uwagę władcy.

– Ach, no tak – Reyna przewraca oczami nieco zbyt teatralnie. – Joseph nie cierpi, gdy uwaga zbyt długo nie jest zwracana na niego, tylko na kogoś innego.

– Oczywiście. Jest niezwykle uroczy. To wasza okrętowa maskotka? – pyta książkę.

– Właściwie to bosman. – Reyna uśmiecha się krzywo. – Ale... w zasadzie, co tu robimy? Czyżby chciał nas pan najać, książkę? Nie prowadzimy tego typu działalności, ale moglibyśmy zacząć, jeśli nam się to opłaci.

– Nie jestem głupcem, kapitan Arachne. – oznajmia księżę, ale nim zdąży dokończyć zdanie, Reyna wchodzi mu w słowo.

– Ależ ja jeszcze nie uznałam pana za głupca. – zauważa.

Zastanawiam się, czy pod tą maską świetnie się bawi, czy może raczej umiera ze strachu, bo w jej głosie pobrzmiewa pewność siebie nie podszyta ani odrobiną rozbawienia, ani przerażenia.

– Pani działalność nie opiera się na rabowaniu i zabijaniu. – oznajmia księżę.

– A na czym w takim razie polega działalność piratów, księżę? – pyta Reyna, przekrzywiając głowę.

– Nie zabija pani pojmanych marynarzy, a zwozi z powrotem do portów, przynajmniej w większości. Rabuje pani okręty, ale nie dla łupów, choć nimi pani nie gardzi. Sądzę, że wiem, jaki cel pani przyświeca.

– Doprawdy? – pyta Arachne głosem podszytym nutą ironii.

Księżę nachyla się w naszą stronę, co ma zapewne nadać jego następnym słowom konspiracyjny charakter, ale nie do końca mu to wychodzi zważywszy, że siedzi na tronie w znacznej odległości od nas.

– Pani chce całkowicie zablokować przepływ okrętów z Port–Majar do Port–Kraterii, mam rację? I udaje się to pani, puki co. Zastanawiam się tylko... pływa pani po tych wodach, tam i z powrotem, z niebywałą wręcz prędkością, niczym Scorpius omijając potwory. Zna pani tę legendę, czyż nie?

– Znam. – mówi Reyna.

– A więc może piraci to jednak nie tacy bezbożnicy, za jakich wszyscy was mają. – stwierdza księżę.

– Ale ja nie jestem jak Scorpius. Nie przepływam morza wpływ, niewykrywalna dla potworów. I nie mam ze sobą antidotum na żadną z chorób, jakie trawią świat po drugiej stronie.

– A jednak dokonuje pani czegoś podobnego. – zauważa księżę, podpierając głowę na dłoni w zamyśleniu. – Czy mam słuszność, twierdząc, że odnalazła pani bezpieczny sposób na przepłynięcie Bestialskiego Morza, pani kapitan?

Reyna milczy. Choć stara się to ukryć, jest zaskoczona tak bezpośrednim spostrzeżeniem.

– Nawet jeśli – odzywa się w końcu Arachne. – chyba nie sądzi pan, że podzielę się informacjami takiej wagi.

– Oczywiście, że nie. – potwierdza książę. – Chyba, że się to pani opłaci.

– Więc to tego pan ode mnie oczekuje? Że sprzedam Kraterii informacje, jak przepłynąć morze bez narażania się na śmierć w paszczach potworów?

– Nie... nie do końca. – mówi książę. – Zamierzałem raczej zaproponować swego rodzaju współpracę. Ale zostawmy może tę kwestię do omówienia innym razem. Właściwie, to liczyłem na spotkanie z panią nieco szybciej, gdyż, jak zapewne pani wie, pojutrze odbędzie się moja koronacja, a wciąż wiele jeszcze jest do przygotowania.

– Obawiam się, że pojutrze już nas tu nie będzie. – stwierdza Reyna.

To posunięcie jest odważne i niebezpieczne, ale Reyna znów jest dobrze ukryta za maską bezwzględnej kapitan, która nie słucha rozkazów niczyich, prócz swoich własnych. Przez chwilę ona i książę patrzą sobie w oczy. W jej spojrzeniu czai się wyzwanie.

– Mam nadzieję, że jednak pani zostanie. – odzywa się książę Dunstan. – Zważywszy, że chciałbym zaprosić panią na bal koronacyjny jutro wieczorem.

Jeden ze stojących pod ścianą służących rusza w naszą stronę. Podchodzi do Reyny ze srebrną tacą, na której leży koperta. Reyna podnosi ją, unosząc nieznacznie brwi.

W środku znajduje się zaproszenie wypisane na czerwonym papierze.

– Może i się pojawię. – mówi Arachne, jednak nie widać po niej żadnego śladu entuzjazmu. – Ale to zaproszenie dla mnie i jednej towarzyszącej mi osoby. A nas jest troje.

Książę patrzy na nas spod zmarszczonych brwi. W jego przeszywających oczach tlą się iskierki rozdrażnienia. Powoli nudzi go gra, w jaką pogrywa Arachne. Jeszcze kilka nierozważnych ruchów i naprawdę wsadzi nas wszystkich do więzienia.

– W porządku. – mówi w końcu, klaskając na służbę. – Dajcie im jeszcze jedno zaproszenie.

Kolejny służący odsuwa się od ściany i podchodzi do Hearda, wręczając mu identyczną kopertę.

– Jeśli to tyle – odzywa się Reyna. – to już pójdziemy.

Nie czekając na zezwolenie, odwraca się i rusza do wyjścia, kiwając na nas, byśmy uczynili to samo. Strażnicy księcia wydają się nie wiedzieć, co mają robić w tej sytuacji: czy zatrzymać nas, czy raczej pozwolić przejść.

– Liczę na pani obecność na jutrzejszej uroczystości. – słyszymy za sobą głos księcia.

Reyna nie odpowiada, jedynie rzuca w jego stronę ostatnie przelotne spojrzenie i wraz z nami opuszcza salę.



Kilka godzin później siedzimy w piątkę przy stole w kajucie kapitańskiej na „Arachne”. Ja i Reyna powoli sączymy kawę, Anika nerwowo bębni palcami w blat stołu, Heard huśta się na krześle, a Jackin spogląda przez okno. Choć to zebranie na którym mamy ustalić nasze następne kroki, żadne z nas się nie odzywa.

– A więc – Jackin decyduje się przerwać wreszcie ciszę. – czego on tak naprawdę chce?

– Albo mnie zabić, albo się oświadczyć. – oznajmia Reyna. – Szczerze mówiąc, nie wiem, co gorsze.

Jej odpowiedź sprawia, że niemal krztuszę się kawą.

– A ty skąd niby wysnułaś takie przypuszczenia? – pyta sceptycznie Heard.

– Daj spokój, chyba potrafię rozpoznać faceta, który ma względem mnie plany matrymonialne. – stwierdza Reyna, ale biorąc pod uwagę moje własne palny, mam ogromną nadzieję, że jednak nie potrafi.

– Może powinnaś to rozważyć. – mówię, choć każde słowo jest dla mnie jak nóż, który sam sobie wbijam w skórę.

Heard spogląda na mnie ze zdumieniem. Reyna krzywi się odrobinę i, jetem pewien, nie ma to nic wspólnego z kawą, którą właśnie pije.

– Nie mam nic do rozważania. – stwierdza.

– Zapewniłoby ci to więcej możliwości. – przyznaje Anika.

– Jakich możliwości? – Reyna marszczy brwi.

– Fundusze, których wam brakuje, statki... – wyliczam na palcach. – Może i nawet wspomógłby cię w jakiś sposób, odwołując rejsy do Majaru. Księżę Kraterii mógłby być istotnym sprzymierzeńcem w waszej sprawie.

– Albo mógłby mnie zabić, zaraz po tym, jak zdradzę mu sposób na przepłynięcie Bestialskiego Morza bez kontaktu z potworami. – mówi Reyna nieco ostrzejszym głosem i z siłą odstawia kubek na biurku. – Powiem wam tyle: on jest do cna zły i zżarty przez egoizm i chore ambicje. Nie zdziwiłabym się nawet, gdyby się okazało, że to nie jakaś choroba, a on sam stoi za śmiercią swego ojca i siostry.

Na te słowa Anika pospiesznie wykonuje gest przeżegnania do dwunastu bóstw.

– Co zatem robimy? – pyta Heard. – Podnosimy kotwicę i wracamy do kryjówki?

– Tak chyba powinniśmy zrobić. – przyznaje Reyna. – Choć nie ukrywam, że kusi mnie, by jeszcze trochę pograć na nerwach księciu.

– W jaki sposób? – docieka Heard, uśmiechając się pod nosem. Jestem pewien, że i jemu podoba się ten pomysł.

– A myślicie, że po co chciałam od niego dwa zaproszenia? – pyta Reyna.

– Dajcie sobie spokój. – wtrąca Anika. – Po prostu odpłynijmy stąd, puki jeszcze możemy.

Reyna uśmiecha się kwaśno, ale wstaje i wydaje rozkaz do podniesienia kotwicy.



Jak się prędko okazuje, opuszczenie Kraterii nie jest takie proste.

Nie odpływamy wcale tak daleko, gdy obserwator z bocianiego gniazda zawiadamia nas, że cała droga za strefą bezpiecznych wód jest zastawiona statkami, które nie pozwalają wypłynąć żadnym podejrzanym okrętom.

Jesteśmy w pułapce.

– A gdybyśmy wypłynęli pod banderą Kraterii? – pyta Joy, gdy stoimy na pokładzie zastanawiając się, co dalej robić.

– Z portu może i by nas wypuścili, ale nie przepłyniemy dalej. Obawiam się, że prowadzą raczej dokładny rejestr statków, które mają wypłynąć w najbliższych dniach. – stwierdza Jackin.

– Czy ja chcę wiedzieć, skąd macie krateriańską banderę? – pytam, unosząc brew.

– Mamy ich całkiem sporo. – oznajmia Reyna z chytrym uśmiechem. – Zgarnęliśmy je z napadniętych statków. Flagi Majaru też mamy. Pamiętaj, że wypływaliśmy jako okręt króla.

– Mamy jakąś na „Arachne”? – pyta Heard. – Wówczas może by nas przepuścili.

– Gdybyśmy płynęli z południa może tak, ale my przypłyniemy z zachodu. – zauważa Jackin, pocierając szczękę. – Chyba jesteśmy tu uziemieni.

– Zostaniemy tu tak długo, jak się da. – proponuje Anika. – W końcu muszą otworzyć drogę handlową, a wtedy uciekniemy.

– Prędeż, niż się znużą, książę zarządzi dokładne przeszukanie bezpiecznych wód wokół Kraterii. – zauważam. – Nie uciekniemy im.

– Więc może powinnam porozmawiać sobie o tym z księciem. – prycha pod nosem Reyna.

Marszczę brwi, nie mając pewności, co chodzi jej po głowie, ale jednego jestem pewien.

- Zamierzasz iść na ten bal. – zauważam.
- Tak. I mogę zabrać ze sobą jeszcze trzy osoby. – w oczach Reyny tańczą psotne ogniki.
- Prócz Josepha i Razora? – zgaduję.
- Nie zamierzam brać ze sobą Razora. Zresztą nic z tego, skoro zdążyłeś się już ogolić. – na twarz Reyny wkrada się uśmiech. – Zamierzam pójść z kapitanem Crepusculum.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 2
w Kraterii*

Gwiazdy,

Czemu nie widzę was tej nocy?

*Jeśli jesteście jak mówią, wiecznie patrzące na zło i dobro, czemu nie patrzycie
teraz, gdy wasz wzrok jest potrzebny.*

Teraz, kiedy ludzi do osądzenia jest aż nadto...

James Crepusculum

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

BAL KORONACYJNY

Gdy schodzę na ląd następnego popołudnia, w końcu naprawdę czuję się sobą. Rola którą mam dzisiaj grać wymaga ode mnie założenia mojego płaszcza.

Nie byłem bez niego kapitanem Crepusculum.

Nie byłem bez niego sobą.

Jestem zaskoczony, że w przeprawie do Port-Kraterii towarzyszą mi Heard i Jackin. To znaczy, wiedziałem, że Heard pójdzie z nami, jednak miałem pewność, że jego towarzyszką zostanie Anika.

Wystarczyło jednak jedno spojrzenie na tych dwoje, gdy zeszli wraz ze mną z okrętu, bym domyślił się kilku rzeczy. Heard mówił prawdę, gdy oznajmił mi, że oddał już komuś swoje serce. A tym kimś, jak się właśnie domyśliłem, był nikt inny, jak nawigator „Arachne”. A Jackin nie ma o niczym bladego pojęcia.

Mieliśmy dołączyć w mieście do Reyny, która w przebraniu szukała tam jakiegoś stosownego stroju. Nie zamierzała pojawiać się w pałacu pełnym ludzi w płaszczu kapitan. Szczerze powiedziawszy, bałem się zobaczyć Arachne w tym nowym wydaniu, podobnie jak bałem się pomysłów krążących po jej głowie.

To było prawie jak na Dali, gdzie nigdy nie miałem pojęcia, na jaki niedorzeczny bądź genialny pomysł wpadnie. Teraz jednak ma większy zakres możliwości.

W mieście panuje niespotykany dotąd ruch. Niemal taki, jak w czasie urodzin księżniczki, na których ja, Reyna i Joy byliśmy obecni kilka lat temu. Odnalezienie Reyny w tym tłumie może okazać się niemożliwe.

Aby się nawzajem nie zgubić, Heard i Jackin podążają za mną w niewielkiej odległości, uważnie wypatrując Reyny. Tylko, że tak naprawdę nie wiemy, czego mamy się spodziewać.

– Zdaje się, że miałaś czekać na nas w okolicy pałacu, nie nadbrzeża. – słyszę za sobą głos Hearda i odwracam się gwałtownie.

– Właśnie się tam wybierałam. – oznajmia Reyna.

Włosy ma związane w ciasny kucyk, wciąż grając rolę Arachne, ale nie sądzę, by rozpoznał ją którykolwiek z marynarzy, jakich miała okazję napaść. Zamiast płaszcza i spodni ma na sobie czerwoną suknię z długim rękawem, na tyle wąską, by w niczym nie przeszkadzały jej obszerne spódnice, a jednocześnie na tyle szeroką, by mogła się bez problemu poruszać. Brązowe wzory biegną po jednej stronie od jej rąbka, aż do samej góry. Uświadamiam sobie, że ten dobór kolorów nie jest przypadkowy. Chyba nic, co czyniła kapitan Arachne nie było przypadkowe. Zdecydowała się na te barwy, bo doskonale komponowały się z moim płaszczem.

Naraz dociera do mnie, że Reyna zdecydowała się iść ze mną na to przyjęcie, bo uważała, iż mogę stanowić konkurencję dla samego księcia. Właściwie wszyscy na „Arachne” wdawali się być co do tego zgodni.

Najwyraźniej nieopatrznie pozwoliłem, aby moja legenda rozrosła się za bardzo. A może zrobiłem to podświadomie, bo uczucie bycia kimś tak istotnym, potrafiło być doprawdy uzależniające.

Reyna odwraca się w moją stronę i łagodnie uśmiecha, co doszczętnie psuje maskę, którą powinna teraz nosić, ale zupełnie mi to nie przeszkadza.

– Dobrze pan wygląda, kapitanie Crepusculum. – oznajmia, wczuwając się w rolę.

– Pani również dobrze wygląda, kapitan Arachne. – oznajmiam, podczas gdy Reyna łapie mnie pod rękę i ruszamy w stronę pałacu.

Strażnicy przy wejściu albo nie rozpoznają Arachne, albo dostali rozkazy, by wpuścić ją bez szemrania, bo nie wydają się być ani odrobinę zaniepokojeni.

Pokazujemy im nasze zaproszenia, a oni wskazują drogę do sali balowej, po czym zostawiają nas w spokoju.

Zdaję sobie sprawę, że Reyna wygląda dość blado.

– Wszystko w porządku? – pytam.

– Tak, tylko... przez chwilę pograć na nerwach księciu, to jedno. A wiedzieć, że zastawił całe wody terytorialne Kraterii, bylebyśmy nie mogli się z niej wydostać, to zupełnie inna bajka. – mówi. – Może przypłynięcie tutaj było błędem... on będzie chciał zdobyć informacje za wszelką cenę. I wiem, w jaki sposób chce tego dokonać, ale gdy mu się to nie uda, powiesi nas wszystkich.

– Może Heard i Jackin podsłuchają jakieś istotne informacje. – zauważam. – A jeśli nie, to musimy tylko przetrwać tę noc. Skoro obawiasz się tego, co może wyniknąć z rozmowy z księciem, postarajmy się jej uniknąć. I tak szansa, że przekonamy go do odwołania floty jest dość niska. Liczylibym raczej na to, że do rana „Arachne” uda się dopłynąć do portu od południa pod majarską banderą i jakoś uciekniemy.

Reyna kiwa głową, ale nadal wygląda słabo. Jestem pewien, że po moich słowach zupełnie już odrzuciła pomysł rozmowy z księciem. Choć mogłoby to zadziałać na naszą korzyść, egoizm którego nigdy nie potrafiłem się wyzbyć, każe mi się cieszyć z takiego obrotu sprawy. Co więcej, przez całą noc mam Reynę tylko i wyłącznie dla siebie, a do tego musimy udawać całkowicie zajętych własnym towarzystwem.

Reyna niepewnie odchrząkuje, wyrywając mnie z zamyślenia.

– Twój plan właśnie umiera. – oznajmia grobowym głosem. – On już nas zobaczył. I idzie tutaj.

– Ale ja jeszcze go nie zobaczyłem i nie muszę wiedzieć, że idzie w naszą stronę. – zauważam, nawet się nie odwracając.

Reyna marszczy brwi, nie rozumiejąc, a ja wyciągam do niej rękę.

– Co powiesz na to, żeby go zgubić? – proponuję.

– Co masz na myśli? – pyta, ale podaje mi rękę, a ja ciągnę ją na środek sali, pomiędzy tańczące pary.

– Jeśli mamy udawać, że w twoich oczach równam się z samym księciem, to może chociaż uśmiechnij się do mnie od czasu do czasu. – sugeruję, widząc, że Reyna nadal jest trupio blada i chyba z trudem łapie oddech.

W odpowiedzi mocniej ściska moją rękę i posyła uśmiech: coś na pograniczu tego wystudiowanego, na który stać kapitan Arachne, tego szczerego, określającego Reynę i takiego, jaki może przybrać tylko osoba całkowicie przerażona, za wszelką cenę chcąc pokazać, że wszystko z nią w porządku.

Chyba zniknęliśmy księciu z oczu, przynajmniej mam taką nadzieję, bo na dłuższą chwilę zupełnie o nim zapominam. Przez pewien czas nie istnieje dla mnie ani ta sala, ani książkę, ani żaden z ludzi, którzy nas otaczają.

Jest tylko Reyna.

Przez chwilę przed oczami przelatują mi wydarzenia sprzed pięciu lat: Dala, Krateria, „Rosamunda” i to, co wydarzyło się w Majarze przed moim odejściem.

Przez moment nachodzi mnie myśl, że skoro James i Reyna mogli marzyć o wspólnym szczęściu, to może kapitan Crepusculum i kapitan Arachne też by mogli.

Nagle z rozmyślań wyrywa mnie ból nogi tak silny, że mimowolnie się krzywię.

– Matko, James, przepraszam! – wyrzuca z siebie pospiesznie Reyna, a do mnie dociera, że przez przypadek stanęła mi na nodze obcasem. Wygląda na nieco przestraszona, ale nie wiem czego się boi, bo na pewno nie tego, że na nią nawrzeszczę.

Na raz przypominam sobie, gdzie jesteśmy i dlaczego, a kątem oka dostrzegam księcia Dunstana w szykownym czerwonym płaszczu obszytym cekinami, stojącego pod ścianą i przyglądającego się nam tym swoim przeszywającym wzrokiem.

Zdaje się, że Reyna miała rację: on ma co do niej jakieś plany, a ja właśnie mu je rujnę.

Nachylam się w stronę Reyny i szepczę jej do ucha.

– Nie powinnaś mnie przeproszać. Kapitan Arachne powinna raczej wygłosić jakąś kąśliwą uwagę.

– Nikt tu nie wie, że jestem Arachne. – zauważa Reyna, ale na powrót zamienia twarz w maskę.

– On nas obserwuje.

Na te słowa Reyna zamiera, ale już po chwili rehabilituje się i odwraca nieco bardziej bokiem. Chce, żeby ją widział. Chce urządzić jakieś przedstawienie, a ja nie mam pojęcia, jaka rola mi w nim przypada.

– To niech obserwuje. – mówi i posyła mi kolejny uśmiech, ale ten jest już całkowicie wystudiowany, nieco kwaśny w jakiejś parodii słodczy, na którą nie stać osoby tak okrutnej, za jaką chce być uznawana Arachne.

Wciąż ukradkiem obserwuję księcia, on jednak nie rusza się z miejsca. Robi to dopiero, gdy kończy się melodia i zmierza w stronę ogromnych schodów w innej części sali.

Przez chwile jesteśmy wolni od jego wzroku.

Reyna puszcza mnie i rusza w przeciwną stronę. Jak sobie uświadamiam, stoi tam Heard, który, choć bardzo dobrze wygląda w eleganckim czarnym surducie, przedstawia sobą raczej smętny widok. Jackina dostrzegam nieopodal, idącego wzdłuż stołu z przekąskami, patrzącego na nie, ale niczego nie tykającego.

– Jeśli nie poprosisz go zaraz do tańca – zwraca się Reyna do Hearda. – karzę ci szorować pokład zębami przez całą drogę powrotną.

– Ale... – w zwykle pewnym siebie głosie sternika pobrzmiwa wahanie. – ale tutaj? Tutaj, gdzie jest tylu ludzi i każdy może nas zobaczyć?

– To Krateria. – zauważa Reyna. – Kraj wolności. Nikt nawet krzywo na was nie popatrzy, o ile w ogóle zwróci uwagę.

Heard nie wygląda na pocieszonego, ale rusza powoli w stronę nawigatora, a ja znów zostaję sam z Reyną.

– Możemy się tak ukrywać całą noc? – pyta.

– Obawiam się, że chyba jednak w końcu będziesz zmuszona stawić mu czoła. – stwierdzam, przypominając sobie, jak uporczywie księżę wlepił w nas wzrok. –

Ale będę tuż obok. – zapewniam.

Reyna wydaje się być nieco uspokojona tym faktem.

– Zatańczysz ze mną jeszcze raz? – pyta. Stara się nie okazywać emocji, ale widzę w jej oczach jakieś iskierki nadziei i prośby, bym jej nie odtrącał.

– Mogę i więcej razy, jeśli tylko będziesz chciała. Nawet do rana, jeśli o to poprosisz.

– Obawiam się, że jakieś idiotyczne zasady nie pozwalają kobiecie tańczyć z tym samym mężczyzną więcej niż trzy razy. – stwierdza Reyna, ale uśmiecha się łagodnie, czym doszczętnie niszczy swoją rolę, ale zupełnie mnie to nie obchodzi, bo nawet jeśli księżę znów nas obserwuje, to oddałbym wszystko, by nie utracić tego uśmiechu, przeznaczonego tylko dla mnie.

– Dobrze więc, że jesteś piratką i nie obchodzą cię takie idiotyzmy. – zauważam i również się uśmiecham.

Tej nocy cieszę się, że jednak nie wyrzuciłem wtedy pierścionka do morza.



Godzinę czy dwie później mamy już tak obolałe stopy, że siłą rzeczy musimy odpocząć.

Reyna prowadzi mnie tam, gdzie ostatnio - w stronę ogromnego, zastawionego jedzeniem stołu, ale to nie do niego się kieruje, a do wielkiego okna tuż za nim. Gdy przez nie wygląda, pochylam się nad stołem i sięgam po kieliszek szampana. Nim jednak zdążę go chwycić, Reyna trzepie mnie po ręce. Nie mam pojęcia, kiedy się odwróciła, a tym bardziej, jakim cudem tak szybko znalazła się obok.

– Zapomnij. – mówi.

Posyłam jej pytające spojrzenie.

– Mam już dziś dość problemów na głowie, żeby jeszcze się użerać z tobą, jak będziesz mi znowu opowiadał po pijaku o jakimś idiocie, który sikał ci po kajucie. – wyrzuca z siebie.

– W porządku. – mówię, odsuwając się od stołu, choć jestem pewien, że moja głowa jest w stanie wytrzymać jeden kieliszek szampana. Pamiętam jednak również - czy może raczej właśnie nie pamiętam - że na Dali porządnie upiłem się rumem i do dziś nie mam pojęcia, co wtedy zrobiłem, bo Reyna usilnie nie chciała mi tego powiedzieć.

Teraz wyczuwam okazję, by poznać wreszcie tą nie dającą mi spokoju tajemnicę i już mam ją o to zapytać, kiedy widzę, że oczy Reyny na moment otwierają się szeroko po to, by po chwili przybrała wyraz całkowitej obojętności i nieznacznie skinęła głową.

Gdy się odwracam, dostrzegam powód jej przerażenia.

Księżę Dunstan stoi tuż za nami.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 2
w Kraterii*

Wiedziałem, że pewnego dnia przyjdzie mi zapłacić za moje winy.

Naiwnie łudziłem się, że może zostaną mi zapomniane, ale wy o niczym nie zapominacie. Patrzycie wiecznie i karacie, ale nigdy nie nagradzacie.

Jeśli wszędzie jutrzejszej nocy, będziemy skończeni.

Możecie zamknąć oczy.

Ponoć sprawiedliwość jest ślepa.

James Crepusculum

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

POŚCIG

– Cieszę się z pani przybycia, kapitan Arachne. – mówi książę.

– Byłam ciekawa, jaki rodzaj współpracy może pan zaoferować mnie i mojej załodze. – oznajmia Reyna.

Książę jedynie uśmiecha się, ale nie ma w tym ani cienia szczerej radości i ani krzty dobroci.

– A gdzie jest pani ogniomistrz z językiem jak brzytwa? – pyta, na razie unikając odpowiedzi. Jestem pewien, że będzie wokół niej krążył, puki któreś z nas nieopatrznie nie ujawni mu jakichś istotnych informacji.

– Ostatnim razem za bardzo go pan męczył, więc zrezygnował z przyjęcia. – wyjaśnia Reyna.

– Liczyłem na to, że jeśli nie z nim, przybędzie pani sama. – mówi książę, a ja mam ogromną nadzieję, że Reyna widzi jak z trudem maskuje wściekłość i powstrzyma się przed rozjuszeniem go jeszcze bardziej.

– A czemuż to miałabym przyjść sama, skoro mogłam liczyć na tak znakomite towarzystwo? – pyta Reyna, unosząc lekko brwi i zerkając wymownie w moją stronę.

Książę również na mnie patrzy. W jego oczach dostrzegam cień ostrzeżenia, który jednak prędko znika zastąpiony przez udawaną obojętność.

On nie ma pojęcia kim jestem.

– James Crepusculum. – mówię, wyciągając rękę.

– Kapitan Crepusculum? – książę jest szczerze zaskoczony, gdy ściska moją dłoń nieco zbyt mocno, ale to z pewnością zamierzone działanie. – Nie miałem

pojęcia, że gości pan w Kraterii. Gdybym o tym wiedział, i panu wysłałbym zaproszenie.

– Nie afiszowałem się z przybyciem. – wyjaśniam oględnie. – Odbywam obecnie roczny urlop i chciałem odpocząć od ścigającej mnie sławy.

– Och, to zrozumiałe. – mówi księżę, ale to puste słowa. Nie sądzę, by je rozumiał, bo ja sam ich nie pojmuję. Nie ważne dokąd pójdę, chcę by moja legenda jak cień podążała za mną.

– To doprawdy szczęśliwy zbieg okoliczności, że natknąłem się na kapitan Arachne. – ciągnę. – Jest niebywale interesującą osobą, nie mam racji?

– Zaiste. – potwierdza księżę, zerkając w stronę Reyny, która przygląda nam się ze znużoną miną.

– Jeśli skończyli już panowie o mnie rozmawiać, czy możemy przejść do bardziej istotnych kwestii? – pyta Arachne.

– A śpieszy się dokądś pani? – księżę unosi brew.

– Puki co nie. Pańska flota blokuje dostęp do morza, zatem chwilowo jestem zmuszona tu zostać. – zauważa Reyna. Mam nadzieję, że wie, co robi.

– To... konieczne środki ostrożności. – mówi księżę wymijająco. – Na ten bal zaproszono wielu gości z różnych krajów. Zależy mi na bezpieczeństwie.

– Wspaniale to słyszeć. – oznajmia Reyna, choć w jej głosie nie pobrzmiwa ani entuzjazm, ani nic innego. – Zatem jutro pańskich okrętów już tam nie będzie, czyż nie?

Księżę jedynie krzywo się uśmiecha, ale nie udziela odpowiedzi. Wyciąga rękę w stronę Reyny.

– Jeśli pani pozwoli, możemy omówić interesujące panią kwestie przy okazji tańca? Jeśli oczywiście nie ma pan nic przeciwko, panie Crepusculum.

– Nie mam. – mówię, świadom, że mogę później oberwać od Reyny za te słowa. Nie jestem jednak w stanie wymyślić żadnego powodu, dla którego mógłbym ją zatrzymać.

– Obawiam się, że to niemożliwe. – wtrąca Arachne. – Tańczyłam już blisko dwie godziny i ledwo stoję o własnych siłach. Byłabym wdzięczna, gdybyśmy

mogli porozmawiać tutaj.

Książę zerka w moją stronę. Jestem pewien, że nie chce bym był świadkiem tego, co ma jej do powiedzenia, ale ja nie ruszam się z miejsca.

– W porządku. – mówi, ale widzę, że w środku gotuje się z wściekłości. Może i Reyna miała rację. Może i traktuje mnie teraz jak równego sobie rywala i obmyśla strategię, w jaki sposób usunąć mnie z gry. – Jedyne, czego od pani chcę, to informacje. Dobrze pani wie jakie, kapitan Arachne. – oznajmia.

– Co ja z tego będę miała? – pyta Arachne, tym samym znudzonym głosem.

Książę ponownie na mnie zerka, unosząc brew.

– Ależ proszę się nie krępować. – mówi Reyna. – Kapitan Crepusculum wie, na czym polega moja działalność. Inaczej zapewne by go tu nie było.

– Słyszałem wiele o pańskich dokonaniach, kapitanie. – oznajmia książę. – Wiele z nich brzmiało dla mnie doprawdy niesamowicie, jak chociażby ten incydent w Raphadze. Biorąc to pod uwagę, zapewne nie uznaje pan działań kapitan Arachne za nieco... okrutne?

– Nie, uważam je za fascynujące. – ucinam, odcinając się tym samym od wspomnień z Raphagi.

– Moim celem jest tylko uczynienie świata lepszym miejscem. – wtrąca Reyna. – Nawet, jeśli moje metody wydają się panu okrutne, zapewniam, że to cena jaką jesteśmy w stanie zapłacić dla większego dobra.

– Jest pani w stanie przysiąc, że wszystko to tylko po to, by uczynić świat lepszym miejscem? – pyta książę podchwytliwie. – Że nie ma pani w tym żadnego prywatnego celu?

– Jestem. – mówi Arachne. – Choć przyznaję, że niesie to ze sobą różnorakie korzyści.

– Brak pani jednak wielu rzeczy, począwszy od zasobów finansowych. – zauważa książę.

– Czy to jest pańska oferta? Informacje w zamian za finansowanie mojego przedsięwzięcia?

– Zależy od tego, na czym ono dokładnie polega. – stwierdza książę, podpuszczając ją tym samym, by zdradziła więcej informacji, niż zamierza. – I, w jaki sposób dokonała pani tego, co przez niemal sto lat wychodziło poza najśmielsze wyobrażenia wszystkich marynarzy?

– Nie było to takie trudne. Wystarczyło nieco pomyśleć i poświęcić temu odrobinę czasu. – ogólnikowo mówi Arachne. Myślę, że oni oboje będą w stanie toczyć tę słowną potyczkę całą noc, okrążając się, ale nigdy bezpośrednio nie atakując, chyba że w końcu jedno z nich rozjuszy drugie. I, może właśnie to jest plan Reyny: przetrzymać go w niewiedzy do rana, a potem czmychnąć na „Arachne” i odpłynąć, byle dalej od tego miasta i kraju.

– To może być takie proste, kapitanie Crepusculum? – książę zwraca się w moją stronę. – Jest pan żeglarzem, może rzuci mi pan nieco więcej światła na tę kwestię?

– Może i nie takie proste dla pierwszego lepszego marynarza, ale dla kogoś z wizją, nieposkromioną wyobraźnią i gotowością działania... Cóż, muszę przyznać, że sposoby, jakie znalazła kapitan Arachne, są doprawdy niebywałe.

Widząc minę księcia, uświadamiam sobie, co właśnie zrobiłem.

Właśnie przyznałem, że kapitan Arachne wtajemniczyła mnie w swoje działania. Że wiem, jak przemierza Bestialskie Morze tam i z powrotem.

Że wiem to, co i on chce wiedzieć.

Książę Dunstan właśnie pojął, że jednak nie byłem dla niego równym rywalem w tej walce, którą właśnie przegrał. Z jakiegoś powodu byłem od niego lepszy.

– Jeśli tak pan twierdzi, kapitanie. – mówi, cedząc słowa przez zęby. – W takim razie umieram z ciekawości, by je poznać.

– Chcę wiedzieć dokładnie, co ma mi pan do zaoferowania w zamian za te informacje. – wtrąca rzeczowo Arachne. – To, czego dokonałam, to dzieło mojego życia i nie zamierzam wyjawiać go każdemu, kto o to poprosi.

– Nawet jeśli złożę obietnicę o pokryciu kosztów pani działalności, kapitan Arachne? – pyta książę, ale grymas wściekłości już maluje się na jego okrutnej twarzy, niemożliwy do ukrycia.

– A ile warte jest pańskie słowo, książę?

– Pewnie tyle, co i twoje, piratko. – odpowiada tamten. – Twoja kapitan kłamie. – zwraca się do mnie. – To zdrajczyni, manipulanka i morderczyni. Mówi, że chce naprawić świat, ale jedyne, co zrobi, to ściągnie na nas zgubę.

Po tych słowach wykonuje gest dłonią, a pałacowi strażnicy powoli zaczynają się do nas zbliżać. Reyna również to zauważa.

– Zapewniał mnie pan, że będę nietykalna, o ile stawię się nieuzbrojona. – przypomina, a jej głos nieznacznie drży.

– Tak twierdziłem. – potwierdza książę. – Ale, jak już mówiłem, moje słowo nie jest warte więcej od pani, kapitan Arachne.

Straże otaczają nas już niemal ze wszystkich stron.

– Aresztować ją! – rozkazuje książę.

Strażnicy rzucają się w stronę Reyny, ale ja jestem szybszy. Łapię ją za rękę i ciągnę w stronę ogromnych schodów - zdaje się, że jedynej części sali, chwilowo pozbawionej ochrony.

– Dokąd idziemy?! – pyta Reyna, gdy wbiegamy po stopniach.

– Byle dalej od straży.

– Tak, tylko że tam nie ma wyjścia! – zauważa.

Niestety, ma rację. Schody prowadzą nas na opustoszały korytarz, a ten ciągnie się w głąb pałacu. A strażnicy biegną już za nami.

– Na górę. – mówię, wskazując kolejne schody. – Może ich zgubimy.

– Nie ukryjemy się w pałacu. – oznajmia sceptycznie Reyna i, choć wiem, że ma rację, liczę na to, iż na górze znajdziemy rozwiązanie naszego problemu.

– Obie części pałacu łączy most. – mówię, biegnąc w górę i ciągnąc za sobą Reynę, która z trudem dotrzymuje mi kroku na wysokich obcasach. – Nie sądzę, żeby wschodnie skrzydło było tak obstawione strażnikami, jak sala balowa. Jeśli się do niego przedostaniemy, może uda nam się uciec.

Reyna kiwa głową, pewnie chwytając się tej jedynej nadziei równie kurczowo, co i ja.

– Po co ze mną uciekasz? – pyta niespodziewanie. – Mogłeś tam zostać. To nie ciebie mieli aresztować. Książę wypuściłby cię, nawet jeśli uprzednio by przesłuchał. A teraz ścigają nas oboje.

– Przecież bym cię nie zostawił. – mówię, patrząc na nią, jakby oszalała. Jestem również pewien, że książę nie pozwoliłby mi odejść tak po prostu.

Na wysokości czwartego piętra znajdujemy wyjście na most. Chyba jesteśmy uratowani.

– Stać! – dobiega nas głos strażników, którzy niemal nas doganiają. Mimo to, z każdym krokiem Reyna zwalnia coraz bardziej.

– Cholerne buty! – mruczy, gdy wbiegamy na most. Zatrzymuje się na chwilę i zdejmuje je z nóg, po czym ciska za barierkę i dogania mnie w przeciągu chwili.

Jesteśmy w połowie mostu, gdy i strażnicy na niego wbiegają. Odwracam się w ich stronę tylko na moment, ale gdy to robię, biegnąca obok mnie Reyna zamiera.

Z wejścia do wschodniej części pałacu również wyłaniają się pałacowe straże, odcinając nam ostatnią szansę na ucieczkę.

Jesteśmy w pułapce.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 2/3
w Kraterii*

To nie może być koniec.

*Zbyt wiele pozostało we mnie woli walki i zbyt wiele jeszcze pozostaje przede
mną.*

*Jeśli wyprę prawdę i uwierzę w kłamstwo, czy pozwolicie mi je urzeczywistnić?
O ile raczycie w końcu spojrzeć na tą niesprawiedliwość...*

James Crepusculum

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

WIĘŹNIOWIE

Cela, w której nas zamknęli, jest zimna i ciemna, ale przynajmniej nie towarzyszą nam żadni inni współwięźniowie.

W środku jest całkowicie pusto, nie ma nawet pryczy, a za posłanie najpewniej ma służyć kamienny blok wepchnięty we wnękę w ścianie, tuż pod zakratowanym oknem.

Jesteśmy wycieńczeni. Reyna bez zastanowienia siada na kamiennym bloku, podciągając nogi. Ja usadawiam się na posadzce niedaleko niej.

– Co teraz z nami będzie? – pyta Reyna, opierając się o ścianę i zamykając oczy. Plamy księżycowego światła wlewającego się przez zakratowane okienko tańczą na jej twarzy.

– Jutro poślą nas przed sąd. – mówię. – W Kraterii tak jak i w Majarze panuje zwyczaj sądenia po zmroku, gdy wzejdą pierwsze gwiazdy.

– Nie mogliby tego załatwić od razu? Dzisiaj? – pyta zmęczonym głosem, w którym brak tej pewności siebie, z którą zwykła obnosić się Arachne. – Czy nie mogą, bo nie koronowali jeszcze tego durnia na księcia?

– Nie dziś. – mówię. – Dziś jest noc bezprawia. Sprawiedliwość śpi, bo niebo jest bezgwiezdne.

– Po roku na „Arachne” zdążyłam już zapomnieć o tych zabobonach. – stwierdza pod nosem Reyna, ale w jej głosie nie słyhać nawet cienia irytacji, tylko bezbrzeżne zrezygnowanie.

– Uczynię ci przysługę i nie wspomnę o tym Anice.

Reyna uśmiecha się, ale bez przekonania.

– Możesz nie mieć już okazji. – zauważa, odwracając twarz w moją stronę. – Przepraszam, że cię w to wpakowałam.

– Sam się zgodziłem. – zauważam, ale ona wciąż nie wygląda na przekonaną. – Nie jesteś niczemu winna. – zapewniam.

Reyna podciąga nogi jeszcze bliżej siebie, zakrywając bose stopy fałdami sukni, byle odgrodzić się od chłodu bijącego od nagiego kamienia. Choć stara się to ukryć, trzęsie się z zimna.

– Trzeba było zostać w kryjówce. – mówi. – Teraz wszystko już stracone. Nie uciekniemy, prawda? Jutro skarżą nas na śmierć. A twoja będzie tylko i wyłącznie moją winą.

Coś się we mnie burzy na dźwięk rozpacz i zrezygnowania, które pobrzmiewają w jej głosie. Reyna zawsze widziała tylko czarne scenariusze. Nawet kiedy wpadała na jakiś szaleńczy, genialny pomysł, myślała tylko o tym, co może pójść nie tak. Zawsze rozprawiała o nieuniknionej śmierci, podczas gdy ja rozważałem, jak najlepiej będzie jej uniknąć. Tak i tym razem musiałem wyciągnąć ją z tej czarnej melancholii.

– Jeszcze nie wszystko stracone. – mówię, choć tym razem i ja sam średnio w to wierzę. Jesteśmy zamknięci na klucz w celi z jednym oknem, do którego i tak ledwo możemy dosięgnąć. Stąd nie ma drogi ucieczki. Ale jeśli istnieje jakiś sposób, by się stąd wydostać, będę głowić się całą noc i cały dzień, aż go wymyślę. – Jeszcze mamy szansę. – zapewniam, licząc na to, że jeśli i ona w to uwierzy, wyrwie się z tego beznadziejnego stanu. – Zawsze mamy szansę. Nie ważne, jakie kłody rzuca nam pod nogi los, my zawsze będziemy szukać sposobu, by się ocalić. Tak jak na Dali. Tylko nie możesz się poddać.

– Nie zamierzam się poddać. – oznajmia Reyna. – Nadal nie chce mi się umierać. – dodaje, uśmiechając się blado.

Widząc, że dygocze z zimna, zdejmuję własny płaszcz i niewiele myśląc zarzucam go jej na ramiona.

Choć obawiam się, że Reyna natychmiast mi go odda znosząc pokornie wszelkie niedogodności i nie dopuszczając do siebie niczyjej pomocy, ona jedynie

ciaśniej się nim opatula.

– Nie katuj się myślą, że będziesz winna mojej śmierci. – mówię łagodnie. – Jestem jedyną osobą, która może się o to obwiniać, bo to, że tu jestem, to następstwo moich własnych decyzji.

– Ale, mimo wszystko nie podjąłbyś ich, gdyby nie ja. – zauważa.

– Nie stałaś nade mną, przytykając mi rewolwer do czoła, mówiąc: „pójdiesz ze mną na ten nieszczęsny bal koronacyjny albo giń”.

Przynajmniej tym razem Reyna śmieje się szczerze.

– Szkoda tylko, że to wybór między śmiercią od strzału, a śmiercią przez powieszenie. – zauważa po chwili.

– Może przestańmy rozmawiać o śmierci, a zacznijmy o metodach, jak jej uniknąć? – proponuję.

– A masz jakieś pomysły, jak tego dokonać?

– Jeszcze nie, ale może coś mnie natchnie, wciąż mamy czas. – oznajmiam.

Chyba nie specjalnie podbudowuję ją tym stwierdzeniem. Reyna milczy przez długą chwilę i odnoszę wrażenie, że zasnęła, ale niedługo później odzywa się cicho.

– Co się stało w Raphadze? – pyta. Z jej bezbarwnego tonu z trudem można wyczytać zaniepokojenie.

– To... było jeszcze zanim zostałem kapitanem. – wyjaśniam. Może i wolałbym uniknąć tematu Raphagi, a najlepiej zupełnie wymazać ją z pamięci, ale opowieść jest czymś, co może na jakiś czas zająć Reynę, więc skłonny jestem raz jeszcze powrócić do tamtych wydarzeń. – Byłem wtedy dość młody, miałem jakieś... może dziewiętnaście lat? Wiesz, że szybko ukończyłem akademię.

Reyna kiwa głową.

– Byłem podoficerem, ale bez praktycznego doświadczenia. A do tego przydzielono mnie na okręt ze wsparciem wojskowym do Raphagi, gdzie właśnie następował krwawy przewrót. Wysłali kilku członków załogi z zaopatrzeniem żywnościowym i amunicją dla walczących, a mnie wybrali na dowódcę tego

oddziału. Buntownicy zaszli nam drogę i odcięli odwrót. Prawie wszyscy moi ludzie zginęli.

– Jak udało ci się wyjść z tego cało? – Reyna w końcu wydaje się być skupiona. Patrzy na mnie wyczekująco.

– Miałem przy sobie szablę, więc wywalczyłem sobie drogę na statek. Szykowali się właśnie do podniesienia kotwicy. Gdy usłyszeli o ataku buntowników, stwierdzili, że nie mamy szans i po prostu chcieli odpłynąć. Chyba trochę ich wystraszyłem, stojąc na brzegu, ociekający krwią, z szałem w oczach, krzyczący, by spuścili mi trap. Po tym wszystkim... nigdy więcej nie zgodziłem się brać udziału w żadnych działaniach wojskowych, choćbym miał przypłacić to utratą posady królewskiego kapitana.

– Ale on i tak wysłał cię w sam środek masakry. – zauważa Reyna. – Na Bestialskie Morze.

– To dlatego, że zabiłem tamtych ludzi, byłem zaznajomiony ze śmiercią. Mogłem patrzeć, jak topicielka wyrzuca niewolników za burtę i wmawiać sobie, że to konieczność, dławiając wyrzuty sumienia.

Reyna wciąż na mnie patrzy, ale jestem wdzięczny, że w jej spojrzeniu nie ma potępienia.

Nie jestem pewien, czy gdybym wyznał jej to pięć lat temu, patrzyłaby na mnie w ten sam sposób. Łatwiej jest mi wyobrazić sobie, jak po tej opowieści krzywi się z pogardą. Ale teraz i ona jest uznawana za straszliwą morderczynię, nawet jeśli to nie prawda. Uznają ją za potwora, a to sprawia, że w końcu jest w stanie mnie zrozumieć.

Chyba oboje jesteśmy potworami, które rozumieją się bez słów. Potworami, które powinny trzymać się razem.

Świadomość, że to może być przedostatnia noc w naszym życiu sprawia, że sięgam do kieszeni, tej, w której od miesięcy spoczywa pierścionek, przywieziony Reynie z Norii, ale ze zgrozą przypominam sobie, że oddałem jej swój płaszcz.

Jeśli tylko włoży rękę do kieszeni, wszystko się wyda.

Ale Reyna wciąż siedzi w bezruchu, oparta o ścianę, z miną, która świadczy o tym, że jeszcze nie do końca pogodziła się z wiszącym nad nami widmem śmierci.

– Opowiedz mi o tych pięciu latach na południu. – odzywa się.

– Nie mam zbyt wielu przygód do opowiedzenia. Byłem prywatnym kapitanem ambasadora Majaru, co w praktyce znaczyło tyle, że miałem okrutnie dużo wolnego czasu, a musiałem jedynie być dyspozycyjny na każde zawołanie ambasadora. Na szczęście nie potrzebował mnie specjalnie często.

– Opowiedz, mimo to. – prosi, a ja nie jestem w stanie jej odmówić. Ciągnę swoją opowieść, aż blask księżyca wymienia się z bladymi promieniami wschodzącego słońca, rozpoczynając dzień, który może być naszym ostatnim, jeśli prędko czegoś nie wymyślę.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 3
w Kraterii*

*Co dzieje się za dnia, jest sekretem dla gwiazd i tajemnicą dla nocy.
Jeśli i tak nie możecie interweniować, po co trwonić na was słowa?*

James Crepusculum

ROZDZIAŁ SZESNASTY

UCIECZKA

Jest niemal południe, gdy w naszej celi w końcu zaczyna się coś dziać.

Reyna od dłuższej chwili pogrążona jest we śnie, ja natomiast przechadzam się tam i z powrotem wzdłuż celi, próbując wymyślić jak wydostać nas z tego bagna, w które się wpakowaliśmy.

Żadnego ukrytego przejścia za obluzowaną cegłą ani nawet partackiego tunelu, wykopanego pod więzieniem. Zupełnie nic.

Wtedy dobiega mnie ciche syczenie.

Gdy unoszę głowę, w pierwszej chwili sędzę, że mam zwiady ze zmęczenia albo, że ze strachu, który zżera mnie od środka, zaczęło mi odbijać. Za zakratowanym oknem dostrzegam smukłą, kobiecą dłoń w grubej rękawicy, która wylewa na kraty bladożółty roztwór, powoli wyżerający metal. Następnie wyłamuje pozostałości prętów z cichym trzaskiem.

Na ten odgłos Reyna gwałtownie się wybudza i wstaje na równe nogi.

– Marica. – mówi oniemiała, zerkając to na mnie, to na naszą wybawczynię, a na jej twarzy powoli pojawia się szeroki uśmiech.

– Chodźcie. – mówi artylerzystka, wyciągając rękę przez okienko. – Randel, choćby miał nie wiadomo jak gadane, nie da rady stukać bajerki do strażników bez końca.

Obok pojawia się jeszcze jedna ręka, tym razem męska. Nie mam pojęcia do kogo należy, ale oboje pomagają Reynie przejść przez okno, gdy ta pospiesznie oddaje mi płaszcz, po czym staje na kamiennym bloku i podciąga się do góry.

Zaraz potem wyciągają także i mnie. W końcu widzę, że prócz Mariki w ucieczce pomaga nam Heard.

– Coś tu pusto. – zauważa Reyna, rozglądając się po opustoszałych uliczkach miasta. W zasięgu wzroku nie ma nikogo, włączając w to strażników.

– Wszyscy są na koronacji. – wyjaśnia Heard. Wciąż jest w eleganckim stroju, choć nie ma już na sobie surduta. – Straże też zmniejszyli. Bardziej się boją o życie księcia, niż o ucieczkę kilku więźniów.

– Bo pewnie niewielu spośród tych więźniów ma znajomą artylerzystkę, która hobbistycznie zaczytuje się w podręcznikach do chemii. – stwierdza Reyna, zerkając w stronę Mariki z szerokim uśmiechem.

– Kiedy zaczęła się koronacja? – pytam pośpiesznie. Może i ulice są opustoszałe, ale nie znaczy to, że możemy tam stać i gawędzić sobie w nieskończoność.

– Nie mam pojęcia. Gdy wyruszyliśmy, już trwała. – oznajmia Heard. – Śpiewali jakiś hymn, aż na pół miasta niosło. Jak nie będziemy się odzywać, to sami usłyszycie.

– Jaki hymn? – dociekam, bo, choć rzeczywiście słyszę jakieś odległe dźwięki, to nie jestem w stanie rozróżnić słów.

– Jakiś ku chwale Leo, by strzegła księcia, czy jakoś tak. – oznajmia Marica, spoglądając na mnie nieco dziwnie. – Co cię to obchodzi?

Na te słowa pozwalam swoim napiętym nerwom nieco się uspokoić.

– A to, że od tego hymnu rozpoczyna się koronacja. A ma on jakieś trzysta dwadzieścia wersów, więc nie musimy się przejmować, że po drodze na statek natrafimy na wracających z uroczystości Krateriańczyków.

– To niby na ilu koronacjach byłeś, że wiesz takie rzeczy? – Marica marszczy brwi.

– Jednej.

Reyna przerywa nam klaskając w dłonie.

– Statek. – wtrąca. – Udało wam się wpłynąć do portu?

– Tak. – oznajmia Heard. – Ale opowiemy wam po drodze, bo mimo wszystko nikt nie wie, czy zaraz nie wpadną na nas strażnicy robiący obchód.

– Płynęliśmy pod majarską flagą – zaczyna Marica, gdy ruszamy w stronę nabrzeża. – ale i tak nas zatrzymali. Powiedzieli, że nie mają żadnych informacji o tym, że ma przyplłynąć statek z Majaru i chcieli się widzieć z kapitanem.

– Pięknie. – mruczy Reyna pod nosem. – I kto mnie udawał?

– My... ja i Joy wyszliśmy do nich z czarnymi wstążkami. – wyjaśnia powoli Marica. – Powiedzieliśmy, że kapitan nie żyje, a potem jakoś to poszło. Chyba uznali, że załoga jest w żałobie i nie wyciągną od nas żadnych istotnych informacji. Pozwolili nam przepłynąć.

– I nie pytali nawet, kim był zmarły kapitan? Nie chcieli go zobaczyć? – dociekam.

– Powiedzieliśmy, że wyrzuciliśmy ciało charybdzie na pożarcie. – wyjaśnia Marica. – Potem trochę poudawaliśmy rozpacz. No i powiedzieliśmy, że zmarły kapitan to Daniel Moondrowner. W Majarze jest uznany za zaginionego, a tu i tak raczej się nie pojawi, więc to chyba najrozsądniejsze wyjście.

– Uśmierciliście Daniela? – Reyna parska śmiechem. – Ciekawe co powie, gdy przekazemy mu tę radosną wiadomość.

Puki co nikt nas nie niepokoi. Jeśli dobrze pamiętam rozkład ulic, powinniśmy zbliżyć się do portu. Niespodziewanie jednak z pobliskiego urzędu wychodzi dwoje gwardzistów. Zatrzymują się nagle i wpatrują w nas oniemiałym wzrokiem.

Gdy rzucamy się biegiem przed siebie, chyba dociera do nich, że powinni nas gonić.

– Gdzie jest „Arachne”? – pyta Reyna, gdy wbiegamy na nabrzeże.

– Tam... gdzieś tam. – Heard wskazuje ręką jakiś bliżej nieokreślony punkt, ale jedno jest pewne: to na drugim końcu portu.

Choć gwardziści jeszcze nas nie doganiają, odwracając się widzę jak wykrzykują coś do grupy pilnującej portu.

Nasz ogon się powiększa.

Jesteśmy gdzieś w połowie drogi do „Arachne”, którą w końcu udaje mi się rozpoznać na tle dziesiątek innych okrętów, gdy bosa stopy Reyny ślizgają się na mokrych kamieniach, a ona sama traci równowagę. Łapię ją w ostatniej chwili.

– Jak to jest, że zawsze gdy upadam, jesteś gdzieś w pobliżu i podnosisz mnie na nogi? – pyta.

Nie zdążam się odezwać, bo stopy Reyny ponownie ślizgają się po chodniku i tym razem nie udaje mi się w porę jej pochwycić.

Reyna potyka się i wpada prosto do wody.

Pamiętam, że kiepsko pływa, choć morze, niebo i stada spłoszonych ptaków świadkami, jak na Dali próbowałem ją uczyć. Mam ogromną nadzieję, iż przez te pięć lat to też się zmieniło.

Ale Reyna nie wypływa.

Kapitan winien iść na dno wraz ze swoim statkiem, a jeśli moim statkiem jest moje serce, które tonie teraz wraz z Reyną, powinienem skoczyć za nią.

Pospiesznie zdejmuję płaszcz i wciskam go w ręce zaskoczony Mariki, ale Heard mnie uprzedza i już skacze za swoją kapitan.

Chwilę później, choć ciągnie się ona w nieskończoność, na powierzchnię wypływa i on i Reyna. Oboje łączywie chwytają oddech.

Klękam na krawędzi nabrzeża i wyciągam ręce w stronę Reyny, pomagając jej wyjść z wody, a Marica robi to samo z Heardem. Z opóźnieniem dociera do mnie, że to ja powinienem mu pomóc, bo sternik jest dla niej zdecydowanie za ciężki, ale zdaje się, że odkąd wróciłem z południa, nie potrafię już rozsądnie myśleć. Reyno, coś ty ze mną zrobiła?

Chwila, na którą się zatrzymaliśmy, dała gwardzistom sposobność, by skrócić dzielący ich od nas dystans.

Reyna wciąż wygląda, jakby była w szoku. Cała trzęsie się i ocieka wodą. Nie jestem pewien, jakim cudem mamy dać radę uciec.

Nawet nie protestuje, gdy biorę ją na ręce.

Zaraz po tym, jak wbiegamy po trapie na pokład, Heard wydaje rozkaz, by odpływać i choć nie jest ani kapitanem, ani nawet oficerem, cała załoga słucha jego

poleceń.

– A im co się stało? – pyta Randel, który najwyraźniej zdążył wrócić na okręt przed nami i teraz ciekawie przygląda się Heardowi i Reynie, która stoi oparta o burtę i powoli dochodzi do siebie po nieoczekiwanej kąpieli w brudnej, portowej wodzie.

– Wypadli za burtę. – wyjaśnia pospiesznie Marica.

– Jaką burtę?

– No, w porcie. – wyjaśnia artylerzystka.

Randel marszczy brwi.

– W porcie nie ma burty... nie ma nawet barierek.

– Właśnie dlatego wypadliśmy. – ucina Reyna, zerkając, jak duża odległość dzieli nas od pogoni. – Podnoście kotwicę! Już! – wrzeszczy, z czego wnioskuję, że gwardziści znajdują się niebezpiecznie blisko.

– Wysłali statek. – zauważa Randel, zerkając na port z przeciwnej strony.

– Do nas? – marszczę brwi. Jeśli tak, to chyba już jesteśmy martwi.

– Nie. – oznajmia ciemnoskóry ogniomistrz. – Ale... zdaje się, że do tej blokady na granicy bezpiecznych wód.

To chyba jeszcze gorzej, niż jakby płynęli do nas.

– Zatrzymają wszystkich. – zauważam. – Nie przepłyniemy. Jesteśmy tu uwięzieni.

– Płyniemy na zachód. – odzywa się Reyna głosem tak cichym, że w pierwszej chwili mam wrażenie, iż się przesłyszałem.

– Co takiego? – Heard unosi brwi.

– Płyniemy na zachód! – wrzeszczy Reyna, ale cała załoga patrzy po sobie niepewnie.

– Ale... – odzywa się sternik, nie ruszając się z miejsca.

– Już, to rozkaz! – po tych słowach wreszcie zaczynają się ruszać.

– Jesteś pewna, że wiesz, co robisz? – pytam, podchodząc do niej. Teoretycznie nie jestem członkiem jej załogi, więc mam nadzieję, że nie

nawrzeszczy na mnie za podważanie rozkazów, a zamiast tego pozwoli sobie pomóc.

– To jedyny pomysł, jaki mam. – przyznaje cicho, żeby nie słyszała jej cała reszta. – I mam nadzieję, że nie wpakuję nas z tego bagna w jeszcze większe. Ale równie dobrze mogę bredzić, bo coś czuję, że chyba mam gorączkę. Możliwe też, że nałykałam się w tej wodzie jakiegoś syfu, miesza mi się przez to w głowie i plotę bzdury. Właściwie to i tak na to samo wychodzi.

Gdy widzi, że bezpiecznie odbijamy od brzegu i nie wysłano za nami żadnego statku, rusza do swojej kajuty po płaszcz i buty.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 1
ponownie na „Arachne”*

Od kilku tygodni pcham się z jednego ryzykownego szaleństwa w następne, nigdy nie uwalniając się tak naprawdę spod widma niebezpieczeństwa.

Ale moje życie zawsze tak wyglądało. Gdyby nie to, byłoby potwornie nudne, zatem chyba nie powinienem narzekać.

Może zacznę, gdy okaże się, że kolejne ryzyko naprawdę przyjdzie przypłacić mi życiem.

James Crepusculum

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

KWATERMISTRZ

Plan Reyny jest szalony i ryzykowny.

Najprawdopodobniej wszyscy zginiemy, ale to bardziej pozytywne rozwiązanie, aniżeli płynąć wprost na blokadę, gdzie śmierć czeka na nas z pewnością.

Od kiedy zacząłem podzielać tak pesymistyczne wizje Reyny? To ona zwykle rozprawiała o wszystkich katastrofalnych możliwościach.

Kapitan chce opłynąć Kraterię od zachodu, a potem dostać się na północne morze przez przesmyk oddzielający ją od zachodniego kontynentu. To nie najgorsza część planu. Przynajmniej daje nam realną szansę na ucieczkę. Problem rozpoczyna się później, bo, żeby wrócić na Bestialskie Morze, Reyna chce opłynąć całą Kraterię i dostać się na nie od wschodu.

Prosto przez łowiska piratów.

Raz już z nimi igraliśmy przepływając przez krawędź ich terytorium. Nie posłali za nami nikogo w pogoń, więc albo nas przeoczyli, albo zignorowali. Pewnie inaczej miałyby się sprawy, gdyby „Arachne” ponownie zahaczyła o ich teren. A ona zamierza przepłynąć przez sam środek łowisk.

Zastanawiałem się czy, gdy kapitan ogłosi to swojej załodze, na statku wybuchnie bunt.

Ale nie.

Może i patrzyli na nią niepewnie i dopytywali po kilka razy, czy aby się nie przesłyszeli, ale wykonują jej rozkazy bez szemrania.

Choć Reyna prezentowała się jak prawdziwa kapitan w długim płaszczu i z pewnością siebie wymalowaną na twarzy, to nie potrzebowała tego, do zyskania szacunku załogi. I tak wszyscy byli jej bezwarunkowo posłuszni. Ufali jej.

Tylko że, odkąd wypłynęliśmy z powrotem w morze, z Reyną nie jest za dobrze. Jest blada i nie potrafi utrzymać równowagi na chwiejącym się na falach pokładzie. Choć pod płaszczem ma grubą, wełnianą kamizelkę, trzęsie się z zimna. Jestem pewien, że ma gorączkę, mam jednak ogromną nadzieję, że jej decyzje nie są nią powodowane.

Cieżko stwierdzić czy jej chorobę wywołała noc bosu w zimnej celi, czy nieoczekiwana kąpiel w lodowatej wodzie, a może i obie te rzeczy naraz, ale Reyna usilnie nie daje się nakłonić do odpoczynku. Cały dzień spędza na pokładzie, trzymając się nadburcia, a ja podążam za nią w bezpiecznej odległości, by złapać ją w razie gdyby przechyliła się przez burtę. Gdy w końcu to zauważa i pyta, czemu wciąż za nią chodzę, a ja udzielam jej wyjaśnień, jedynie posyła mi znużone spojrzenie.

Chyba jest z nią wyjątkowo źle, skoro nawet kłócić się nie ma siły.

– Idź się położyć. – sugeruje Heard po raz, możliwe że setny tego dnia, jednak Reyna uporczywie kręci głową.

– Jak sobie pójdę, to kto dopilnuje wszystkiego na okręcie? – pyta.

– Hmm... no nie wiem – Heard mruczy z ironią. – może na przykład twoi oficerowie, po to chyba ich masz.

Reyna jedynie przewraca oczami.

– Powiedz jej, żeby poszła się położyć. – zwraca się do mnie sternik.

– Reyno, idź się położyć. – mówię.

Reyna patrzy na przemian to na mnie, to na Hearda i unosi rękę.

– W porządku. – ustępuje wreszcie, ale jej głos brzmi okropnie słabo, choć na pewno tego nie planowała. – Słuchać mnie, załoga! – krzyczy i, choć jej głos nie jest w stanie zagłuszyć szumu fal, to najbliższej stojący żeglarze odwracają się w naszą stronę, a po nich kolejni, aż wreszcie zwrócona jest na nas uwaga wszystkich na pokładzie. – Potrzebuję odpoczynku. Oddaję dowództwo nad

„Arachne” moim oficerom, więc, jeśli macie jakieś pytania czy wątpliwości, wiecie gdzie się zgłosić. Od teraz męczycie Joy’a, Anikę, no i możecie też Jamesa.

– Mnie? – odwracam się gwałtownie w jej stronę, całkowicie zaskoczony. – Przecież ja nie pełnię na tym pokładzie żadnej funkcji.

– Możesz zacząć. – stwierdza Reyna. – Co byś mu proponował, Heard?

– Czy ja wiem... – sternik przekrzywia głowę. – Może majtka na dobry początek?

Reyna prychna.

– Nie mamy jeszcze kwatermistrza, prawda? – pyta.

– Nie. – stwierdza Heard. – Tego na pewno nie mamy.

– Czy mam rozumieć, że przez wzgląd na waszą luźną hierarchę, funkcja kwatermistrza może wymagać ode mnie szorowania pokładu? – pytam podejrzliwie.

– Zależy od Joy’a. – oznajmia Reyna z chytrym uśmiechem. – Teraz to on jest wyżej postawiony od ciebie.

– Pamiętajmy, że to luźna hierarchia. – mruczę pod nosem.

– Ale możesz sobie teraz trochę porozkazywać. – dodaje kapitan w ramach pocieszenia. – I nikt się nie obrazi, jak założysz swój płaszcz.

Jestem pewien, że moje oczy zaczęły świecić.

Gdy zakładam swój czerwony płaszcz, czuję się, jak gdybym do tej pory ledwo mógł oddychać, a teraz w końcu zaczerpnął całe płuca rzeńskiego, morskiego powietrza. Czułem się tak za każdym razem, gdy po dłuższym pobycie na lądzie znów wypływałem w morze.

Jestem wolny i szczęśliwy: dowódca, nie zwykły chłopiec okrętowy. Pan swojego życia, nie dzieciak zdany na łaskę ojca i brata.

Gdy wychodzę na pokład, za mną rozlega się przeciągły gwizd.

– Pan kwatermistrz raczył zaszczycić nas swą obecnością! – woła Randel, a gdy odwracam się w jego stronę widzę, że szczyrzy zęby w uśmiechu, siedząc na tej swojej beczce i machając nogami.

Gdzieś dalej dostrzegam Reynę, która, choć miała iść odpocząć, nadal bawi na pokładzie. Patrzy w moją stronę i walczy z cisnącym jej się na usta uśmiechem. Gdy jest już blisko przegrania tej potyczki, odwraca się i znika w swojej kajucie. Mógłbym jednak przysiąc, że nim weszła do środka, uśmiechała się równie szeroko, co Randel.

Przyglądam się uważnie Randelowi, bo coś w jego wyglądzie mi się nie zgadza. Jego koszula wciąż jest idealnie czysta. On chyba nawet się zaczesał.

Unoszę pytająco brew, kątem oka dostrzegając jak Christiana - medyczka, którą Reyna wzięła na pokład z Draquarii - zmierza do kapitańskiej kajuty, zerkając w naszą stronę z rozbawieniem wymalowanym na twarzy.

Nie można jej chyba opisać inaczej, jak „urocza”. Długie, jasne włosy spływają jej na plecy gęstymi falami, a z twarzy z trudem można wyczytać, że skończyła dwadzieścia lat. Nie dziwię się, że zawróciła w głowie Randelowi.

Gdy Christiana znika w kajucie Reyny, artylerzysta pokazuje mi nad wyraz wymownym gestem, żebym nawet się nie odzywał, po czym zeskakuje z beczki i idzie w swoją stronę. Heard podąża za mną, uśmiechając się pod nosem.

– Zapomnij, że będę cię traktował z nabożnym szacunkiem. – uprzedza, gdy mam już zapytać, o co mu chodzi. – Albo, że będę cię wielbił na kolanach. Jesteś doradcą, nie kapitanem.

– W zasadzie to kwatermistrzem. – precyzuję.

– A wyglądasz, jakbyś w swoim mniemaniu uważał się za samego króla Majaru.

Unoszę brew, a on parska śmiechem i klepie mnie po plecach.

– To dokąd płyniemy, panie kwatermistrzu? – pyta, wciąż szeroko się uśmiechając.

– Na północ. – mówię. – Tak, jak kazała Reyna.



Osiemnastego dnia podróży wpływamy na teren łowisk piratów.

Przez pierwsze dni niemal nie widywaliśmy Reyny, która siedziała w swojej kajucie i nie wpuszczała do środka nikogo, prócz Christiany. Ja natomiast przez cały czas czułem się sobą bardziej, niż przez te wszystkie ostatnie tygodnie.

Heard miał rację, co do tego, że się dusiłem. Potrzebuję świadomości, że mam pod sobą ludzi, gotowych wykonywać moje rozkazy. I nawet fakt, że załoga „Arachne” nie była mi bezwzględnie posłuszna i traktowała mnie mniej więcej na równi z Aniką, nie przeszkadzał mi tak bardzo.

Zaskoczyło mnie, że, gdy Reyna w końcu do nas wróciła, pozwoliła mi zatrzymać ten fragment władzy, który mi ofiarowała.

– Płaszcz też możesz dalej nosić. – powiedziała ze śmiechem. – Oni wiedzą, że to ja jestem ich kapitanem. Nikogo nie będzie obchodzić, co masz na sobie. A zresztą, dobrze w nim wyglądasz.

Tym razem to ja musiałem się odwrócić, bo nie potrafiłem powstrzymać wariackiego uśmiechu, który zagościł na mojej twarzy.

Gdy wpływamy na terytoria piratów, Reyna wygląda na zaniepokojoną. Choć od jej choroby minął już ponad tydzień, kolory znów odpływają z jej twarzy.

Ale nic się nie dzieje.

Żeby przepłynąć na neutralny teren, potrzebujemy jakiś czterech dni. Cały ten czas nerwy mamy napięte i reagujemy na najmniejszą nawet plamę na horyzoncie. Mam nadzieję, że opuścimy łowiska nim zdenerwowanie całkowicie odbierze nam rozum.

Mijamy Latarenkę szerokim łukiem. To mała wysepka, służąca za punkt obserwacyjny piratów. Staramy się płynąć poza zasięgiem wzroku stacjonujących tam ludzi, nawet, jeśli płacimy za to nadłożeniem drogi.

To, że nikt nas nie atakuje, nikt za nami nie płynie, nikt nas nie widzi i nie śledzi jest gorsze, niż jakby jednak to robili. Sprawia, że cały czas jesteśmy postawieni w stan gotowości.

Nie ma możliwości, by przepłynąć przez łowiska niezauważenie. Piraci muszą wiedzieć, że przecinamy ich terytorium. Nie zareagowali wcześniej, gdy

przepłynęliśmy jego skrajem do Kraterii. Dlaczego nie reagują także teraz, gdy płyniemy przez jego środek?

Kiedy na powrót znajdujemy się na neutralnym terenie, niepokój wciąż nie potrafi opuścić moich myśli. Stoję całą noc, wpatrując się w morze i horyzont, nawet wówczas, gdy niewiele na nim widać.

– Podobno noc jest tylko chwilą ciemności między dniem, a dniem – słyszę nieoczekiwanie głos Reyny, która staje obok mnie i spogląda na usiane gwiazdami niebo. – Ale mi się zdaje, że to dzień jest tą zbłąkaną przerwą, chwilą światła pomiędzy wieczną ciemnością.

– Jesteś pewna, że przeziębienie znów cię nie dopadło? – pytam.

– Chyba nie. – stwierdza, marszcząc brwi. – Skąd te podejrzenia?

– Bo łatwiej mi uwierzyć, że masz gorączkę, aniżeli, że tworzysz poezję, dopatrując się jej w rozgwieżdżonym niebie. – mówię, a ona parska śmiechem.

– Wolę się dopatrywać zbłąkanych dni i nocy, niż zbłąkanego okrętu piratów, który podąża naszym tropem. – oznajmia.

– Obawiam się, że ten statek nie byłby wcale zbłąkany. – stwierdzam, gdy Reyna opiera się o barierkę.

Moja ręka ponownie wędruje do kieszeni i bawi się pierścionkiem. Zauważyłem już, że ten tik dopada mnie ostatnio za każdym razem, gdy rozmawiam z Reyną. Zastanawiam się, kiedy nastąpi ta chwila, gdy go wyciągnę. Czy w ogóle nastąpi. Bo, puki co, Reyna przestała mnie traktować z tą sztywną obojętnością, ale do naszej relacji sprzed pięciu lat wciąż jest daleko.

Myślałem, że te wydarzenia w Kraterii coś zmieniły. Wydawało mi się także, że i Reyna to zauważyła. Ale odkąd wróciliśmy na „Arachne” na nowo zaczęła budować wokół siebie mur, przez który jest w stanie przebić się każdy z zaufanych członków jej załogi, ale nie ja. Jakby robiła to celowo. Jakby usilnie próbowała utrzymać między nami dystans.

Gdy tak stoimy, przypomina mi się „Rosamunda” i to, jak wiele razy staliśmy podobnie, zerkając na fale i rozmawialiśmy. Pamiętam, jak żałowałem wówczas, że nie jesteśmy sobie tak bliscy, jakbym sobie tego życzył, ale teraz oddałbym

naprawdę wiele, by do tego wrócić, bo wtedy przynajmniej znajdowalibyśmy się na dobrej drodze, a teraz, nie wiedzieć czemu, staliśmy się sobie tak bardzo obcy.

Boję się, że „Arachne” sprawiła, iż Reyna odnalazła swoje miejsce na świecie. I boję się, że dla mnie nie ma już w nim miejsca.

– Opowiedz mi coś. – prosi Reyna. Zdaje się, że chce na chwilę zająć myśli czymś, co nie będzie przypominało jej o zamartwianiu się pirackimi okrętami, których nigdzie nie widać.

– O czym chcesz posłuchać?

– Może o jakiejś twojej przygodzie?

– Opowiedziałem ci ich już całkiem sporo. – zauważam.

– Nie było cię pięć lat. Na pewno przeżyłeś wiele nowych.

– Nic, prócz tego, co już ci opowiedziałem w więzieniu. – zapewniam. – Te pięć lat mogę spokojnie uznać za najnudniejszy okres mojego życia.

– Skoro tak... – w oczach Reyny na chwilę zapala się jakiś psotny błysk. – to opowiedz mi o najgłupszej rzeczy, jaka spotkała cię w tym czasie.

– Jesteś pewna, że chcesz tego słuchać?

– Słuchałam już o nawigatorze, który odlał ci się do kufra. Chyba gorzej nie będzie.

– Nie, on nie zdążył się odlać. I teraz było znacznie gorzej.

Reyna posyła mi krzywy uśmiech.

– Teraz już się nie wykpisz. – oznajmia. – Opowiadaj.

– W porządku. – mówię. – W pewnym momencie musiałem na kilka dni wyjechać do sąsiedniego kraju. – celowo pomijam jego nazwę, bo fakt, że była to Noria, wzbudziłby niepotrzebne pytania. – Zabrałem ze sobą tylko trochę pieniędzy i ubrań na zmianę. Pierwszej nocy zatrzymałem się w zajeździe przy granicy. Zsiadłem już z konia, ale nie zdążyłem go uwiązać, gdy z środka wytoczyła się grupa pijanych indywiduów, krzyczących tak głośno, że aż spłoszyli mojego konia. Nie byłem w stanie nad nim zapanować, stanął dęba i uciekł w las. Ale to nie było najgorsze. Najgorsze było to, że przy okazji zaczepił moją torbę, którą wciąż miał przypiętą do siodła, o płót, a ta otworzyła się i, gdy biegł, wysypywały się z niej

moje rzeczy, z bielizną i sakiewką z pieniędzmi na czele. Musiałem szukać konia w lesie, ciemną nocą, zbierając przy okazji swoje fraki, a w dodatku przez pierwszy kilometr uparcie towarzyszyła mi śpiewająca banda pijaków, która zapewniała, że ochoczo mi pomoże, ale tylko jeszcze bardziej straszyla mojego konia.

– Śpiewali coś konkretnego? – interesuje się Reyna, nie mogąc powstrzymać szerokiego uśmiechu.

– Tak. W dodatku o mnie.

– Proszę, przytocz choćby fragment!

Z determinacją kręcę głową.

– Niech ci wystarczy, że cała ta piosenka mogłaby nosić tytuł: „O kapitanie, co pieniądze trzyma w majtach.”

Reyna śmieje się tak głośno, że zastanawiam się, czy nie pobudzi czasem tych członków załogi, którzy udali się na nocny spoczynek. W końcu nie mogę się powstrzymać i do niej dołączam. Choć podczas tamtych wydarzeń jedynym, co czułem, była wściekłość, to teraz, gdy patrzę na nie z perspektywy czasu, muszę przyznać, iż rzeczywiście były tak niepoważne, że aż śmieszne.

Choć wydaje mi się, że największą przepaść, jaka nas podzieliła, już pokonaliśmy, nie odnoszę wrażenia byśmy pozostałe dali radę przewyciężyć równie szybko, o ile w ogóle.

Stoimy tam razem, aż niebo z ciemnego granatu staje się bladoniebieskie. Ale, choć cały czas stykamy się ramionami, wcale nie czuję, jakby Reyna była bliżej mnie niż dotychczas.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 1
ponownie w kryjówce piratów*

Od tygodni nie jestem w stanie zmrużyć oka. Zdaje mi się, że jeśli zasnę, „Arachne” może stracić jedną z nielicznych szans na ocalenie.

Ale, czy ja się po prostu nie oszukuję? Co jeśli nie mogę zasnąć z przerażenia. Przecież i tak nie powstrzymam piratów, jeśli uwezmą się na nas i postanowią wziąć nasz okręt na cel.

Łatwiej jest utrzymywać, że jednak dam radę.

Przerażony kapitan Crepusculum nigdy nie stałby się legendą.

Kapitan Crepusculum, który powstrzymał piratów... tak, to dobry materiał na nową opowieść.

James Crepusculum

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

„ZMIERZCH”

Gdy wpływamy do zatoki U, która swą nieszczęsną nazwę zawdzięcza braku kreatywności ludzi Reyny, widzę, że na łodzi tak samo jak ostatnio, czeka na nas grupa osób z Danielem Moondrownerem na czele.

– Jak audyencja u księcia? – pyta, gdy dołączamy do niego na wyspie.

– Gorzej, niż można by się spodziewać. – rzuca wymijająco Reyna. – Ale jeszcze żyjemy.

– Więc chyba nie najgorzej. – zauważa, po czym nagle potrząsa głową, jakby dopiero dotarł do niego sens tego, co powiedziała. – Chciał was zabić?

– Udało nam się uciec. I go wykiwać. – oznajmia Reyna na odchodne i idzie w stronę obozowiska.

– Księcia? Jak? – pyta jeszcze kapitan, ale ona już go nie słyszy. Choć może raczej nie chce słyszeć.

– Powiedzieliśmy, że nie żyjesz. – odpowiada za nią Marica.

– Powiedzieliście, że... co? – Moondrowner wygląda na jeszcze bardziej zaskoczonego. Chcę mu pokrótce wyjaśnić całą sytuację, ale Reyna, która odeszła już na znaczną odległość, macha do mnie, bym do niej dołączył.

Ludzie mieszkający w obozowisku zerkają na mnie z zainteresowaniem, gdy idziemy razem. Ciekawe czy wiedzą, że jestem tym samym mężczyzną, który kilka tygodni temu chodził po tej wyspie w prostej kurtce i bez tego wyniosłego zadowolenia w oczach.

– Możesz zabrać swoje rzeczy do domku. – mówi Reyna, gdy idziemy do obozowiska. – Mam nadzieję, że tym razem zatrzymamy się tu na dłużej.

Odpocznij, jeśli chcesz. Jak zgłodniejesz tamci – wskazuje ręką na grupę ludzi przy ognisku. – powiedzą ci gdzie masz się zgłosić po jedzenie. Jeśli będziesz chciał, przyjdź później do mnie. Chcę ci coś pokazać.

Nim się rozchodzimy, pokazuje mi jeszcze, który z domków zajmuje. Udaję się tam późnym popołudniem.

Reyna pospiesznie zarzuca na siebie płaszcz i w milczeniu prowadzi dokładnie tym samym nabrzeżem, co ostatnim razem.

Chcę ją spytać, dokąd idziemy, ale to ona odzywa się jako pierwsza.

– Ta podróż do Kraterii – mówi powoli. – to był błąd. Nie powinniśmy byli w ogóle tam płynąć. Przepraszam, że cię w to wpakowałam.

– Ale ja o nic cię nie obwiniam. – zapewniam. Chyba już przeprowadzaliśmy tę rozmowę, ale zdaje się, że Reyna wciąż nie uspokoiła swojego sumienia.

– To było głupie i nierozsądne. Powinnam była się dobrze zastanowić, zanim podjęłam tę decyzję. Powinnam była to przemyśleć. Ale na pewno nie powinnam była nas w to wciągać. Wszyscy mogliśmy zginąć. Właściwie, to cud, że żyjemy. – wyrzuca z siebie nieprzerwany potok słów. – Popełniłam ogromny błąd.

– Reyno. – odzywam się cicho, ale ona wciąż stawia sobie zarzuty i chyba w ogóle mnie nie słyszy. – Reyno. – powtarzam nieco głośniejszym głosem, a ona w końcu milknie i spogląda na mnie pytająco. – Jesteś kapitanem nieco ponad rok. Właściwie, to dopiero co ukończyłaś akademię. Nie możesz oczekiwać od siebie, że wszystkie decyzje, jakie podejmujesz, będą słuszne. Nigdy tak nie będzie. Po prostu, gdy nabierzesz więcej doświadczenia, błędy będą przydarzać się rzadziej.

– Tylko, że ten błąd mogliśmy przypłacić życiem. – zauważa. – A wszyscy i tak ślepo za mną podążyli.

– Bo ci ufają. Osiągnęłaś coś niesamowitego. Przez cały ten czas prowadziłaś ich, ku lepszemu światu. Żadne z nich nie zakwestionowałyby twojego rozkazu, bo uważają, że masz słuszność, co do wszystkiego, nie ważne jak szalony plan próbujesz urzeczywistnić. Udało ci się przechytryć potwory. Wszyscy ci ludzie są przekonani, że możesz wszystko.

– Ale przynajmniej ty mogłeś mnie powstrzymać. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Bo nie widziałem cię przez pięć lat i nie mam pojęcia, do czego jesteś teraz zdolna. Nie mam pojęcia, czego możesz dokonać, a czemu nie jesteś w stanie podołać.

To, co Reyna robiła jako Arachne nie mieściło mi się z początku w głowie. Przez moment sam myślałem, że Reyna jest nieomylna, że jest kimś takim jak ja. Albo i nie, kimś lepszym, bo własne ograniczenia znałem aż za dobrze. Teraz wiem jednak, że, chociaż ukończyła akademię i ma pojęcie o żegludze, Reyna wciąż pozostaje Reyną. Człowiekiem, nie legendą. A ludzie popełniają błędy.

– Następnym razem, jeśli będziesz miał jakiegokolwiek zastrzeżenia, powiedz mi o tym. – prosi.

Kiwam głową.

– Nie narażę się tym na gniew kapitana? – pytam, a Reyna trzepie mnie w ramie.

– Nie każę ci szorować pokładu na kolanach. – zapewnia. – Cenię twoje rady. Znasz się na tym wszystkim znacznie lepiej ode mnie. Dlatego cieszę się, że zdecydowałeś się do nas dołączyć.

Choć mówi to z uśmiechem na twarzy, nie jestem w stanie usłyszeć radości w jej głosie. Może po prostu jest zmęczona.

Może tylko udaje.

Może to ja zaczynam mieć jakąś paranoję.

– Jesteśmy na miejscu. – oznajmia.

Z zaskoczeniem zauważam, że zatrzymujemy się koło „Zmierzchu”.

Właśnie otwieram usta, by zapytać, co ma na myśli, jednak nie zdążam odezwać się choćby słowem, bo mnie uprzedza.

– Jest twój. – wyrzuca z siebie na jednym wydechu Reyna.

Patrzę na nią oniemiały.

– Oddajesz mi ten okręt?

– Tak. Możesz skompletować sobie załogę z moich ludzi, która będzie pływać pod twoimi rozkazami. Wybierz sobie, kogo chcesz. Oczywiście, oprócz tych z „Arachne”.

– Chcesz, bym został kapitanem jednego z twoich statków? – dopytuję, zaskoczony tą propozycją.

– Potrzebujesz tego. – Reyna uśmiecha się blado, choć może to tylko gra świateł. – Musisz być na szczycie, wiedzieć, że cała reszta jest pod twoimi rozkazami, bo inaczej stajesz się wrakiem kapitana Crepusculum.

Śmieję się pod nosem, ale nawet w moich własnych uszach brzmi to niewyraźnie.

Nie mógłbym śnić o niczym wspanialszym, od tego, co właśnie mi ofiarowuje, ale nie potrafię jednocześnie nie odczuwać żalu, że nie będę już blisko Reyny.

Ale, może to i dobrze.

Może nauczę się w końcu tego nowego życia, w którym znów jestem kapitanem, a nie Jamesem marzącym o Reynie.

I tak nigdy nie przepadałem za byciem tylko Jamesem. Czułem się słaby. Wybrakowany. Niekompletny. Kapitan Crepusculum zapełnił tę pustkę, a ja nigdy już nie czułem się sobą, jeżeli nie byłem nim chociażby po części. Rozumiem, dlaczego Reyna nigdy nie rezygnuje całkowicie z kapitan Arachne, nawet wówczas, gdy otacza ją jedynie zaufana załoga.

Jesteśmy identyczni.

I to właśnie dlatego musiałem ją stracić, a teraz muszę nauczyć się z tym żyć.

– To jak? – pyta Reyna. – Zgadzasz się?

Patrzę na dziewczynę, którą poznałem na jednym ze swoich okrętów, dziewczynę, która miała nie dożyć końca tamtego rejsu, jednak przewrotny los miał dla niej inne plany. Dziewczynę, która, choć widziała we mnie złoczyńcę, ocaliła mi życie i to nie raz. Dziewczynę, którą pokochałem lata temu na tropikalnej wyspie. Dziewczynę, która zamieniła się w kobietę walczącą z potworami i która nie kochała mnie, ani nie potrzebowała.

– Tak. – mówię, uświadamiając sobie, że, im dalej od niej będę, tym szybciej zagoją się rany, które sam sobie zadałem. Zresztą... przecież znów będę mógł być kapitanem. I to wolnym, nie podległym królowi, tylko Reynie, która chwilę temu

jasno dała mi do zrozumienia, że traktuje mnie jak równego sobie, nie podwładnego, choć tutaj to ona jest przywódczynią.

Reyna kiwa głową, ale nie jestem w stanie stwierdzić, czy cieszy się z podjętej przeze mnie decyzji, czy też nie.

– Jeśli chcesz go obejrzeć, nie krepuj się. – mówi, wskazując na statek.

– Zależy, czy mnie oprowadzisz. – oznajmiam.

W odpowiedzi uśmiecha się pod nosem i prowadzi mnie w stronę statku, ale gdy tylko się odwracamy, zauważam, że Jackin idzie w naszym kierunku z przejętą miną.

Jeśli za każdym razem, gdy podczas zwiedzania wyspy zatrzymamy się przy tym statku, ktoś przypędzi do nas z jakąś przejmującą wiadomością, chyba nigdy nie będzie nam dane zwiedzić jej w całości wspólnie, o samym „Zmierzchu” nie wspominając.

– Daniel znalazł coś przez przypadek w jednej z jaskiń. – oznajmia nawigator, gdy tylko do nas dołącza. – Chodźcie, musicie to zobaczyć.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 1
w kryjówce piratów*

Widziałem całkiem spory kawałek tego świata, ale on wciąż nie przestaje mnie zaskakiwać, pokazując zarówno nowe cuda, jak i okrucieństwa, w słusznych proporcjach.

Sprawiedliwość, jak zawsze.

Mało cudów.

Dużo okrucieństwa.

James Crepusculum

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

JASKINIA

Przed wejściem do jednej z jaskiń czeka na nas Daniel Moondrowner, trzymając w rękach niezapaloną pochodnię.

– Przypadek przypadkiem – odzywa się Reyna. – ale... czego ty właściwie szukałeś w tych jaskiniach?

– Niczego konkretnego. – stwierdza Moondrowner. – Po prostu tak sobie chodziłem i nagle to znalazłem.

– Po prostu. Tak sobie chodziłeś. Po jaskiniach? – nie dowierza Reyna.

– A mam tu wiele więcej do roboty? – kapitan marszczy brwi.

– Właściwie, to obejmujesz dowodzenie nad wszystkim i wszystkimi w kryjówce. – zauważa Reyna. – Szczególnie pod moją nieobecność...

– Wszyscy radzą sobie doskonale. – przerywa jej Daniel. – Chodźcie, musicie to zobaczyć.

– Ale co takiego? – Reyna marszczy brwi, gdy tamten zapala po kolei dwie pochodnie i jedną z nich wręcza mnie.

– Zobaczysz. – mówi, uśmiechając się pod nosem i wchodzi do jaskini. Zaraz za nim podąża Jackin, potem Reyna i ja.

Choć z początku nie dostrzegam w tej jaskini niczego nadzwyczajnego, to po jakimś czasie na ścianach zaczynają pojawiać się napisy, a, im głębiej się zapuszczamy, tym jest ich więcej. Pojawiają się też malowidła.

Reyna idzie dalej wгłęb jaskini, przyglądając się kolejnym wymalowanym na ścianach obrazom, pozostawiając mnie w tyle, próbującego odczytać stare napisy. Po chwili jednak wraca i ciągnie mnie za rękę, wskazując rysunek nieco dalej.

Przedstawia on kobietę o srebrnych włosach, rozsypanych wokół głowy jak aureola, odzianą w delikatną suknię utkaną z gwiazd.

To Libra.

Reyna wskazuje napis pod malunkiem. Wiem już, dlaczego przykuł jej uwagę, choć z pewnością nie rozumiała tego języka. Jedno spośród słów było jej nazbyt dobrze znane.

„Crepusculum”.

– „Gdy zapada zmrok, budzi się sprawiedliwość.” – tłumaczę. – To po starourtańsku.

Idziemy dalej, a pojedyncze obrazy zamieniają się w ciąg postaci. Każda z nich oznaczona jest opisem.

– „Aries, bóg ognia”. – tłumaczę napis pod mężczyzną o baranich rogach. – „Taurus, bóg natury”. To wielka dwunastka.

– Może to jakieś dawne miejsce kultu?

– Może.

Przechodzimy dalej, choć wzrok Reyny na chwilę zatrzymuje się na Aquariusie o granatowych włosach i szacie z morskiej piany. Może to tylko gra światła, ale mam wrażenie, że przez chwilę w jej oczach błyska strach.

Dalej namalowano wielkie koło.

– „Cykl dwunastu, cykl świata” – odczytuję. – Mógłbym spróbować przetłumaczyć to wszystko, ale zajęłoby mi to pewnie kilka dni... jeśli nie kilkanaście. Nie rozumiem wszystkich słów, znam współczesną wersję urtańskiego. Ta jest tak stara, że znaczna jej część dawno już wyszła z użytku. Kojarzę niektóre archaizmy, ale to dość niewiele. W tłumaczeniu pozostawałoby sporo luk.

– Może zatem zostanie pan w obozie i pobawi się w tłumacza? – proponuje Moondrowner, który właśnie zawrócił, by do nas dołączyć. – Przeszliśmy już drugi raz tyle, a wy stoicie przy tym kółku?

Marszczę brwi, przesuwając po nim palcem. Koło jest podzielone na dwanaście części - pewnie po jednej dla każdego bóstwa - ale na górze dwie z nich rozdzielono płomieniami.

– Nie wiem, co to znaczy – mówię, wskazując napis na pierwszym fragmencie, po czym przesuwam palec w drugą stronę. – To chyba „ogień” albo „pożar”, albo może „płomienie”. – przesuwam wzrokiem niżej, szukając czegoś, co zrozumiem. – „zaraza”... „wojna” – docieram z powrotem na początek koła, na fragment zaraz po tym pierwszym, przedzielonym ogniem. – „Potwory”.

Reyna patrzy to na mnie, to na okrąg.

– Aquarius. – mówi, wskazując kilka drobnych literek, zapisanych obok koła.

– „Stulecie Aquariususa”. – precyzuję, zerkając na napis. – Przydałby się ktoś, kto dałby radę to przetłumaczyć w całości.

– Na pewno? – pyta Daniel, unosząc jasne brwi. – Może to tylko bazgroły jakichś ludzi, którzy mieszkali tu dawno temu. Niekoniecznie coś istotnego.

– Może i nie, ale... – nie kończę, bo mój wzrok przykuwa napis nad kołem. Nad płomieniami. „Jak zaczął się w ogniu, tak i w ogniu się skończy”.

– Wydaje mi się, że nawet jeśli to nic istotnego – wtrąca Jackin. – to może mieć jakąś wartość kulturową. Albo chociażby artystyczną.

– Moglibyśmy sprowadzić do kryjówki uczonego, najlepiej historyka, który zna starourtański. Nie sądzę, abyśmy natrafili na jakiegoś na którymś ze statków napadniętych na morzu. – stwierdza sceptycznie Moondrowner. – Ale powiedzcie mi, czy jakikolwiek uczoney zabrałby się z załogą straszliwego pirackiego okrętu do miejsca, o którym nie wolno mu byłoby pisać choćby słowem, bo się tu ukrywamy?

– To musiałyby być ktoś, komu możemy ufać. Nie sprowadzimy pierwszego lepszego historyka do głównej bazy Arachne. – mówi Jackin.

– Ja nikogo takiego nie znam. – zauważa Moondrowner. – A pan, kapitanie Crepusculum?

Kręcę głową, ale wtedy odzywa się Reyna.

– Ja chyba znam. – oznajmia.

– Ustaliliśmy już, że kapitan Crepusculum da radę to przetłumaczyć, ale w tekście będą luki. Dużo luk. – zauważa Daniel. – I nie jest nawet historykiem.

Może artystą, ale jeśli tak, to najwyraźniej kiepskim, skoro nic mi o tym nie wiadomo.

Unoszę brew, ale Reyna kreci głową.

– Nie on. Znam jednego historyka, który może dałby radę to zbadać i przetłumaczyć.

– Możemy mu zaufać? – pytam nieco sceptycznie. Jeszcze pięć lat temu Reyna twierdziła, że krąg jej bliskich znajomych liczy dokładnie zero osób. Zdaje się, że coś zdążyło się zmienić pod tym względem podczas mojej nieobecności.

Reyna zastanawia się chwilę.

– Tak. – oznajmia w końcu pewnie. – Tyle, że mieszka w Majarze.

– Możesz go sprowadzić przy następnym rejsie „Arachne”. – zauważa Jackin.

– Albo i później. – dodaje Daniel. – Te rysunki były tu już dziesiątki lat i raczej nigdzie sobie nie pójda. Mogą poczekać jeszcze trochę, nim ktoś się nimi zaopiekuje. Najlepiej, jak już zabierzemy z tej wyspy nasze rzeczy.

– Właściwie to i tak nie mam nic do roboty. – zauważa Reyna, patrząc wymownie w stronę Moondrownera, który dokładnie tak określił swoje obowiązki w obozie. – Mogę wypłynąć nawet jutro.

– Reyno, słyszałaś może, jak dokładnie chwilę temu mówiłem, że moglibyśmy z tym zaczekać tak jeszcze... – zaczyna Moondrowner, ale w tym samym momencie odzywa się Jackin.

– Jutro? – nawigator unosi brwi. – Myślałem, że chcesz tu chwilę odpocząć.

– Nie lubię siedzieć beczynnie na lądzie, kiedy możemy działać. – oznajmia Reyna. – Poszukam Aniki i Joy'a i każę im przygotować statek i załogę.

Jackin wydaje się być pogodzony z tym faktem i nie widzi żadnych przeszkód, by znów wypływać w morze. Moondrowner także nie protestuje, choć stawia warunek, że tym razem zostawią mu Marikę. Ja mam pewne zastrzeżenia, nie dzielę się nimi jednak z Reyną, choć prosiła mnie, bym robił to za każdym razem. To dlatego, że mają one naturę prywatną. Nie mogę powiedzieć jej, by nie płynęła, bo w chwili, kiedy „Arachne” zniknie za horyzontem, będzie to koniec kolejnego

rozdziału tej historii. W chwili, gdy odpłynię, ja sam zbiorę załogę i wyruszę „Zmierchem” na północ, oszukując potwory i nękając przepływające okręty.

To będzie koniec mnie i Reyny.

Nie jestem na to gotów i chyba nigdy nie będę.

Po wyjściu z jaskini, ja i Moondrowner zostajemy nieco w tyle, by zgasić pochodnie. Gdy spoglądam za Reyną, okazuje się, że jest już daleko przed nami. Doganiam ją, by spytać o konkrety, co do moich obowiązków jako jednego z jej kapitanów, ale gdy otwieram usta, wypływają z nich zupełnie inne słowa, niż zamierzałem wypowiedzieć.

– Pozwól, że popłynę z wami. Jeszcze ten jeden raz.

Reyna wygląda na zaskoczoną moją prośbą.

– W porządku. – mówi, ale nie jestem w stanie stwierdzić, czy jest z tego powodu zadowolona, czy zirytowana.

– Wiesz, że Moondrowner ma rację, prawda? – pytam jeszcze. – Sprowadzanie tu kogokolwiek może być niebezpieczne. Te malowidła mogą poczekać, pewnie to nie jest nawet nic istotnego...

– Tu nie chodzi o malowidła, James. – przerywa mi. – Tylko o Majar.

– Majar?

– Nie było mnie tam, odkąd ponad rok temu zebrałam załogę i stałam się Arachne. Przepływałam Bestialskie Morze tam i z powrotem, ale nigdy nie wróciłam do domu. Cały czas powtarzam sobie, że jestem potrzebna na „Arachne” albo tutaj, w obozie, a na pewno nie mogę pływać sobie do Port-Majar kiedy mi się podoba. Wiem, że każdy z moich ludzi powiedziałby, że mogę na chwilę wrócić do domu, jeśli tylko zechcę, ale mnie wciąż będzie dręczyć, że oni wszyscy wyrzekli się podobnej możliwości, a ja zwyczajnie wykorzystuję fakt, iż jestem tu przywódczynią. Podoba mi się możliwość powrotu pod jakimkolwiek, choćby najgłępszym pretekstem. Odnalezienie tłumacza wydaje się być w porządku. Trochę uspokaja moje sumienie. Sprawia, że wierzę, iż nie robię tego tylko dla siebie, a powrót do domu jest tylko dodatkową korzyścią.

Nawet nie przerywam jej wywodu, świadom, że i tak nie skupi się na tym, co chciałbym powiedzieć.

Ma rację, najpewniej nikt by nie protestował, gdyby powiedziała, że tęskni za domem i chciałaby tam na chwilę zajrzeć. Ale jeśli ma się z tym źle czuć, może lepiej, by ta wyprawa rzeczywiście miała jakiś dodatkowy cel.

Wiem już, że nie ważne, jak bardzo chciałem płynąć tam z nią, to nie była najrozsądniejsza z moich decyzji. Zamiast spokoju, którego mi trzeba, zapewni mi kolejne porcje cierpienia.

A ostatnio ranię samego siebie nad wyraz często i dotkliwie.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 5
w drodze do Majaru*

*W mroku pozbawionym gwiazd jest coś niepokojącego i nienaturalnego.
Atramentowa czerń i ani skrawka światła.
Nawet potwory potrzebują gwiazd.*

James Crepusculum

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ATRAMENTOWY MROK

Jest gorzej, niż mógłbym się spodziewać.

Od pięciu dni na morzu kapitan Arachne niemal nie raczy się do mnie odezwać, nie wiem jednak czy ma po prostu zły humor, czy czuje się urażona faktem, że chciałem wyruszyć z nimi do Majaru. Gdy już się pojawia, i tak wygląda na nieobecną. Zaczyna mnie zastanawiać, czy nie jest taka przez wzgląd na to, że po ponad roku wróci do domu.

Nie wiem, jaka siła nakłoniła mnie, bym z nimi płynął. Powinienem był już dowodzić „Zmierchem”, powoli sklejjąc złamane serce. Ale jestem tutaj. A ono łamie się coraz bardziej.

Nęka mnie okrętowa kucharka.

Jestem dla niej oschły i nieprzyjemny, nawet wówczas, gdy przynosi mi ciastka.

– Czy my naprawdę mamy aż tyle zasobów, żeby tak beztrwosko je trwonić? – pytam kucharkę.

– Mogę chyba raz na jakiś czas upiec ciastka. – stwierdza. – Szczególnie, że mamy co świętować.

– Doprawdy, mamy? – unoszę brew.

– Przecież zostaje pan z nami. – zauważa. – Nie wyruszył pan własnym okrętem, chociaż kapitan to panu proponowała.

– To już ostatni raz. – uprzedzam.

– Nie chce pan już być naszym kwatermistrzem?

– Nie. – oznajmiam sucho. – Chcę być kapitanem.

Wiem, że nie jestem w stanie w żaden sposób skrzywdzić Reyny, ale co do innych nie mam żadnych skrupułów. Wyzywam się zatem na nich, a oni choć niczemu nie winni, obrywają za swoją kapitan, która nieświadomie złamała mi serce.

Nim powiem o jedno słowo za dużo, dołącza do nas Christiana, odciągając mnie na bok.

– Może pan pomóc Reynie? – pyta medyczka.

– Jak miałbym jej pomóc? – pytam bez zbytniego entuzjazmu.

– Ona... odkąd opuściliśmy kryjówkę, jest jakaś inna. – zauważa Christiana. A zatem nie tylko ja to spostrzegłem. – Ale nie jest chora. To coś siedzi w niej i powoli zżera ją od środka.

– Jak niby miałbym jej pomóc? – pytam ponownie, trochę zbyt ironicznie, bo dziewczyna mimowolnie nieco się krzywi.

– Zdaje się, że Reyna ufa panu znacznie bardziej, niż większości załogi. – mówi medyczka. – Może się przed panem otworzy. Powie, co ją gnębi.

– Nie sądzę, aby to zrobiła. – stwierdzam. – Prędzej powiedziałaaby to Joy’owi. Może Heardowi. Ale nie mnie.

Jedyne, co wiem o stanie Reyny, to to, co powiedziała mi jeszcze w kryjówce: że od czasu, gdy wpłynęliśmy na terytoria piratów źle sypia, właściwie to niemal w ogóle, a gdy już zaśnie, to sen ma płytki i niespokojny. Pamiętam, że i ja miałem problemy ze snem, gdy przepływaliśmy przez łowiska, ale dawno już przeszły. Może, jeśli Reyna nadal się boi, to właśnie jest przyczyną jej rozdrażnienia. Nie sądzę, aby miała związek z powrotem do domu po tak długiej nieobecności - z tego powodu byłaby raczej nadmiernie podekscytowana. Nie zamierzam jednak z nią o tym rozmawiać. Chcę w końcu przekonać samego siebie, że nie bawi mnie zadawanie sobie krzywdy.

– Joy już próbował z nią rozmawiać... – mówi Christiana, a ja chyba mam zwidy, bo dostrzegam kątem oka, jak coś wylatuje zza prawej burty, przelatuje nad statkiem i spada znów do morza po przeciwnej stronie.

Mrugam parokrotnie wiedząc, że to nie ja powinienem mieć zwidy z niewyspania.

Ale to nie zwidy. Tym razem coś przelatuje tuż obok nas.

– Co to, do diabłów... – zaczynam, ale zagłusza mnie czyjś krzyk.

– Latające kałamarnice!

Nad „Arachne” przeskakuje ich coraz więcej. Pochyłam się, a Christiana idzie za moim przykładem. Prowadzę ją, byle dalej od burty, próbując jakoś osłonić.

– Jeśli jeszcze raz usłyszę „latające kałamarnice”, to ten kto to powie, spędzi resztę rejsu przytwierdzony do masztu. – zaskoczony słyszę głos Reyny, która idzie przez pokład. Nie mam pojęcia, kiedy się na nim pojawiła. – Kałamarnice. Nie. Latają.

– To co niby robią? – prycha Randel, a ja kieruję się w jego stronę, prowadząc ze sobą uzdrowicielkę.

– Skaczą. – stwierdza Heard, zerkając niepewnie za burtę. – Ale „skaczące kałamarnice” nie brzmią już tak dobrze jak „latające”.

Gdy udaje mi się przedrzeć do Randela przez tłum spanikowanych marynarzy, chcących uniknąć zderzenia z kałamarnicami, przekazuje w jego ręce Christianę, na co reaguje on zaskoczeniem, jednak już po chwili przybiera całkowicie wniebowzięty wyraz twarzy.

Odwracam się w stronę Reyny.

– Nie powinniśmy byli ich wyminąć? – pytam.

– Nie powinno ich być na naszej trasie. – oznajmia kapitan, pochylając się, by nie oberwać kałamarnicą. – Musimy stąd odpłynąć najszybciej, jak się da.

Gdy to mówi, jedna z kałamarnic ląduje na pokładzie i zaczyna szalenie się rzucać.

Oczy Reyny otwierają się szeroko w wyrazie przerażenia, choć nie pojmuję dlaczego. Dobiega do podskakującego stworzenia i wyrzuca je prędko za burtę.

– Gdy się boją, wypuszczają atrament, który rozpyła się w powietrzu. – tłumaczy Reyna, widząc moje pytające spojrzenie. – A gdy lądują na statku, boją się potwornie. Im ich więcej, tym gęściej od atramentu, aż w końcu nie widać

zupełnie nic. Dlatego, gdy statki płynęły zbyt blisko ich siedliska, rozbijały się o skały u wybrzeży Wyspy Odrobiny Nadziei.

Z każdą chwilą stworzeń jest coraz więcej. Wszyscy stoimy pochyleni, nie chcąc oberwać którąś w głowę. Kilka wpada na pokład.

– Wyrzućcie je za burtę! – krzyczy Reyna. – Szybko!

Ale, choć staramy się jak tylko możemy, kałamarnic jest coraz więcej i nie nadążamy z przerzucaniem ich na powrót do morza. Kilka zaczyna wypuszczać atrament. Reyna przygląda się temu z twarzą wykrzywioną grymasem frustracji.

Parę minut później stoimy w ciemnościach gęstszych niż noc. Choć nic nie widzę, słyszę na przemian plusk kałamarnic uderzających w taflę wody, trzaski, gdy jakaś uderza o statek i krzyki Reyny, która nakazuje trzymać kurs za wszelką cenę.

Staram się nie przemieszczać, aby nie wpaść na coś przypadkiem, ale chyba stoję na szlaku wybitnie lubianym przez kałamarnice, zaczynam więc bardzo powoli ruszać do przodu. Niespodziewanie moja ręka natrafia na czyjś łokieć w grubym, sztywnym płaszczu.

– James? – słyszę głos Reyny tuż obok siebie.

Kiwam głową, ale w porę przypominam sobie, że ona także nic nie widzi.

– To ja. – potwierdzam.

Reyna łapie mnie mocno za rękę.

– Nie powinno ich tu być. – mówi cicho. – Nasza trasa omija je szerokim łukiem. Coś jest nie tak.

– Cóż, nic już na to nie poradzimy. Musimy się tylko wydostać z ich nowego terytorium.

– To będzie cud, jeżeli nam się uda. Od północy mamy skaliste brzegi Odrobiny Nadziei, a od południa Syrenie Skały... jeśli nie same syreny. Może i nie mam sternika lepszego niż Heard ani na statku, ani nawet na całej Draquarii, ale teraz zupełnie nic nie widzi. On i Jackin są zdani tylko na własną intuicję.

Chciałbym móc jej powiedzieć, że przecież dadzą radę, ale sam nie jestem tego pewien, a nie przywykłem dawać innym fałszywej nadziei.

Gdzieś obok nas z głośnym łupnięciem ląduje kałamarnica. Nawet jeśli wypuszcza atrament - a robi to na pewno - to i tak mrok wokół nie może już stać się gęstszy.

Reyna przysuwa się do mnie i łapie mocno za rękę gdzieś na wysokości łokci, by ponownie nie zgubić się w mroku.

Ktoś szarpie mnie za płaszcz na plecach.

– Panie Crepusculum? – słyszę znajomy głos.

– To ja, Joy. – mówię. – I Reyna.

Wyswobadzam jedną rękę z uścisku Reyny i wyciągam ją do chłopca, który staje razem z nami, obejmując i mnie i Reynę.

Przez chwilę mogę zapomnieć, gdzie jesteśmy i dlaczego.

Przez chwilę mogę wierzyć, że jesteśmy znów razem na Dali i wszystko jest tak jak dawniej.

Oszukuję się w ten sposób, aż mrok zamienia się w światło.

Gdy nasza trójka podnosi się z desek pokładu i odsuwa od siebie nawzajem, otaczają nas dziesiątki martwych kałamarnic.

My jednak żyjemy.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 6
w drodze do Majaru*

Nigdy nie zadzieraj z potworem, któremu złamano serce.

James Crepusculum

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

SZMARAGDOWE FALE

Zdaje się, że nikt nie ucierpiał fizycznie podczas ataku kałamarnic.

Jackin i Heard jakimś cudem wyprowadzili okręt na spokojne wody. Nikt nie wypadł za burtę, czego obawiała się Reyna. Nikt także nie został poszkodowany w żaden inny sposób.

Psychicznie ucierpiała na pewno Reyna.

Nie wiem, czy to z powodu kałamarnic, czy tego dziwnego stanu, w którym się znajduje od niemal tygodnia, ale obrała sobie za cel rozgryzienie tego, dlaczego znalazły się na naszej trasie i jeśli nie siedzi w swojej kajucie, to chodzi po pokładzie w kółko z nieobecną miną, zupełnie bez celu, a zapytana o cokolwiek jest jeszcze bardziej opryskliwa niż dotychczas.

Chyba przebija już pod tym względem nawet mnie.

Zdecydowanie atak kałamarnic uświadomił mi jedno: że nie jestem w stanie dłużej tego ciągnąć.

Postanowiłem wrócić do Majaru i już tam zostać, bo przebywanie w towarzystwie Arachne przysparza mi jedynie więcej bólu. Nawet jeśli znaczyło to będzie oddanie „Zmierzchu” nie wpływając na nim ani razu. Tak będzie lepiej.

Wszystko to: dziwaczne humory Reyny, fakt, że choć mija tyle czasu, wciąż nie mam pojęcia na czym stoję i po prostu to, że wszystkie moje plany posypały się już na samym początku sprawia, że moje nerwy są nieco zszargane. Idąc do kapitańskiej kajuty wmawiam sobie, że jeśli będziemy skłóceni, pozostawienie jej będzie dla mnie łatwiejsze. A przez wzgląd na to, iż - podobno przez atak

kałamarnic - Reyna jest dziś w wyjątkowo podłym nastroju, przeczuwam, że kłótnia będzie nieunikniona.

Gdy wchodzę do jej kajuty, zastaję kapitan przy biurku, opierającą głowę na ręce i wpatrującą się zawzięcie w rozłożoną na nim mapę. Jej płaszcz jest byle jak przewieszony przez oparcie krzesła. Rękawy czerwonej koszuli podwinięte aż do łokci. Twarz zasłaniają jej włosy, tym razem rozpuszczone, widzę jednak głębokie cienie, malujące się pod jej oczami - efekt wielu nieprzespanych nocy.

– O co chodzi? – pyta, tylko na chwilę zerkając w stronę drzwi, by zobaczyć, kto przyszedł.

– Chciałem cię tylko powiadomić – zaczynam, ostrożnie dobierając słowa. – że nie podejmę się dowództwa nad „Zmierzchem”. Gdy dopłyniemy do Majaru, zamierzam tam zostać.

Czekam na zaskoczenie. Chwilę ciszy, gdy będzie analizować moje słowa, powoli pojmując ich znaczenie. Czekam, a wręcz liczę na jakikolwiek krzyk protestu.

– W porządku. – mówi, tym razem nawet nie zaszczycając mnie spojrzeniem. – Jeśli to tyle, to możesz już iść.

– Nie masz do powiedzenia nic więcej, kapitan Arachne? – choć tego nie planowałem, mój głos brzmi wyjątkowo zjadliwie.

– Słucham? – Reyna podnosi na mnie zaskoczone spojrzenie.

– Przecież uwielbiasz brzmienie tego imienia, czyż nie? – pytam szyderczo, ale zdaje się, że już nad sobą nie panuję. Trzymałem to w sobie za długo. Potwór chce wyjść na światło dzienne. – Uwielbiasz świadomość, że tylko ty masz nad tym wszystkim kontrolę. Uwielbiasz napawać się władzą, jaką daje ci ten tytuł.

Gdy tu szedłem, byłem pewien, że jeśli któreś z nas będzie krzyczeć, to będzie to Reyna. Mało tego, łudziłem się nawet, że może będzie mnie błagać, bym został. Ale ta jej chłodna obojętność sprawia, że po tych wszystkich tygodniach spędzonych na próbie jej zrozumienia, próbie pogodzenia się z tym, że Arachne jest częścią Reyny, w końcu coś we mnie pęka.

Uświadamiam sobie, że nie odzyskam Reyny, bo jej już nie ma. Teraz jest tylko Arachne. I nawet gdy nie pochłania jej całej, pozostaje częścią Reyny na zawsze.

– Przestań. – przerywa mi Reyna ostrym głosem. Widzę, że ją zraniłem. Myślałem, że tylko bardziej ją rozwścieczę, ale sprawiłem, że coś w niej zaczęło rozpadać się na kawałki.

– To ty przestań mnie traktować, jakby nigdy nic nas nie łączyło. Jakby Dala nigdy nie miała miejsca, jakbym był tylko jednym z marynarzy z porwanych przez ciebie okrętów. Przestań traktować mnie, jakby nigdy ci na mnie nie zależało!

– Jakbym tylko ja to robiła! – Reyna wstaje gwałtownie. – Jakbyś ty nie robił dokładnie tego samego! Zachowujesz się, jakbyś w ogóle mnie nie znał.

– Odnoszę wrażenie, że dokładnie tak jest. – stwierdzam. – Szukałem cię! Przepłynąłem to przekłete morze dwa razy i zrobiłbym to raz jeszcze, żeby cię znaleźć. Byłem gotów na spotkanie z piratami, żeby cię odzyskać, ale, nie zgadniesz, co się okazało! Że to ty jesteś ich przywódcą!

Reyna wygląda, jakby nie mogła oddychać. Iskry gniewu znikają z jej oczu. Patrzy na mnie oniemiała, dokładnie tak, jak ja patrzyłem na nią przez ostatnie kilka tygodni: jakby mnie nie rozpoznawała. Obchodzi powoli biurko i opiera się o nie od przeciwnej strony.

– To mnie szukałeś? – pyta. Jej głos jest bardzo cichy. – Gdy napadliśmy „Wicher Wolności”... szukałeś mnie?

– Wróciłem do Majaru – mówię powoli, zaskoczony zmianą jej tonu. – i chciałem się z tobą zobaczyć, ale powiedziano mi, że w ogóle nie ma cię w kraju. To takie dziwne, że chciałem cię odnaleźć?

– Nie, tylko... – zaczyna zmieszana. – Gdy dopadliśmy „Wicher Wolności”, Anika powiedziała mi, że jest na nim marynarz, który żąda rozmowy ze mną. Ponoć zakłada, że uprowadziliśmy jego ukochaną. Zobaczyłam ciebie na pokładzie i kazałam cię uwolnić, potem poszłam po Anikę, by wskazała mi, kto z załogi tak zawzięcie chce ze mną mówić, a ona oznajmiła, że to ty. Sam mi to potwierdziłeś,

gdy cię zapytałam, powiedziałaś, że owszem, szukałeś kogoś. Ale skoro szukałeś ukochanej, to dlaczego teraz próbujesz mi wmówić, że szukałeś mnie?

Wpatruję się w Reynę spojrzeniem, z którego zupełnie już wyparował gniew. Czyżby... czyżby cały ten dystans wobec mojej osoby wynikał z zazdrości?

– Kogo szukałeś tak naprawdę? – docieka. – Ukochanej czy mnie?

– A co, jeśli obie odpowiedzi są prawdziwe? – pytam.

Reyna nie odpowiada. Nie wiem, czy to gra światła rzucanego przez oliwną lampkę na jej biurku, czy mam zwidy, ale odnoszę wrażenie, że w jej oczach szklą się łzy.

Naprawdę zraniłem ją tak bardzo? Wydawało mi się, że kapitan Arachne będzie niewzruszona. Albo, że będzie na mnie wściekła. Że będzie na mnie krzyczeć.

Ale to nie kapitan Arachne mam przed sobą, tylko dziewczynę, która, choć bała się potworów, stawiała z nimi do walki i zawsze wygrywała. A teraz, zdaje się, stoi przed najgorszym z nich wszystkich i nie wie, czy i z tego starcia wyjdzie cało.

To chyba nie zwidy. Teraz mam już pewność, że Reyna jest na granicy łez i właśnie dlatego się nie odzywa: bo boi się, że popłyną wraz ze słowami.

– Pytałem o ciebie. – ciągnę swoją opowieść – Dowiedziałem się, że zaginęłaś na morzu jakiś rok temu. A jeszcze potem usłyszałem o „Arachne” i skojarzyłem fakty. Początki jej działalności pokrywały się z twoim wypłynięciem na Bestialskie Morze, więc założyłem, że cię dopadła. Wyruszyłem cię szukać.

– Ja też chciałam się z tobą zobaczyć, gdy już wrócisz. – mówi Reyna cicho. – Mówiłam, że mam szpiegów w Majarze i Kraterii. Niedługo przed twoim planowanym przybyciem do Port-Majar zabrałam „Arachne” w jego okolice. Czekaliśmy miesiąc na granicy bezpiecznej strefy, ale mój szpieg zapewniał, że puki co nie wróciłeś. Przyznam, że nieco mnie to przygnębiło, ale nie widziałam sensu, by dłużej tam czekać i wróciłam na pełne morze.

– Miałem niewielkie opóźnienie. – przyznaję spokojnie. – Przyplłynęliśmy dwa tygodnie później, niż było to planowane. Ale skoro czekaliście miesiąc, twój szpieg powinien był dać ci znać o moim powrocie.

– Zapewniał, że nie wróciłeś. – utrzymuje Reyna.

Nie potrafię nie zastanawiać się, jak mogłyby potoczyć się wydarzenia, gdyby przybyła wtedy do Majaru. Co by mi opowiedziała i, czy w ogóle powiedziała by mi prawdę.

– Myślałem, że po tym wszystkim będziesz na mnie czekać. Właściwie obiecałeś mi to. – ciągnę, wściekając się tym razem na samego siebie za gorycz w moim głosie. – Ale ciebie nie było.

– Chciałam zostać jeszcze ten jeden rok, ale byłam świadoma, że wszystko zaprzepaszczę. Gdybym nie wypłynęła po zakończeniu akademii, moja załoga rozsypałaby się po obcych okrętach i pewnie nie byłabym już w stanie jej pozbiierać z powrotem. Mogłam albo na ciebie czekać, albo wypłynąć i coś zdziałać. Liczyłam na to, że i tak uda nam się zobaczyć po twoim powrocie. Czekałam na ciebie na morzu. Nie możesz mnie winić za cudzy błąd. Zresztą, nie ty jeden byłeś w szoku, gdy zobaczyłeś mnie tamtego dnia na pokładzie „Arachne”. Wiesz, jak bardzo się zdziwiłam, gdy okazało się, że należysz do załogi zaatakowanego przez nas statku? Że jednak wróciłeś? Uwierzyłam, iż jakaś siła jednak pokierowała nami tak, by udało nam się odnaleźć, ale ty zachowywałeś się, jakbym była kimś obcym. Jakbym nie była tą samą osobą, z którą ślęczałeś na wyspie przez niemal miesiąc. Tą samą którą... – przerywa na chwilę i nagle zmienia wątek. – Miałam nadzieję, że zrozumiesz, że przyłączysz się do nas, ale ty, choć to zrobiłeś, nadal traktujesz mnie, jakbym była dla ciebie nikim więcej, jak przywódcą piratów. Myślałam, że wtedy... po Dali i po tym wszystkim, myślałam, że coś nas połączyło.

Teraz łyzy naprawdę ciekną jej po policzkach.

– I nie myliłaś się. – przerywam jej niekończący się monolog. – Chcesz wiedzieć, skąd wynikało moje opóźnienie?

Reyna kiwa głową, choć jej zaciekawienie jest udawane i nie jest w stanie tego ukryć.

– Byłem w Norii. – wyjaśniam.

– To rozumiałe, że chciałeś się dowiedzieć, co z twoją rodziną, skoro i tak byłeś w okolicy. – mówi, choć bez większego entuzjazmu.

– Ależ skąd. Mam gdzieś moją rodzinę. – zapewniam.

Sięgam do kieszeni, jak to wielokrotnie robiłem w ostatnim czasie, tym razem jednak wyciągam jej zawartość.

Szmaragdy na mojej ręce mienią się w blasku oliwnej lampy.

– Nie ma na świecie lepszych jubilerów, niż ci z Norii. – wyjaśniam. – Moje opóźnienie wynikało tylko i wyłącznie z mojej winy, bo udałem się do Norii po pierścionek. Dla ciebie.

Reyna wpatruje się we mnie zaskoczona.

– Kochałem cię. – mówię. – I chciałem ci się oświadczyć po powrocie. Tylko, że ciebie już nie było.

W końcu, po dłuższej chwili, Reynie udaje się wydusić z siebie jakieś słowa.

– Nie mam pojęcia dlaczego, do diabłów, mnie pokochałeś, ale ja też cię kochałam. Wciąż Kocham. I nigdy nie chciałam cię skrzywdzić, James. – mówi. – Ale czułam się skrzywdzona przez ciebie. I w pewnej chwili stwierdziłam, że nie potrafię już dłużej tego ciągnąć.

Czuję się tak, jakby jakaś niewidzialna siła wkładała Reynie do ust moje własne myśli.

– Więc posłałaś mnie na „Zmierzch”. – kończę.

– Męczyłam się, oglądając każdego dnia twoją obojętność. Założyłam, że najlepiej będzie, jeśli odejdziesz, ale jestem tak okropną egoistką, że nie chciałam pozwolić ci odejść całkowicie. Umieszczenie cię na jednym z moich statków jako kapitana, wydawało się idealnym rozwiązaniem.

Nie potępiam jej za taki tok myślenia. Właściwie, to gdybyśmy zamienili się rolami, uczyniłbym pewnie dokładnie to samo.

– Nie winię cię za to. Sam postąpiłbym podobnie. – przyznaję. – Pod wieloma względami jesteśmy identyczni.

– Nie jesteśmy identyczni. – stwierdza Reyna. – Gdybyśmy mieli coś zbudować, różniłoby się to diametralnie już od podstaw.

Myślę o tym, czego dokonała: o działalności „Arachne”, walce z potworami, stworzeniu na Draquarii kryjówki pełnej piratów, wyrzutków i zwykłych ludzi,

którzy po prostu chcą zmienić świat, a przynajmniej tą jego drobną część, w lepsze miejsce. Ma rację, gdybym był na jej miejscu, zabrałbym się za to wszystko zupełnie inaczej.

Zamierzam coś powiedzieć, ale Reyna jest szybsza.

– Wszystko zaprzepaściłam, prawda? – pyta, choć właściwie brzmi to bardziej jak stwierdzenie. – To wszystko już przepadło.

Wiem, co ma na myśli, bo wciąż wpatruje się w moje palce, zaciśnięte na złotym pierścionku.

– Wszystko zależy od ciebie. – przyznaję, wyciągając w jej stronę rękę z pierścionkiem. – Przywiozłem go dla ciebie. Jest twój. Nawet jeśli mnie nie chcesz, weź go.

Reyna odsuwa się od biurka i idzie w moją stronę, starając się dyskretnie otrzeć łzy. Zatrzymuje się jednak na wyciągnięcie ręki, wygląda, jakby analizowała moje słowa.

Nic nie mówi, tylko mocno mnie obejmuje. Znow zanoszę się płaczem, a wiem to stąd, że koszula w miejscu, o które oparła głowę, powoli przesiąka jej łzami.

Odzwajam jej uścisk i chcę jej powiedzieć, że przecież już wszystko dobrze. Że zajmę się wszystkim, co jest nie tak i zrobię wszystko, by powód jej smutku całkowicie zniknął. Tyle, że to ja jestem powodem jej smutku i szczerze się za to nienawidzę.

Zdawało mi się, że wszystko już sobie wyjaśniliśmy, ale ona chyba jest odmiennego zdania, bo łzy wciąż cieką z jej oczu, a ja nie mogę zmusić się, by spojrzeć jej w twarz i zobaczyć, co takiego uczyniłem.

Chciałbym móc powiedzieć, że to wszystko moja wina, równie mocno, jak zwalić całą winę na nią. Ale prawda jest taka, że w tym wypadku nasze winy są równe, bo oboje skrzywdziliśmy się równie mocno, a żadne z nas nie było tego świadome.

– Reyno. – odzywam się w końcu, przesuwając ręką po jej włosach. – Reyno, już wszystko w porządku. Może być tak jak dawniej, jeśli tylko tego chcesz.

Reyna powoli odsuwa głowę od mojego ramienia. Jej oczy są zapuchnięte i zaczerwienione, a ona pospiesznie ociera je rękawem.

– Żałuję, że nie odbyliśmy tej rozmowy wcześniej. – mówi. – Zostało nam okropnie mało czasu.

Widzę żal w jej oczach, ale wciąż nie rozumiem, co go wywołało. Dopiero co wyznałem jej, że gotów byłem stoczyć walkę z piratami, by ją odzyskać, ale ona wciąż jest przygnębiona.

– Do czego? – pytam, licząc na to, że mi to wyjaśni.

– Cóż, mamy za sobą już pół drogi do Majaru. – zauważa, a do mnie nagle dociera, o co jej chodzi.

Przecież przyszedłem tutaj powiedzieć jej, że nie przejmę dowództwa nad „Zmierzchem”, bo zamierzam zostać w Port–Majar.

– Nigdzie się nie wybieram. – oznajmiam. – Zostaję z tobą.

Reyna patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Mam wrażenie, że można w nich utonąć.

– Kocham cię, Reyno. – mówię. Na moje usta wstępuje słaby uśmiech. – I naprawdę chciałbym wiedzieć w jakiej formie przyjmiesz ten pierścionek.

Reyna wciąż się we mnie wpatruje, jakby rozważając moje słowa.

– Czy to są oświadczyzny? – pyta w końcu. – Tylko, w jakiś pokrętny sposób?

– A chciałabyś, aby były? – pytam, uśmiechając się łagodnie.

– Tak. – przyznaje, sięgając po pierścionek, ale nie zabiera go, jedynie splata swoje palce z moimi.

Gdy ostatnim razem tak staliśmy, skończyło się to pocałunkiem. Myślę, że i teraz powinno się tak skończyć, dlatego, choć nie mam pewności czy Reyna zgodziła się właśnie za mnie wyjść, czy tylko wyraziła zgodę na to, bym jej się oświadczył, pochylam się i ją całuję.

– Możesz się jeszcze rozmyślić. – uprzedzam. – Ja... nie jestem dobrym człowiekiem. Jestem mordercą. Potworem.

– Bycie zapatrzonym w siebie egoistą nie czyni z ciebie jeszcze złoczyńcy. – zauważa Reyna.

– Ale zabicie kogoś, owszem.

– Nie zapominaj, że dobrze wiem, jak to jest stać naprzeciw człowiekowi, który chce twojej śmierci, ze świadomością, że albo ty zabijesz jego i będziesz żyć, albo to on zabije ciebie. Pamiętaj, że ja też mam krew na rękach.

Jak mógłbym zapomnieć? Wtedy, na Dali, Reyna uratowała życie nie tylko sobie, ale i mnie. Wiem, że gdyby nie zmusiły jej do tego okoliczności, nigdy nie zabiła by człowieka. Nie wątpię, że wciąż się za to nienawidzi.

– Może jednak nie różnimy się od siebie tak bardzo. – przyznaje. – Nawet, gdy jest środek dnia, my zawsze błądzimy pośród ciemności.

Pod tym względem ma rację.

– Więc mam ci dać ten pierścionek jako prezent z podróży czy w ramach zgody, że za mnie wyjdiesz? – pytam, gdy Reyna odsuwa się ode mnie, chyba godzinę później. Choć mogły to być równie dobrze ledwo minuty, zupełnie straciłem rachubę czasu.

– Uważasz, że jednak możemy wrócić do tego, co między nami było? Przed „Arachne”? – pyta.

– Myślę, że jesteśmy na dobrej drodze.

– Wyjdę za ciebie. – zapewnia, uśmiechając się szczerze. Zaraz jednak ten uśmiech nieco się zmienia.

Znam tę minę.

Oznacza nic innego, jak to, że Reyna wpadła właśnie na jakiś szalony, genialny albo niebezpieczny pomysł. A może i wszystko naraz.

Pędzi do biurka, zgarnia swój płaszcz z krzesła i zarzuca go pospiesznie na ramiona, ruszając do wyjścia.

– No chodź. – rzuca w moją stronę, widząc, że nie ruszam się z miejsca.

– Dokąd idziemy? – pytam, marszcząc nieznacznie brwi, ale idąc za nią w stronę drzwi.

– Wspominałeś coś, że chcesz się ożenić. – mówi, a ten niebezpieczny uśmiech nie znika z jej twarzy nawet wówczas, gdy wychodzimy na pokład.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 6
w drodze do Majaru*

Gwiazdy,

Wiedziałyście, prawda?

Zawsze wiecie wszystko. Widzicie to, co było, więc nie wątpię, że i to, co będzie.

Ile skarg musicie nasłuchać się od ludzi takich jak ja, nim dotrze do nich, że cała ta droga, którą szli, zmęczeni i zmalretowani, pokryci błotem i pyłem, prowadzi do celu, o którym zawsze śnili?

A może i czegoś jeszcze wspanialszego.

James Crepusculum

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

WESELE NA POKŁADZIE „ARACHNE”

Gdy tylko wychodzę za Reyną z kajuty, dopada mnie Anika.

– Wszędzie cię szukamy! – oznajmia z wyrzutem. – Coś ty robił tam tyle czasu?!

Przez chwilę milczę, zastanawiając się jaki rodzaj półprawdy powiedzieć, ale decyduję się na szczerość.

– Całowałem się z Reyną. – wyjaśniam.

– Ty... co robiłeś? – pyta, otwierając szeroko oczy, ale nim zdąży przyswoić sobie tę informację, wymijam ją i ruszam za Reyną, która usilnie próbuje zwrócić na siebie uwagę załogi.

– Uwaga! – woła, klaskając w dłonie, a oczy niemal wszystkich marynarzy w pobliżu odwracają się w jej kierunku. – Niniejszym oznajmiam, że na okres dokładnie dwudziestu czterech godzin od teraz, zrzekam się tytułu kapitana, który automatycznie przechodzi na mojego pierwszego oficera. Dziękuję za uwagę.

Wszyscy wpatrują się w nią osłupiali, w szczególności Joy, któremu przypadła właśnie zaszczytna funkcja nowego kapitana.

– Ja? – pyta chłopak, przekrzywiając głowę. – Ale... czemu?

– Po to – wyjaśnia Reyna. – abyś mógł udzielić nam ślubu.

Przyznam, że i mnie zaskakują te słowa. Jeszcze tego popołudnia byłem pewien, że to już koniec, że dopłyniemy do Majaru i zostawię ją na zawsze. Oświadczyłem się jej ledwo kilkanaście minut temu. Ciężko mi uwierzyć, że mielibyśmy się pobrać tego samego wieczoru.

Załoga „Arachne” zerka ciekawie to na mnie, to na swoją niedawną kapitan. Joy wygląda na jeszcze bardziej zdezorientowanego.

– Tutaj? – pyta. – Teraz?

– Możemy przesunąć się nieco na lewo, jeśli tam bardziej ci odpowiada.

– Nie, znaczy... – chłopak pląta się w słowach. – Chodzi o to, że... ja nigdy nie udzielałem ślubu.

– Nie dziwię się. – stwierdza Reyna. – W końcu jesteś kapitanem od niespełna pół minuty.

– Ale... ja nie wiem, co ja mam robić. – oznajmia, opuszczając bezradnie ręce.

– Zapytaj się ją, czy bierze go sobie za męża i na odwrót. – wyjaśnia pospiesznie Heard, nie wiadomo kiedy pojawiając się obok niego. – Powinno wystarczyć. I tak najważniejsze jest, żebyś udokumentował to na papierze i się pod tym podpisał.

Anika, która najwyraźniej otrząsnęła się już z szoku, zerka na Reynę sceptycznie.

– Ale wiesz, że to wszystko nie tak powinno wyglądać? – pyta. – Powinnaś mieć piękną długą suknię, wianek z tyłu białych kwiatów, ile kobiet gościsz na weselu i...

– ...i to wszystko to bzdury. – przerywa Heard znużonym głosem. – Daj się tym biedakom normalnie pobrać.

– Ściągniecie na nas gniew Virgo. – zauważa Anika, ale, że nikt jej nie słucha, w końcu ustępuje.

– Więc, Rey – Joy zwraca się do niej nieco zbyt wysokim głosem, wyglądając, jakby chciał być wszędzie, ale nie tam, gdzie właśnie się znalazł. – bierzesz sobie pana Crepusculum za męża?

– Tak. – mówi Reyna, z trudem powstrzymując śmiech.

– Panie Crepusculum, bierze pan sobie Reynę za żonę? – zwraca się do mnie.

– Tak. – mówię.

– Więc... ogłaszam was mężem i żoną? – Joy odwraca się na pięcie i próbuje odejść, ale Heard łapie go za ramię i zatrzymuje.

– Ale każ im się jeszcze pocałować. – mówi.

Joy patrzy na niego szeroko otwartymi oczami.

– A oni sami na to nie wpadną? – pyta.

Reyna wyraźnie nie potrafi się dłużej hamować i wybucha głośnym śmiechem, a ja nie jestem w stanie nie zrobić dokładnie tego samego.

A potem przyciągam ją do siebie i całuję.

Gdzieś w tle dobiega do mnie muzyka. Zdaje się, że ktoś gra na flecie.

– To Heard. – wyjaśnia Reyna, gdy w końcu ją wypuszczam.

Odwracam się i widzę, że ma rację.

– Nie bądź taki zaskoczony. To nie pierwsze wesele na „Arachne”. – oznajmia.

– Nie? To czyje było pierwsze?

– Daniela i Mariki. – mówi. – Ja oczywiście byłam kapitanem, który udzielał im ślubu, ale jestem pewna, że poszło mi znacznie lepiej niż Joy’owi.

Parskam śmiechem.

Nie ma wątpliwości, że do Majaru dopłyniemy znacznie później, niż to planowaliśmy, bo nasz statek zatrzymuje się na granicy Syrenich Skał, a żaden z załogantów nie zamierza pracować.

Heard nieprzerwanie wygrywa wesołe melodie, a Randel porywa Christianę do tańca. Ciemnowłosa kucharka ukradkiem ociera oczy, nie jestem jednak pewien, czy płacze ze wzruszenia, czy może raczej jest jej przykro, że nie stoi teraz na miejscu Reyny, choć przecież upiekła dla mnie tyle ciastek.

Nie wiem nawet kiedy wniesiono na pokład beczułkę z rumem.

– Do rana, jeśli poproszę? – pyta Reyna, chwytając mnie za rękę i ciągnąc w stronę kilku tańczących par.

– Aż nogi będą boleć nas tak bardzo, że nie damy rady ustać. – obiecuję.

– Cóż, dziś i tak nie mam w planach uciekać przed żadnym oszalałym księciem. – stwierdza Reyna.

Przyjęcie, jakie zorganizowała nam załoga „Arachne” wciąż trwa, gdy dzień zmienia się w noc i, jestem pewien, że będzie trwać nadal, gdy noc zamieni się w dzień.

Kiedy Reyna naprawdę nie jest już w stanie ustać na nogach, siadamy na ustawionych na pokładzie beczkach.

– Mam ogromną ochotę zdjąć te przeklęte buty. – mruczy pod nosem, rozprostowując przed sobą obolałe nogi.

– Lepiej tego nie rób. I nie chodzi mi jedynie o drzazgi, ale bardziej o to, co stało się gdy ostatnim razem chodziłaś bosą.

– Myślisz, że wypadnę przez burtę i się utopię?

– Nie chcę owdowieć zaraz po ślubie. – ostrzegam.

Reyna uśmiecha się pod nosem.

– Przecież skoczyłbyś za mną. – zauważa.

Wciąż ledwo dowierzam w to, co się dzieje. Jeszcze tego ranka układałem w głowie, jak powiedzieć Reynie, że nie zamierzam z nimi zostawać. Miałem wrócić do Majaru i zapomnieć o niej i o Arachne. Wszystko odwróciło się tak szybko i tak nagle. W życiu nie odgadłbym, że jeszcze tego wieczoru na „Arachne” odbędzie się nasz ślub.

Gdy na nią patrzę, niespodziewanie na myśl przychodzi mi tamten pocałunek sprzed pięciu lat.

– Byłaś we mnie zakochana już wtedy? – pytam.

– Kiedy? – pyta Reyna uśmiechając się lekko, a ja w porę uświadamiam sobie, że przecież nie czyta mi w myślach.

– Wtedy, gdy mnie pocałowałaś, nim wypłynąłem na południe. – precyzuję.

– Tak. – oznajmia. – I pamiętam, że naiwnie myślałam wtedy, iż wysyłasz mnie do akademii właśnie po to, byśmy mogli być razem gdy już wrócisz...

– Właściwie, to się nie myliłaś. – stwierdzam. – Wtedy dzieliło nas okropnie dużo. Ukończenie przez ciebie akademii było dobrym początkiem, by to zmienić.

– Nam zawsze coś stało na drodze. – zauważa. – Stan społeczny, urodzenie, obowiązki, a teraz nawet i my sami.

Nie mogę się z nią nie zgodzić.

– Wiesz... myślę, że zakochałam się w tobie już na Dali. – mówi Reyna po dłuższej chwili.

– Na Dali? – marszczę brwi. – Kiedy?

Przecież nie mogła mnie wyprzedzić. Na początku spodobała mi się nie tylko przez tą swoją niestrudżoność i wolę walki, która kazała jej mierzyć się z każdym postawionym jej przez życie zagrożeniem, choćby nie wiadomo jak się go bała, ale między innymi także dlatego, że nie była taka, jak te wszystkie wzdychające dziewczęta, wiecznie okupujące port. Nigdy nie wahała się, by na mnie nawrzeszczyć. Na pewno nie była wówczas we mnie zakochana.

– Nie jestem pewna. Ale chyba zaczęło się to pewnej nocy, bardzo podobnej do tej.

– A na czym polegało to podobieństwo? – dziwię się, nie przypominając sobie niczego takiego z czasu, który spędziliśmy na wyspie.

– Gwiazdy, szum fal – wymienia Reyna. – beczka z rumem i ty, proszący mnie do tańca.

Zdaje się, że Reyna właśnie wyjawiała mi, co działo się tamtej nocy, która w mojej pamięci jest zupełnie zamazaną plamą.

– To było wtedy, gdy się upiliśmy? – upewniam się.

– Ty się upiłeś. – uściśla.

– I zakochałeś się we mnie, bo po pijaku poprosiłem cię do tańca?

– Ależ skąd, mówię tylko, że wtedy zmienił się sposób, w jaki cię postrzegałam.

– Jak?

– Przestałam patrzeć na ciebie z rządną mordą w oczach.

Uśmiecham się pod nosem, ale szybko moja mina wykrzywia się w okropnym grymasie.

Heard, który gra na flecie bez ustanku już którąś godzinę, coraz bardziej zaczyna fałszować.

– On długo będzie się tak męczył? – pytam.

– Aż ktoś mu nie zabierze fletu.

Zdaje się, że nie tylko my uznaliśmy, iż muzyka wygrywana przez Hearda z przyjemnej stała się nieznośna. Część marynarzy, która nie jest jeszcze kompletnie pijana, również spogląda na niego krzywo. W końcu Randel z ociąganiem zostawia Christianę i rusza w stronę sternika.

– Może też byś poszedł trochę potańczyć? – proponuje artylerzysta.

– Chętnie, ale kto będzie wówczas grał? – pyta Heard, a my jesteśmy wdzięczni przynajmniej za chwilę ciszy spowodowaną tym, że nie może mówić i grać jednocześnie.

– No, ja mogę. – stwierdza Randel. – Właściwie, to idzie mi całkiem nieźle.

– A masz flet?

– Liczę, że pożyczysz mi swój. – mówi Randel.

– Ale... to jest instrument dęty. Musisz w to dmuchać, żeby wydobyć dźwięk.
– zauważa Heard.

– Przecież wiem. Mówię ci, że umiem grać. – upiera się ciemnoskóry.

– Zmierzam do tego – ciągnie Hard. – że nie zamierzam pozwolić ci napluć na coś, co później sam będę musiał włożyć do ust.

– Niby czemu?

– Bo to obrzydliwe?

– No dobra, to nawet sensowny argument...

Niespodziewanie ich sprzeczkę przerywa cichy dźwięk lutni. Wszyscy z zaskoczeniem odwracają się w stronę, z której dochodzi.

– Nudziło mnie słuchanie waszej kłótni. – oznajmia Christiana, wzruszając ramionami.

Heard z zadowoleniem wstaje ze skrzyni na której siedział ostatnie kilka godzin i rusza w stronę zaskoczonego Jackina.

Gdy i ich nogi w końcu odmawiają posłuszeństwa, Heard na powrót zamienia się z Christianą i wygrywa kolejne melodie z nową werwą. Robią to na zmianę, aż na miejsce księżycy powoli wschodzi słońce.

Reszta załogi albo także tańczy, albo popija rum, który leje się strumieniami. W końcu ktoś podchodzi i do nas, proponując trochę trunku.

Reyna kręci głową, ale ja przyjmuję go z wdzięcznością.

– Przecież sama mówisz – zauważam, widząc jej skrzywioną minę. – że jak ostatnio napiłem się trochę rumu, było całkiem miło.

Reyna przewraca oczami.

– To nie było „trochę” rumu. – mruczy pod nosem, ale nie protestuje ani przy pierwszym, ani przy drugim kieliszku. Nie protestuje też przy kolejnych, ale po czwartym przestaję liczyć.

Christiana odkłada wreszcie instrument i przedziera się przez całą masę na wpół śpiących pijackim snem załogantów, docierając do burty.

Chwilę później rozlega się jej przerażający wrzask.

Zarówno ja, jak i Reyna, natychmiast odwracamy się w jej stronę. Dziewczyna stoi przy relingu, wskazując dłonią coś na horyzoncie.

Statek, który jest zbyt blisko nas. Tak blisko, jak nigdy nie powinniśmy byli dopuścić, aby był.

– Piraci. – oznajmia Reyna grobowym głosem, który niesie się po pokładzie z zadziwiającą mocą.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 7
w drodze do Majaru*

Gwiazdy,

Nie jestem pewien, które z nas tak uparcie ciągnie za sobą niebezpieczeństwo.

Chciałbym wierzyć, że to Reyna, bo nade mną przecież czuwacie, ale zaczynam mieć co do tego coraz większe wątpliwości.

Może nie jesteście po to, by nie dopuszczać do mnie żadnego zagrożenia, a po to, by pozwolić mi zawsze wychodzić z każdego bez szwanku.

Tyle, że teraz nie ma was na niebie.

Nie wiem, czy zdołamy przetrzymać piratów do nocy, byście mogły mnie ocalić.

James Crepusculum

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

PIRACI Z PRZEKŁĘTYCH WÓD

– Gdzie jest Matthew? – pyta Reyna z paniką w głosie, a reszta załogi rozgląda się po pokładzie szukając starszego mężczyzny, który zwykł zajmować stanowisko obserwatora na bocianim gnieździe. Gdy w końcu go odnajdujemy, okazuje się być jednym z pijanych do nieprzytomności nieszczęśników.

Pewnie sam powinienem się do nich zaliczyć, ale wiadomość o nadpływających piratach działa na mnie jak kubek zimnej wody.

– Ile ich tam jest? – pytam, mrugając oczami, ale pirackich statków jest na przemian dwa i cztery. Możliwe, że posługują się dla zmyłki jakimś nad wyraz skutecznym kamuflażem.

– Jeden. – mówi Reyna, przyglądając mi się ze zmarszczonymi brwiami. – Do diabłów morskich, mówiłam, żebyś tyle nie pił.

– Nie, nie mówiłaś.

– Nie dziwię się, że nie słyszałeś, gdy na całe gardło opowiadałeś mi jakieś niestworzone brednie. – zauważa, a ja nie jestem w stanie zaoponować, bo powstrzymuje mnie machnięciem ręki i zwraca się do reszty załogi. – Dajcie im znak flagą! – rozkazuje. – Niech wiedzą, że jeśli zaatakują, nie poddamy się bez walki. Randel, zajmij stanowisko przy działach i zabierz ze sobą tylu ludzi, ilu tylko potrzebujesz...

Nikt nawet nie drgnie.

Wszyscy patrzą wyczekująco na Joy'a.

Reyna marszczy brwi, prędko jednak orientuje się, o co chodzi i przeciągle wzdycha.

- Joy, ty tu jesteś kapitanem. – mówi. – Każ im wywiesić tą cholerną flagę.
- Tak, róbcie tak, jak powiedziała. – rzuca pospiesznie zmieszany Joy. –

W ogóle to róbcie to, co mówi, to rozkaz.

Cała załoga w panice wraca do swoich obowiązków, choć część z nich mocno się zatacza albo potyka na prostej drodze. Reyna biegnie do swojej kajuty po broń.

– Że też zawsze jak z tobą tańczę, musi potem nas ktoś napadać... jak nie głupi książe i Jefferson, to piraci. – mamrocze pod nosem wracając, ale słyszę wyraźnie każde jej słowo.

Gdy piracki statek - chyba rzeczywiście tylko jeden – przybliży się do nas jeszcze bardziej, niemal każdy chwytą za broń i przygotowuje się do walki.

– Libro, bogini gwiazd, które są sprawiedliwe i patrzą wiecznie, widząc tylko prawdę... – szepcze stojąca niedaleko nas Anika.

– Gdybyśmy tylko zauważyli ich chwilę wcześniej. – mówi Reyna. – Moglibyśmy wykorzystać Syrenie Skały i tak ustawić „Arachne”, by nie mogli nas ostrzelać.

– Rey, oni nie chcą nas ostrzelać. – zauważa Joy i wskazuje na coś palcem. Podążam za nim wzrokiem i zauważam, że ma rację.

– Nie wysunęli dział. – potwierdzam. – Ale przygotowują się do abordażu.

– Niech Randel ostrzela ich, nim podpłyną na tyle blisko, by był możliwy. – poleca Reyna, a jeden z chłopców okrętowych pospiesznie schodzi na pokład armatni, by przekazać wiadomość artylerzyście. Żałuję, że nie ma z nami tym razem Mariki, która zajęłaby się tym wszystkim pewnie znacznie lepiej od Randela.

Gdy piraci znajdują się już niebezpiecznie blisko, zaczyna dopadać mnie lęk. To nie jest „Arachne”, która napada statki i je rabuje, ale nikogo przy tym nie krzywdzi. To groźni, dzicy piraci, którzy, jeśli tylko dostaną się na nasz okręt, pozabijają wszystkich bez zastanowienia.

Reyna waha się dłuższą chwilę, ale w końcu podaje mi moją własną szablę, którą trzymała od dłuższej chwili.

- Gdyby to nie była kryzysowa sytuacja, nie dałabym ci do rąk żadnego ostrego przedmiotu, puki jesteś w takim stanie. – mówi.
- Ale ze mną wszystko jest w doskonałym porządku. – zauważam pewnie.
- Tak, tylko nie dasz rady ustać prosto bez trzymania się nadburcia. – mruczy pod nosem.

Rozlegają się wystrzały, ale niewiele kul trafia okręt piratów. Oni sami natomiast chwytają liny i przeskakują na nasz pokład.

Są uzbrojeni w co popadnie: szable, miecze, topory, noże, kilkoro nawet w broń palną. Ich ubrania także są połączeniem wszystkiego, co tylko udało im się kiedykolwiek zrabować – stroje to mieszanka stylów i kolorów, niemal w każdym przypadku zupełnie do siebie niepasujących.

Zdaje się, że właśnie tak wyobrażałem sobie załogę „Arachne”, nim wylądowałem na tym statku.

- Przekaż Randelowi, żeby wstrzymał ogień! – wrzeszczy Reyna do chłopaka, który właśnie wrócił spod pokładu. – Jeśli zdemolujemy im teraz statek, nie będą mieli czym zabrać się stąd w cholerę!

Chłopiec pospiesznie zbiega z powrotem na dół.

Piraci wdają się z nami w walkę, ale z przerażeniem stwierdzam, że nie trwa ona długo. Nasza załoga jest zdezorientowana i w większości pijana, więc nie mija kilka minut, a jedynymi wciąż walczącymi jestem ja, Reyna i Heard. Reszta stoi rozbrojona i zdana na łaskę piratów.

„Arachne” - postrach mórza - została przejęta w ledwo kilka minut przez bandę prawdziwych piratów.

- To dobry moment, żeby się poddać. – oznajmia jeden z napastników. Zdaje się, że to ich przywódca. Dobiega pewnie pięćdziesiątki, ma czarne włosy i równie ciemną brodę, a większość jego ciała pokrywają nieskładne tatuaże. Właściwie to dostrzegam więcej ich, niż jego skóry.

Słyszę szcęk metalu, a gdy nieznacznie się odwracam widzę, że szabla Hearda leży na deskach pokładu, a on sam unosi ręce i pozwala się poprowadzić do reszty załogi.

Zatem zostałem tylko ja i Reyna.

– Jeśli się nie mylę, kapitan Arachne, mam rację? – przywódca zwraca się do Reyny, wciąż ściskającej swoją szablę z siłą tak wielką, że bieleją jej knykcie.

– Nie mylisz się. – oznajmia Reyna. – A teraz złaż z mojego statku.

– Nie zamierzam, zważywszy na to, w jak bardzo beznadziejnej sytuacji właśnie się znajdujecie. Cała twoja załoga to moi zakładnicy, więc odłóż ładnie broń i powiedz swojemu zastępcy, by zrobił to samo, albo nie będziesz już miała ludzi, którzy mogliby wyciągnąć twój okręt z tego wyjątkowo paskudnego położenia.

– Nie zamierzam, puki nie powiesz kim jesteś i czego chcesz. – oznajmia Reyna.

Pirat śmieje się pod nosem.

– Jestem tu, by uświadomić wam, że nie pozwolimy sobie bezkarnie przepływać przez nasze terytoria. I to wcale nie ukradkiem, przepłynęliście ich środkiem w biały dzień. Wy to macie czelność... Może powinienem był dodać jeszcze, że znam położenie waszej kryjówki? – oznajmia. – I, jeśli zaraz nie rzucicie broni, to obiecuję, że i tam pošlę statek, który pozbędzie się wszystkich jej mieszkańców.

– Blefuje! – krzyczy Heard, za co obrywa od pilnującego go pirata w brzuch.

– Tak myślisz? – przywódca zwraca się do sternika. – Cóż, przekażę, że tak właśnie myślicie waszym przyjaciołom z Dużej Draquarii.

Na te słowa Reyna wzdycha z frustracji i rzuca szablę pod nogi. Widząc, że to już koniec, robię to samo.

– Związać wszystkich i na nasz statek. – poleca przywódca piratów. Nie mam już wątpliwości, że to ich kapitan. – A wy – wskazuje palcem kilkoro spośród swoich ludzi. – przenieście niewolników.

Patrzę na Reynę pytająco, gdy tamci ruszają pod pokład, po to, by uświadomić sobie, że „piwnica” jest pusta.

– Kapitanie! – krzyczą, a piraci prowadzący nas w kierunku trapu, którym mamy przejść na drugi statek, gwałtownie się zatrzymują.

– Co jest? – pyta podirytowany przywódca.

– Tam nikogo nie ma. Nie ma ani jednego niewolnika! – oznajmiają zaskoczeni.

Kapitan spogląda na Reynę wściekłym wzrokiem.

– Gdzie ukrywacie niewolników? – pyta ostro, wyciągając zza pasa nóż. – Musicie ich mieć całe dziesiątki, skoro tak beztrąsko przepływacie sobie przez to morze tam i z powrotem. I, szczerze, miałbym to gdzieś, gdybyście nie wparowali z butami na nasze wody. A teraz gadaj – mówi, wymachując nożem w stronę Reyny. – gdzie niewolnicy?!

– Nie mamy niewolników. – informuje Reyna. Jej głos wydaje się być spokojny, ale jestem pewien, że jest przerażona.

– Nie pogrywaj sobie ze mną. – warczy kapitan, przykładając jej nóż do gardła. Poniewczasie uświadamiam sobie, że podświadomie zrywam się, by do niego podbiec i wyrwać mu z ręki ten przeklęty nóż, ale łapie mnie jeszcze kilku piratów i skutecznie unieruchamia.

Kapitan jedynie przelotnie zerka w moją stronę, ale nie poświęca mi żadnej większej uwagi.

– Ty – zwraca się w stronę Hearda. – gadaj, gdzie niewolnicy albo twoja kapitan zginie.

Heard patrzy w ich stronę i rzuca bezbarwnym głosem:

– Ona nie jest moją kapitan.

Stojący niedaleko Joy całkowicie blednie. Choć znam Hearda zaledwie kilka tygodni, mógłbym przysiąc, że nie skaże on tak swobodnie na śmierć nikogo z „Arachne”, zatem musi mieć jakiś plan. I mam ogromną nadzieję, że dobry.

– Nie? – pyta ironicznie kapitan. – Sama przyznała, że jest kapitan Arachne! Jak nie pod jej, to pod którymi rozkazami służysz?!

– To jest kapitan Arachne. – potwierdza Heard. – Ale zrzekła się swojego stanowiska na okres doby i zrobiła to wczorajszego wieczoru.

– Niby dlaczego miałyby to robić? – pyta zdezorientowany kapitan.

– Żeby na statku znajdował się kapitan inny niż ona. – oznajmia Heard. – Sama sobie ślubu nie mogła udzielić.

– Ślubu? – kapitan wygląda na jeszcze bardziej skołowanego, a do mnie dociera wreszcie na czym polega plan Hearda.

W mojej głowie rozbrzmiewa wspomnienie głosu Aniki:

Ściągniecie na nas gniew Virgo.

Nie ma na świecie ludzi bardziej zabobonnych, niż żeglarze, a piraci nie są w tym wypadku wyjątkiem.

– To dlatego tak łatwo było was podejść... – mruczy kapitan pod nosem. – I dlatego tak prosto was pokonaliśmy... Wszyscy byli pijani, a my trafiliśmy prosto na wesele.

Kilkoro piratów zawzięcie mamrocze coś pod nosami. Chyba się modlą.

– Przerwaliśmy wesele. – dobiegają do mnie pojedyncze szepty. – Dosięgnie nas gniew Virgo.

– Może powinniśmy ich puścić wolno? – proponuje niepewnie jeden z nich.

– To bardzo rozsądny pomysł... – wtrąca Randel.

– Milczeć! – wrzeszczy kapitan. – Ale macie słuszość, półgłówki, musimy coś zrobić, żeby przywrócić sobie przychylność Virgo. Tylko, że nie możemy pozwolić im tak po prostu sobie odpłynąć... wypuście ich. – decyduje w końcu. – Przeprowadzimy pokojowe negocjacje.

Choć wszyscy zostajemy uwolnieni, piraci wciąż stoją między nami, gotowi zareagować, gdyby którekolwiek z nas sięgnęło po broń.

– To kto tu w końcu jest kapitanem?! – pyta przywódca, lustrując wzrokiem załogę „Arachne”.

– Ja. – odzywa się niepewnie Joy. Jestem pewien, że wścieka się o to, iż ze wszystkich możliwych dni, pierwszym w jego kapitańskiej karierze jest ten, gdy zaatakowali nas piraci, a on właściwie stracił okręt.

– Ty? – kapitan unosi brwi. – Ten młody jest teraz kapitanem? – spogląda na Reynę zaskoczony.

– To mój brat. – wyjaśnia pospiesznie Reyna.

– Ach. A masz coś przeciwko, chłopcze, żebym prowadził negocjacje z Arachne?

– Ależ skąd. – zapewnia Joy z ulgą.

– Wspaniale. – kapitan klepie go po plecach, po czym przyciąga sobie skrzynię i siada naprzeciwko Reyny.

– To zacznijmy może od początku. Jestem Czarny John, kapitan tamtej łajby. – wskazuje głową swój okręt.

– Kapitan Arachne. Ale to już pan wie. – mówi Reyna.

– Tak, tak. I domyślam się, że pan młody to tamten narwany szaleniec. – bezbłędnie wskazuje głową na mnie.

– Tak. – potwierdza Reyna.

– To twój pierwszy?

Reyna marszczy brwi wyraźnie nie do końca rozumiejąc.

– Oficer? – pyta.

– Nie, mąż. – parska z ironią Czarny John. – Oczywiście, że oficer.

– Nie. Kwatermistrz. – precyzuje Reyna.

– Dołączysz do nas? – zwraca się do mnie pirat, a ja stoję obok Reyny. – Może usiądź sobie. – proponuje nad wyraz uprzejmie. – Człowieku, ledwo stoisz. Ja nie wiem, naprawdę, jak ktoś tak pijany był w stanie tak długo wymachiwać szablą i się przy tym nie pokaleczyć... Ten płaszcz to ukradłeś jakiemuś kapitanowi, prawda? Właściwie, to jak tak na ciebie patrzę, to muszę przyznać, że dokładnie tak wyobrażałem sobie kapitana Crepusculum.

– Ja jestem kapitanem Crepusculum. – oznajmiam.

Czarny John klaska w dłonie.

– Więc sensu nabiera fakt, że nagrody za wasze głowy pojawiły się w Kraterii w tym samym czasie. – oznajmia.

– Za nasze głowy? – pyta Reyna nieco niepewnie.

– Tak, dosyć spora ta nagroda, jeśli wasze głowy będą, że tak powiem, wolno stojące. Nieco mniejsza, jeśli wciąż będą przymocowane do całej reszty... no, was.

Reyna patrzy w moją stronę, a w jej oczach błyska strach. Zastanawiam się w co pogrywa ten kapitan, bo, jeśli chce nas zabić, to i tak nijak nie powróci do łask swoich bogów.

– Ale odbiegam od tematu. Powiedzcie mi zatem to, co nurtuje mnie tak bardzo. Gdzie ci wasi niewolnicy?

– Nie mamy niewolników. – oznajmia Reyna ostro.

– Już to słyszałem, ale chciałbym byś wyjaśniła to nieco jaśniej. Może też usiądziesz? – proponuje.

Reyna wzdycha, świadoma, że zanosi się na dłuższą dyskusję i przyciąga sobie jedną z beczek, podobnie jak ja przed chwilą.

– Nie wiem jakie informacje o mnie do was dochodzą – zaczyna. – ale od ponad roku „Arachne” przemierza Bestialskie Morze tam i z powrotem, nie pozwalając przez nie przepłynąć okrętom zarówno z Majaru, jak i Kraterii.

– Pomijasz fakt, że „Arachne” nie jest jednym statkiem. – wtrąca kapitan z chytrym uśmieszkiem.

– Zdaje się, że ma pan dosyć dokładne informacje o naszej działalności. – stwierdza ironicznie Reyna. – Ale owszem. Wie pan, co jest naszym celem?

– Grabienie i rozbój? Nie potrafię się dopatrzeć innego. I, jak już wspomniałem, mam to gdzieś, puki robicie to poza naszymi terenami, ale...

– Nie o to w tym wszystkim chodzi. Chcemy pokonać potwory.

Czarny John patrzy przez chwilę na Reynę nie rozumiejąc.

– Słucham? – pyta.

– Znaleźliśmy sposób na to, by przepłynąć Bestialskie Morze nie wyrzucając za burtę ani jednego człowieka. Wiemy, jak oszukać potwory.

Kapitan przez moment analizuje jej słowa, po czym reaguje dokładnie tak samo, jak ja gdy usłyszałem to po raz pierwszy: śmieje się głośno i niepohamowanie.

– Ale ja pytam poważnie. – mówi, gdy trochę się uspokaja i ociera zażawione oczy.

– Na samym początku też tak zareagowałem – oznajmiam. – a potem zobaczyłem to na własne oczy. Nie ma na tych wodach potwora, którego nie dałaby rady przechytrzyć.

– To prawda? – kapitan zwraca się w stronę naszej załogi, a oni wszyscy zgodnie kiwają głowami.

Czarny John wydaje się analizować nasze słowa.

– Mam trzy elementy układanki i, bardzo proszę, powkładaj je na odpowiednie miejsca. – mów w końcu. – Chcecie pozbyć się potworów. Zatrzymujecie statki. I wiecie, jak tędy pływać bez niewolników. Jak to się ma do siebie?

– Chcemy się pozbyć potworów. – zaczyna Reyna. – A chcemy to zrobić, odcinając im nieustający napływ jedzenia. Chcemy, żeby były głodne. W końcu zrozumieją, że albo poszukają innego miejsca do żerowania, albo zdechną z głodu.

– Dlatego zatrzymujecie statki. – kończy Czarny John, w końcu rozumiejąc.

– Dokładnie.

– To doprawdy zaskakujące osiągnięcie, jak na tak młodą osobę, jak pani, kapitan Arachne. – stwierdza. – Właściwie, to jak tak na panią patrzę, to ciągle nie mam pewności, ile może pani mieć lat.

– A ile by mi pan dał? – pyta Reyna.

– Wygląda pani na jakieś dwadzieścia, ale zachowuje jakby miała trzydzieści.

– Tak to już chyba jest, kiedy ma się dwadzieścia pięć lat i jest się dokładnie w połowie. – zauważa.

– Wiecie, to jest naprawdę nieprawdopodobne. – oznajmia Czarny John i jestem pewien, że nie ma na myśli wieku Reyny. – Pewnie bym wam nie uwierzył, gdybym nie miał dostatecznie dużo dowodów. A teraz, co powiecie na zawarcie umowy?

Ja i Reyna patrzemy po sobie zaskoczeni.

– Umowy? – pytamy niemal w tym samym czasie.

– Tak. Powiedzmy, że daruję wam życie. Całej załodze. I pozwolę robić dalej, to co robicie. No i oczywiście nie wydam was księciu Kraterii. A, jako bonus,

mogę zaproponować wam wsparcie z naszej strony, jeśli byłoby wam kiedyś potrzebne.

– Sugerujecie... współpracę? – pytam ostrożnie.

– Tak. – potwierdza kapitan.

– To brzmi zbyt pięknie. – zauważa Reyna. – Co chcecie w zamian?

– Tego, co i tak już robicie. Chcę, żebyście oczyścili te wody z potworów, ażebyśmy mogli swobodnie po nich pływać i grabić co popadnie. To co? Umowa?

– pyta, wyciągając rękę w stronę Reyny, ta jednak się waha i ukradkiem zerka w moim kierunku, ale nie umyka to uwadze kapitana. – Może to pani sobie przedyskutować z narzeczoną... mężem? Doszło już do tego ślubu?

– Doszło.

– To tym bardziej. – oznajmia.

Reyna wstaje i odchodzi kilka kroków, ciągnąc mnie za sobą.

– Myślisz, że możemy mu zaufać? – pyta półgłosem.

Przez chwilę się zastanawiam.

– Tak. – stwierdzam w końcu. – Oni są za bardzo przerażeni, że spadnie na nich gniew boski, żeby wyrządzić nam jakąś krzywdę. A wsparcie z ich strony może okazać się bardzo korzystne, jeśli kiedyś byśmy go potrzebowali.

Reyna kiwa głową i wraca do czekającego na nią pirata.

– Przyjmujemy pana ofertę. – oznajmia, ściskając jego wytatuowaną dłoń, a potem ukradkiem wyciera własną w fałdy płaszcza.

– Wspaniale! – cieszy się Czarny John i gwałtownie wstaje. – Zabierajmy się stąd! – krzyczy do swojej załogi, a potem zwraca się jeszcze do nas. – Jeśli byście czegoś od nas chcieli, niech któryś z waszych statków podpłyń pod Latarenkę. Będziemy wiedzieć, o co chodzi, gdy zobaczymy waszą banderę.

– Właściwie... – odzywa się Reyna. – to mielibyśmy do was pewną prośbę, jeśli wracacie na wasze łowiska.

– Wracamy. Czego potrzebujecie? – pyta zaciekawiony.

– Jeden nasz okręt stacjonuje w pobliżu Kraterii, to znaczy, tak blisko, jak tylko może podpłynąć w obecnej sytuacji. Powinien niebawem wracać do kryjówki

i wymienić się z innym. Jeśli go zobaczycie, przekażcie wiadomość, żeby uważali, bo – przęłyka głośno ślinę, jakby następne słowa stały jej w gardle i z wielkim trudem wychodziły na zewnątrz. – bo latające kałamarnice przenoszą swoje siedlisko bardziej na południe. Sami padliśmy ich ofiarą.

Czarny John gwizdże przeciągle.

– I uszliście z tego spotkania cało? – pyta z niedowierzaniem.

– W innym razie nie rozmawiałby pan teraz z nami. – zauważa.

– Z każdą chwilą zaskakuje mnie pani coraz bardziej, kapitan Arachne. – stwierdza. – Przekażemy twoją wiadomość. A teraz, nim odpłyniemy, czy mogę prosić cię na słowo, Crepusculum?

Jestem zaskoczony tą prośbą, ale zgadzam się i idę za nim kilka kroków dalej, zastanawiając się, co takiego chce mi powiedzieć, a czego nie chce powiedzieć Reynie

– Uważaj na nią. – mówi. – To dobra i odważna dziewczyna i, może daje radę omamić naiwnych marynarzy, że jest taka groźna i straszna, ale co mądrzejszy zauważy, że to po prostu niezła aktorka. A legenda o Arachne powinna trwać nadal, nie sądzisz?

Kiwam głową, zastanawiając się, kiedy rozgryzł, że Reyna nie jest przerażającą kapitan, ale wolę nie pytać.

Pirat klepie mnie po plecach na odchodne, a potem, nim wraz z całą swoją załogą wraca na swój statek, jeszcze raz odwraca się w naszą stronę.

– A zostało wam może jeszcze trochę rumu? Też byśmy chętnie poświętowali to wasze wesele, jeśli wiecie, co mam na myśli.

Załoga „Arachne” zerka po sobie niepewnie, nie wiedząc, jak wyjaśnić, że w przeciągu jednej nocy wypiliśmy właściwie całą beczułkę, która stanowiła jedyny zapas rumu, jaki był na tym statku.

– Cholera – wyrywa się Randelowi. – nie wiedzieliśmy, że będą goście.

– Jasne, rozumiem. – Czarny John macha w naszą stronę maskując zawód, co nie udaje się niestety jego ludziom. A potem ostatni członkowie jego załogi przechodzą po trapie na piracki statek i szykują się do powrotu na swoje wody.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 1
w Majarze*

Jeszcze nie tak dawno sądziłem, że to dom. Że to miejsce, do którego chcę wracać, ale zdaje się, że zmieniło się bardzo wiele.

Moim domem zawsze będzie morze, a Majar może odejść w niepamięć.

I tak nigdy tak naprawdę mi się nie podobał.

James Crepusculum

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

POWRÓT DO MAJARU

- ...i, jako tymczasowy kapitan, ja, Jonathan, wymyśl sobie nazwisko...
 - Jakie chcę? – siedzący za biurkiem w kajucie Reyny Joy unosi na nią wzrok.
 - Bez znaczenia. Coś prostego, coś dziwnego, coś genialnego. – Reyna macha ręką.
 - Dajcie mi chwilę. – prosi chłopak. – Daniel Moondrowner pewnie całymi latami wymyślał nazwisko, żeby brzmiało tak kapitalnie.
 - Jeśli pytałby mnie ktoś o zdanie – wtrącam. – to sądzę, iż wymyślił je na poczekaniu.
 - A pan? – Joy zwraca się w moją stronę. Jak dotąd stałem tylko pod ścianą i słuchałem, czy Reyna dyktuje z sensem treść sporządzanego przez Joy'a dokumentu, ale chyba nadeszła pora, bym włączył się do dyskusji.
 - Ja miałem sporo czasu na zastanowienie. – przyznaję, a Reyna patrzy na mnie w osłupieniu.
 - Ty... to nie jest twoje prawdziwe nazwisko? – wyrzuca z siebie w końcu.
 - Oczywiście, że jest prawdziwe.
 - Ale się z nim nie urodziłeś?
- Joy przygląda nam się ciekawie. Kiedyś pytał mnie, jak udało mi się dostać do Akademii Morskiej, więc zna już tę historię. Ale, zdaje się, nigdy nie powtórzył jej Reynie.
- Nie pochodzę z żadnej bogatej rodziny. Nie miałem nazwiska. Uciekłem z domu, przekroczyłem nielegalnie kilka granic i znalazłem się w Majarze. Podjąłem decyzję, że chcę wstąpić do akademii i to zrobiłem, gdy tylko udało mi

się zdobyć pieniądze na wpisowe. Zgłosiłem się z nazwiskiem, bo i tak byłem obcy, więc nikt nigdzie tego nie sprawdzał. Napomknąłem jedynie, że skradziono mi dokumenty na granicy, ale nie przykładali właściwie żadnej wagi do tego, by zbadać tę sprawę. Bycie obcym okazywało się dla mnie czasem dość przydatne.

– Czyli... nie masz tak naprawdę na nazwisko Crepusculum. – podsumowuje Reyna. – Nie masz nazwiska w ogóle.

– Po tym, jak zostałem kapitanem, prawo pozwalało mi przyjąć nazwisko. Nadałbym je sobie tak czy inaczej. Mam nazwisko. I to jak najbardziej zgodnie z prawem, jeśli cię to dręczy.

Reyna parska, ale nie wygląda na zirytowaną, bardziej na rozbawioną.

– A pieniądze, którymi opłaciłeś akademię, ukradłeś? – pyta, unosząc brwi. Chyba żartuje, ale ja potwierdzam skinieniem głowy.

– Tylko część, resztę legalnie zarobiłem. – dodaje pospiesznie. – Przez jakiś czas byłem miejskim posłańcem. Oto jak zaczęła się moja legenda.

Od bezdomnego dzieciaka do słynnego kapitana, który ostatecznie skończył jako jeden z dowódców pirackiego okrętu Arachne. Pewnie nie jeden, któremu nie obce było moje nazwisko, zareagowałyby zaskoczeniem równie wielkim, co Reyna.

Joy nie jest w stanie ukryć przeciągłego ziewnięcia.

– Przepraszam! – mówi, gdy gwałtownie odwracamy wzrok w jego stronę. – Ale ja to już wszystko słyszałem... i... możemy ciągnąć ten dokument dalej? Później pomyślę nad nazwiskiem.

– Tylko nie proś o radę Moondrownera. – sugeruję. – No chyba, że chcesz nazywać się Waterweaver.

Oczy Joy'a zaczynają lśnić.

– A mógłbym?

Reyna przerywa nam wymownym chrząknięciem.

– Chciałeś pisać dalej?

– A, tak. – potwierdza pospiesznie Joy.

– Więc pisz: dnia, tu wpisz datę... – dyktuje Reyna.

– Co to znaczy: „tu wpisz datę”? – pyta chłopak.

Pochylająca się nad sporządzanym dokumentem Reyna wzrusza ramionami.

– Nie pamiętam, kiedy to dokładnie było. Jakieś pięć dni temu? – zerka na mnie, licząc na podpowiedź.

– Też nie mam pewności. – przyznaję. Tamten dzień zlewa się w masę tańców, rumu i piratów.

– Nie pamiętacie, kiedy wzięliście ślub? – Joy patrzy na nas szeroko otwartymi oczami. – Przecież wszyscy zawsze zapamiętują takie rzeczy. I zawsze robią ogromne afery, kiedy ktoś inny zapomni.

– Jakie to ma znaczenie, kiedy dokładnie wzięliśmy ślub? – pyta Reyna. – Jesteśmy małżeństwem? Jesteśmy. Więc wymyśl sobie jakąś datę i pisz dalej. „Mocą prawa boskiego, jak i ludzkiego, zgodnie z...”... a pobraliśmy się na majarskim czy krateriańskim prawie? – zwraca się do mnie. – Czy jakimś jeszcze innym?

– Majarskie prawo nie uzna Joy’a za kapitana, nawet tymczasowego, bo nie jest pełnoletni. Z Kraterią chyba jest podobnie, zresztą jestem tam poszukiwanym zbiegiem.

– A jakieś prawo w ogóle uzna? – pyta sceptycznie.

– Może. – zastanawiam się. – Pirackie.

Reyna wzdycha ciężko.

– I teraz mi mówisz, że ten ślub tak naprawdę jest ważny tylko w kręgach piratów?

– A nie w takich się obecnie obracamy?

– Skreśl swoje imię Joy. – decyduje po chwili namysłu Reyna. – Gdy wrócimy na Draquarię, podpisze to Daniel.

– Daniel Moondrowner jest oficjalnie uznany za zmarłego. – przypominam.

– Cholera. – mruczy pod nosem Reyna, ale po chwili się ożywia. – W Kraterii. Do Majaru może jeszcze nie doszły o tym słuchy... och, przyznajmy w końcu, że ten ślub jest prawnie wart tyle, co i to twoje nazwisko.

– Moje nazwisko jest jak najbardziej uznane przez prawo...

– Ale nie było, gdy zgłosiłeś się pod nim do akademii. – utrzymuje.

– Cóż, zawsze możemy pobrać się jeszcze raz w Majarze. – zauważam. – Twoja załoga będzie wniebowzięta, jeśli powiemy im, że mają okazję, by otworzyć drugą beczkę rumu.

– Nie mamy na pokładzie drugiej. – mówi Reyna.

– Może i dobrze, bo tak naprawdę pewnie i tak nikt nie zgodziłby się udzielić nam ślubu.

– Jestem ci równa stopniem. Nie powinni mieć żadnych zastrzeżeń.

– Jesteś młodsza o pięć lat. – przypominam. – A Majar uznaje różnicę maksymalnie trzech.

– Może po prostu podpisze to Heard, skoro i tak jest wpisany w rejestr jako mój pierwszy oficer i teoretycznie mógłby być tymczasowym kapitanem... – zastanawia się Reyna.

– Nie! – przerywa jej rozemocjonowany Joy. – Nie możesz mi tego zrobić! Byłem kapitanem i udzieliłem pierwszego w życiu ślubu. Nie pozwolę Heardowi się pod tym podpisać!

– I tak nie ma chyba kraju, w którym ten dokument byłby ważny. – zauważam sceptycznie.

Nim Reyna znajduje kolejne argumenty, słyszymy jak Heard woła nas z pokładu.

– Czyli... nie muszę tego kończyć? – krzyczy za nami Joy, gdy ruszamy do wyjścia.

– Na wszelki wypadek dokończ. – mówi Reyna na odchodne. – Pisz tam, co chcesz.

– Ale... – wydusza z siebie chłopak, ona jednak wybiega już na zewnątrz.

– Dasz radę. – mówię, ale gdy opuszczam kajutę kapitana, Joy nie wygląda na ani trochę przekonanego.



Gdzieś przy granicy bezpiecznych wód Majaru napotykamy jeden z okrętów Arachne. Tak szybko, jak tylko jest to możliwe, wymieniamy się z jego załogą i dalszą drogę pokonujemy właśnie nim, w obawie, iż „Arachne” mogłaby zostać rozpoznana w majarskim porcie.

Dzień przed dopłynięciem na miejsce hucznie świętujemy osiemnaste urodziny Joy’a. Mimo powszechnej radości dostrzegam cień zawodu malujący się na twarzach Reyny i Joy’a, którzy z pewnością liczyli, że zdążą do tego czasu wrócić do domu.

Gdy tylko dobijamy do brzegu, uderza we mnie fala gorąca. Bestialskie Morze może i należy do ciepłych, jednak nie bez powodu Majar nazywany jest bramą południa.

Podczas gdy załoga krząta się po okręcie, Reyna schodzi na brzeg, a ja idę w niewielkiej odległości za nią. Nie wygląda zupełnie jak kapitan Arachne, bardziej jak Reyna, nim opuściła ten port ponad rok temu: w prostych ubraniach męskiego kroju i z rozwianymi włosami.

W porcie zamierzamy wpisać nasz statek jako wolny, pływający między lokalnymi portami. Dla bezpieczeństwa decydujemy, że z pokładu zejdziemy tylko ja, Reyna i Joy, bo reszta mogłaby zostać łatwo rozpoznana. Właściwie tyczy się to także Reyny, ale, że ona jako jedyna wie, gdzie szukać historyka i jak nakłonić go do współpracy, musi iść z nami.

Ledwo zdąży zejść po trapie, podbiega do niej pracownik portu.

– Muszę zarejestrować ten statek! – oznajmia. – Kto jest jego kapitanem?

– Ja. – mówi Reyna. Właściwie to tego nie uzgadnialiśmy, dlatego mam ogromną nadzieję, że wie, co robi.

Mężczyzna patrzy na nią dziwnie, ale w końcu wypytuje dalej.

– Pani nazwisko?

– Crepusculum. – przedstawia się.

Tym razem przez twarz pracownika portu przebiega grymas irytacji.

– Czy pani sobie ze mnie kpi? – pyta oburzony.

Reyna zdaje się już ma coś mu odpowiedzieć, ale w porę schodzę na ląd i do nich dołączam. Mężczyzna wyraźnie mnie rozpoznaje i jest równie wyraźnie zmieszany.

– Uznaje pan za kpinę, że moja żona jest kapitanem tego statku? – pytam i, choć mój głos nie wyraża ani rozbawienia, ani rozdrażnienia, niebywale bawi mnie to jego zmieszanie.

– Nie, skąd, panie Crepusculum. – mówi tamten pospiesznie i notuje coś w wielkiej księdze.

Nie mam wątpliwości, że do wieczora w całym Port-Majar będzie huczało od plotek na mój temat.

– Jeśli to nie problem, mój pierwszy oficer przekaze panu wszelkie niezbędne informacje i uiszczy opłatę. – mówi oschle Reyna, a pracownik portu w pośpiechu oznajmia, że w żadnym razie nie ma niczego przeciwko.

Reyna i ja ruszamy do miasta szybkim krokiem.

Nie wątpię, że, nim odwiedzimy jej znajomego historyka, Reyna uda się do domu, odwiedzić rodziców. Planuję odprowadzić ją przynajmniej do połowy drogi, skąd ruszę w stronę mojego mieszkania. Zamierzam poczekać tam na nią, choć podejrzewam, że może to trochę potrwać.

– Mam pewną prośbę – odzywa się niespodziewanie Reyna. – Gdy będziemy rozmawiać z moimi rodzicami...

– Chcesz, żebym poszedł z tobą? – przerywam jej zaskoczony.

– Tak. – mówi, marszcząc lekko brwi. – Myślałam, że to oczywiste. Ale jeśli nie chcesz, rozumiem, możesz iść, dołączę do ciebie później.

– Nie, w porządku. – zapewniam. – Pójdę z tobą, jeśli chcesz.

Mam niejasne przeczucie, że moja obecność będzie związana z oznajmieniem im przez Reynę, że pobraliśmy się niecałe dwa tygodnie temu. I, mam ogromną nadzieję, że jej ojciec nie będzie z tego powodu niezadowolony, bo nie chcę ponownie oberwać od niego w twarz.

– Tylko, James... – mówi. – Nie mów im o „Arachne”. Sama to zrobię w odpowiednim momencie.

– Nie wiedzą? – właściwie nie wiem, czemu się dziwię. O niczym mi nie wspomnieli ostatnim razem, ale nawet gdyby wiedzieli, przecież by mi o tym nie powiedzieli. Nie ważne, co Reyna im o mnie opowiedziała, wciąż pozostawałem królewskim kapitanem i nie wątpię, że obawialiby się, iż wydam ich córkę władzom.

– Nie mają pojęcia. – potwierdza Reyna. – Jak miałam... jak ty byś powiedział swoim rodzicom, że wyruszasz w morze, by zostać piratem? – pyta.

– Moi rodzice to trudny temat. – stwierdzam.

– Ach, no tak. – Reyna wygląda na zmieszaną. – Nie pomyślałam.

Macham na to ręką.

– Ja też staram się o nich nie myśleć.

Niedługo później stoimy przed drzwiami domu Reyny. Z zaskoczeniem zauważam, że jej drzewka pomarańczowe, które ostatnim razem były niemal martwe, znów pokryte są zielonymi liśćmi i owocami. Mam wrażenie, że odpowiadają dokładnie temu, co czuję - były w stanie się odrodzić, choć powoli umierały, zupełnie jak moje serce.

Drzwi otwierają się niemal od razu po tym, jak Reyna uderza w nie ręką.

Jej matka, która stoi w wejściu, jest zaskoczona i szczęśliwa. Obie mocno się obejmują.

– Znalazł ją pan! – zwraca się w moją stronę.

– Właściwie, to ona znalazła mnie. – stwierdzam.

Gdy znikają we wnętrzu domu, chce już zawrócić, ale Reyna łapie mnie za rękę i ciągnie za sobą do środka.

– Chodź. – mówi.

– Tak, oczywiście. – wtrąca jej matka. – Pan Crepusculum jest, naturalnie, mile widziany.

Nie sądzę, abym rzeczywiście był tam mile widziany, ale cóż, kobieta stara się być uprzejma.

Dom Reyny, choć piętrowy, jest niewielki. Wszyscy siadamy w małej jadalni, która chyba pełni również funkcję kuchni i salonu.

Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek w życiu czuł się tak zażenowany, jak teraz. Nie mam pojęcia, co tam robię.

– Na długo wróciłaś? – pyta matka Reyny, stawiając przed nami filiżanki kawy.

– Nie, nie na długo. – przyznaje. – Planuję wypłynąć wieczorem, najpóźniej jutro rano.

– Aż tak szybko?

– Jestem tu w jednej, konkretnej sprawie. – przyznaje Reyna.

– A Joy? Przyplłynął z tobą?

– Tak. Wraz z Heardem załatwia sprawy w porcie. Powinien niebawem do nas dołączyć. – zapewnia. – Chcieliśmy zdążyć przyplłynąć na jego urodziny, ale coś nas zatrzymało.

W tym samym czasie słyszę, jak drzwi do domu otwierają się i zamykają, a ktoś wchodzi do środka. Podejrzewam, że to ojciec Reyny. Ona sama wybiega, by się z nim przywitać, a jej matka rusza powoli za nią. Po chwili dobiegają mnie okrzyki zaskoczenia i radości. Nie słyszę, o czym rozmawiają, puki Reyna i jej rodzice nie pojawiają się na powrót w jadalni.

– ...jakiego gościa? – pyta ojciec Reyny, ale mój widok wystarcza mu za odpowiedź. Nie wygląda jednak na rozdrażnionego. Jeszcze. – A, pan Crepusculum. W pierwszej chwili obawiałem się, że macie na myśli tego szaleńca, z którym wypływałaś na rejsy próbne do pobliskich portów.

– Szaleńca? – spoglądam na Reynę pytająco.

– Daniela. – odpowiada mi ze śmiechem. – Wystawił mi później opinię ponadprzeciętnie pojętej i ambitnej i pewnie dlatego nikt nie protestował, gdy zgłosiłam się jako kapitan statku towarowego płynącego do Kraterii świeżo po zakończeniu nauki.

Mimowolnie zastanawiam się, co by było, gdybym cały ten czas był w Majarze. Czy to na moim statku Reyna odbywałyby próbne rejsy? Zaczynam podświadomie układać w głowie opinię, jaką bym jej wydał, ale pewnie zaznaczyłbym w niej, że Reyna ma lekką paranoję na tle umierania i nieuniknionej

śmierci. Z pewnością wówczas zabijanoby się o to, by wzięła udział w przeprawie przez Bestialskie Morze.

Rodzice Reyny wydają się być nieco skrępowani moim towarzystwem, ale sama Reyna zachowuje się i rozmawia tak swobodnie, że i oni po dłuższej chwili zaczynają przyzwyczajać się do mojej obecności.

– Co w takim razie sprowadza cię do Majaru, jeśli nie powrót do domu? – pyta jej ojciec.

– Potrzebny nam historyk. – oznajmia Reyna. Zastanawiam się, jak chce wytłumaczyć im, po co jej na statku historyk, ale oni wcale nie dopytują. – Ktoś zaufany. Myślałam, żeby zwerbować Rogera.

Jej rodzice patrzą po sobie zaskoczeni.

– Kiedyś się przyjaźniliśmy. – ciągnie. – Nie wiem tylko, czy zgodziłby się wypłynąć w morze, a nawet jeśli, to pewnie i tak jego żona się na to nie zgodzi. Chciałabym z nim pomówić pod jej nieobecność, ale przy moim szczęściu, to pewnie się nie uda. Nie wątpię, że pogoni mnie miotłą, klepiąc jakieś ochronne modły...

– Reyno, jego żona nie żyje. – odzywa się matka Reyny.

– Co takiego?

– Zmarła kilka miesięcy temu, przy porodzie. – wyjaśnia jej ojciec. – Może i byłbym w stanie jakoś ją uratować, ale wyraźnie nie zgadzała się, by zajmował się nią medyk, który wyszedł spod łask króla i którego najpewniej opętały jakieś ciemne moce. Jak ja nie znosiłem tej dziewczuchy! A Roger wyszedłby na tym wszystkim o wiele lepiej, gdyby jednak ożenił się z Reyną.

Patrzę w jej stronę pytającym wzrokiem, ale Reyna zawzięcie unika mojego spojrzenia.

– Właściwie, to nic straconego. – stwierdza jej matka. – Zważywszy, że żona Rogera nie żyje, a Reyna przynajmniej na chwilę wróciła. Jeszcze wszystko jest możliwe.

– Nie, to już raczej niemożliwe. – wtrąca Reyna, ale w jej głosie nie ma nawet cienia żalu. Całe szczęście, bo powoli zaczynała mnie niepokoić sprawa całego

tego Rogera.

– Może i nie widywaliście się od dawna, ale przecież byliście kiedyś dobrymi przyjaciółmi – ciągnie jej matka. – może dałoby się do tego wrócić.

– Nie, nie to miałam na myśli. – oznajmia Reyna i przez dłuższą chwilę szuka odpowiednich słów podczas gdy reszta patrzy na nią wyczekująco, ale że ich nie znajduje, podnosi tylko do góry rękę.

Jej rodzice wpatrują się w pierścionek zaskoczeni i to nie tylko dla tego, że wiedzą, co on oznacza, ale i dlatego, że w przeciwieństwie do Reyny są raczej świadomi, ile mnie kosztował.

– Ale kiedy... – zaczyna jej matka.

– Ale kto? – wtrąca jej ojciec.

– Ale to jest pierścionek zaręczynowy czy obrączka? – docieka jej matka, biorąc córkę za rękę i oglądając go ze wszystkich możliwych stron.

– Chyba oba w jednym. – stwierdza Reyna.

I wtedy spojrzenie jej matki, a zaraz potem i ojca przenosi się na mnie. Zdaje się, że w jednej chwili do nich obojga dociera, co tam robię i dlaczego w ogóle Reyna nalegała, żebym był obecny przy tej rozmowie.

– Słusznie się domyślam, że to pana poślubiła moja córka? – pytanie ojca Reyny skierowane jest w moją stronę.

Nie potrafię stwierdzić, czy jest na mnie wściekły, czy wręcz przeciwnie, więc kiwam jedynie głową na potwierdzenie.

Gdy zbliża się do mnie, przygotowuję się na to, że medyk znów da mi w twarz, zamieram w gotowości, by chwycić go w ostatniej chwili za rękę, ale cios nie następuje. Zamiast tego klepie mnie serdecznie po plecach, uśmiechając się przy tym, a ja muszę prędko odstawić filiżankę z resztą kawy w obawie, że wyleję mu ją na koszulę. Okazuje się, że podjąłem słuszną decyzję, bo już po chwili i matka Reyny traktuje mnie z równą wylewnością.

Wydawało mi się, że za mną nie przepadają, ale nie mam pewności, co takiego naopowiadała im na mój temat Reyna podczas mojej pięcioletniej nieobecności.

Cóż, przynajmniej nie mają mi niczego za złe.

– A teraz, bardzo was proszę – odzywa się dawny królewski lekarz. – opowiedzcie wszystko, co działo się odkąd tylko Reyna opuściła Majar ponad rok temu.

– To długa historia. – przyznaje Reyna, chyba nieświadomie bawiąc się pierścionkiem.

– Mamy się przygotować na jeszcze jakieś szokujące rewelacje? – dopytuje jej matka, co chwila zerkając na mnie z uśmiechem.

– Właściwie... – mówi Reyna nieco wymijająco, a jej wzrok błądzi po całym pomieszczeniu, byle z dala od wpatrujących się w nią z wyczekiwaniem rodziców. – Słyszeliście może o „Arachne”?



Po historyka udajemy się dopiero następnego ranka. Nie dość, że opowieść Reyny była naprawdę długa, to przerwało ją przybycie Joy'a, a to z kolei skradło sporo czasu na wylewne powitanie rodziców z adoptowanym synem. A potem jasno i wyraźnie dali nam do zrozumienia, że nie zamierzają nas wypuścić z powrotem jeszcze tego samego dnia i tak nasze plany musiały się nieco przesunąć.

– Skąd właściwie znasz tego historyka? – pytam podejrzliwie, gdy Reyna prowadzi mnie przez miasto do jego domu.

– Gdy mój ojciec pracował jeszcze u króla, miałam dostęp do pałacowej biblioteki. Tam go poznałam. Był ode mnie jakieś trzy czy cztery lata starszy, ale się zaprzyjaźniliśmy.

– Tak bardzo, że chcieli, byś się z nim zaręczyła?

– Ja... wiesz, jak w tym mieście jest traktowana moja rodzina. I jak ja sama byłam traktowana, nim rozpoczęłam Akademię Morską pod twoim nazwiskiem. Ludzie nas unikali. Bali się. Nie miałam zbyt wielu możliwości, dlatego liczono, że może Roger poczeka do przyjęcia z okazji mojego wkroczenia w dorosłość i mi się

oświadczy, ale cóż... Zrobił to podczas swoich własnych urodzin, ale to nie mi się oświadczył, a córce kowala. Właściwie, wiadome było, że jeśli nie on, to nikt inny i pozostawało mi tylko cieszyć się dniami, gdy jeszcze nie byłam dorosła, bo potem wszyscy tylko krzywo by na mnie zerkali... znaczy, krzywiej niż zwykle.

– Zatem, „Aquarius” był dla ciebie swego rodzaju ucieczką od tego wszystkiego?

Reyna uśmiecha się bez cienia wesołości.

– Albo „Aquarius”, albo ognisko, na które nikt nie przyjdzie i krzywe spojrzenia do końca życia. Po moim powrocie przynajmniej nikt nie pamiętał, że skończyłam już dwadzieścia lat. Choć przyznam, że nie wiem, co gorsze: zabobonni mieszczanie czy to, co spotkało mnie na tw... tamtym statku.

Jestem pewien, że nim ugryzła się w język, chciała powiedzieć „twoim statku”.

– Wiesz, ja chyba wybrałbym mieszczan. – przyznaję. Krytyka ludzi, którzy i tak byli negatywnie nastawieni do jej rodziny to raczej nic w porównaniu z porwaniem na płynący do Kraterii statek towarowy.

– Ale prezent urodzinowy miałam wyśmieniony. – zauważa.

– To znaczy?

– „Aquarius” się zatopił, a my trafiliśmy na Dalę. Inaczej... pewnie nigdy tak naprawdę bym cię nie poznała.

– Wiesz, chyba jednak zmieniam zdanie. – stwierdzam. – Wybrałbym „Aquariusa”.

Reyna posyła mi szeroki uśmiech, a po chwili stajemy przed domem jej znajomego historyka.

– Mam nadzieję, że masz jakąś dobrą historię, która zachęci zrozpaczonego wdowca do spakowania walizek i wypłynięcia w morze. – mówię, gdy Reyna puka do drzwi.

– Mam nadzieję, że w ogóle mnie rozpozna. – mruczy pod nosem w odpowiedzi.

Drzwi otwierają się i staje w nich mężczyzna niewiele młodszy ode mnie, choć wyglądający na znacznie starszego. Ma ciemne włosy, niechlujnie rozczochrane

i krótką brodę, jakby wygląd przestał już mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Jego twarz, po części ukrytą za wielkimi okularami, pokrywają drobne zmarszczki.

Na nasz widok marszczy brwi. Przygląda się Reynie dłuższą chwilę, po czym chyba w końcu ją rozpoznaje.

– Reyna? – pyta zdziwiony, jakby była ostatnią osobą, jaką spodziewał się widzieć.

– Możemy pomówić? – odzywa się. No tak, Reyna nigdy nie miała wybitnego talentu do prowadzenia konwersacji. Gdyby nie fakt, że ten mężczyzna nie ma bladego pojęcia, kim jestem, sam bym z nim pomówił.

– Wejdźcie. – mówi historyk po krótkim zastanowieniu, wciąż przypatrując się nam pytająco. – Pan jest kapitanem?

– To mój mąż. – przedstawia mnie Reyna. – Kapitan James Crepusculum.

– Roger. – historyk podaje mi rękę wyraźnie zmieszany. Może i on myślał, że Reyna chce odnowić ich znajomość dlatego, że jego żona nie żyje.

Historyk prowadzi nas do ciasnego salonu, bardzo podobnego do tego w domu Reyny. Panuje w nim bałagan, ale, choć jego żona zmarła ponoć dosyć niedawno, nie dostrzegam tam żadnych przedmiotów należących do kobiety. Zdaje się, że pozbył się już wszystkiego.

– Słyszałam, że Ariana nie żyje. – odzywa się Reyna, gdy siadamy przy starym, rozpadającym się stole o czterech zupełnie różnych nogach. – Przykro mi.

Roger wzrusza jedynie ramionami z obojętną miną. Może już się z tym pogodził. Może nie chce o tym rozmawiać.

– Dawno się nie widzieliśmy. – zauważa, wciąż patrząc na nas niepewnie. Zastanawiam się, czy Reyna na pewno nie ma wątpliwości, co do tego, że mógłby nam pomóc, a, co ważniejsze, że nie wyda Arachne ani jej kryjówki. – Podobno wstąpiłaś do Akademii Morskiej.

– Tak. – potwierdza Reyna. Ona też wydaje się skrupowana, chyba równie mocno, co ja wczoraj, gdy przez pół dnia przyszło mi siedzieć w towarzystwie jej rodziców. Wygląda na to, że od ich ostatniego spotkania minęło naprawdę sporo czasu.

– O czym chcieliście ze mną pomówić? – pyta w końcu wprost. Zdaje się, że i on nie ma siły ani ochoty na sztuczne uprzejmości.

– Czy nadal pracujesz w pałacu? Wciąż studiujesz historię? – pyta Reyna.

Roger kręci powoli głową.

– Nie pracuję już w pałacu. – przyznaje. – Ale staram się uczyć jak tylko mogę, zważywszy, że nie stać mnie, by udać się na uczelnię i dokończyć naukę.

Widzę na jego twarzy jakiegoś rodzaju wyrzut i chyba wiem, czym jest spowodowany. On i Reyna byli równie nisko urodzeni. Oboje nie mogli liczyć na zbyt wiele od życia. Może i studiował kiedyś historię, ale wyraźnie musiał przerwać. A Reyna, choć nie miała niczego, nagle wstąpiła do akademii i ukończyła ją ze stopniem kapitana. Nie mógł jednak wiedzieć, jakie okoliczności ją do tego doprowadziły.

– Dlaczego pytasz? – zwraca się do Reyny.

– Bo potrzebny nam historyk. – wyjaśnia.

– Do czego?

Reyna i ja przez chwile patrzymy po sobie, aż wreszcie to ja się odzywam, ostrożnie dobierając słowa.

– Odkryliśmy coś na pewnej wyspie. – mówię powoli. – Jakieś dawne malunki w sieci jaskiń. Zdaje się, że przedstawiają bogów z Wielkiej Dwunastki, ale to raczej nie miejsce kultu.

Przerywam na moment, widząc dziwną zmianę, jaka zaszła w twarzy niedoszłego historyka. Jego obojętna mina nieco się przekształciła, a w oczach pojawił się jakiś błysk.

Jeśli wciąż pozostawał pogrążony w żałobie, to najwyraźniej właśnie znaleźliśmy sposób, by go z niej wyciągnąć. Nie zdążyłem nawet szczegółowo opisać naszego znaleziska, by rozbudzić w nim ciekawość.

– Jaka to wyspa? – pyta, nieświadomie pochylając się do przodu, żeby nie uronić choćby słowa naszych wyjaśnień.

– Nie możemy ci teraz powiedzieć. – oznajmia Reyna. – Ale chcieliśmy spytać, czy może nie zechciałbyś tego zbadać. Wiem, że zawsze fascynowały cię

takie rzeczy. Wymagałoby to jednak od ciebie wypłynięcia z nami w morze nie wiadomo na jak długo. I dochowania kilku ogromnych sekretów.

– Mogę wypłynąć nawet jutro. – zapewnia Roger, nagle niezwykle poruszony.

– Jesteś pewien? – Reyna marszczy brwi.

– A po co mam tu tkwić? Nic tu mnie nie trzyma. Jeśli naprawdę trafiliście na jakieś nieodkryte dotąd malowidła... chce je zobaczyć. Nie ważne dokąd chcecie mnie zabrać, płynę z wami. Muszę tylko spakować swoje rzeczy. I trochę książek. Dużo książek.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 2
w Majarze*

Wszystkie potwory mają swoje słabości, zarówno te w morzu, jak i te na lądzie. Doświadczenie jednak uczy mnie, że wolę stawiać czoło tym w Bestialskim Morzu, niż ludziom. Te są bardziej przewidywalne.

James Crepusculum

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

BEZOKA KRÓLEWNA

– Przyznam, że gdy go zobaczyłem, nie sądziłem, że tak gładko nam pójdzie.
– oznajmiam, gdy wracamy do domu Reyny. Prowadzę ją tak okrężną drogą, jak tylko się da, by spędzić w towarzystwie jej rodziny tak mało czasu, jak tylko jest to możliwe, a ona, choć zdecydowanie rozgryzła mój plan, wyraźnie nie ma nic przeciwko. Odnoszę wrażenie, że ona również, choć z pewnością tęskniła za rodzicami, jest nimi zmęczona.

– Właściwie, to nic dziwnego. – zauważa. – Jest w żałobie i nie wie, co ze sobą zrobić. Chce się czymś zająć, a historia to jego pasja. Co ty byś zrobił, gdybym ja umarła?

– Pewnie wypłynąłbym w morze. – przyznaję, choć wolałbym nie rozważać możliwości śmierci Reyny.

– No i widzisz. Właściwie nie ma różnicy.

Chyba zaszliśmy już na północno zachodni kraniec miasta, bo budynki nagle się urywają, a pojawiają pola. Musimy zawrócić.

Długo jeszcze błądzimy ulicami miasta, gdy nagle na jednej z wąskich, pustych uliczek, które rankiem wypełniają się handlarzami, w oddali dostrzegam znajomą postać.

Choć widziałem tego mężczyznę tylko raz i to kilka miesięcy temu, od razu go rozpoznaję.

To ten szaleniec, który opowiadał mi o „Arachne”, nim jeszcze wyruszyłem na poszukiwania Reyny.

W pośpiechu ciągnę ją do najbliższego zaułka.

– Wiesz – odzywa się, spoglądając na mnie spod zmarszczonych brwi. – wyszłam za ciebie między innymi po to, byś nie musiał ciągać mnie po ciemnych uliczkach za każdym razem, kiedy chcesz mnie pocałować.

– Zobaczyłem kogoś. – wyjaśniam pośpiesznie.

– Kogo? – Reyna momentalnie poważnieje.

– Mężczyznę, który sprzedał mi informacje o „Arachne”. – mówię. – Zdaje się, że nie jest do końca przy zdrowych zmysłach, ale nie możemy ryzykować, że cię rozpozna.

Reyna kiwa głową.

Odwracam się w stronę wylotu uliczki z zamiarem wyrzucia czy ten człowiek już zniknął, ale gdy to robię, nagle całkowicie nieruchomieję.

Mężczyzna, który widział „Arachne”, stoi na ulicy z której właśnie umknęliśmy, blokując nam wyjście z zaułka i wpatruje się w nas szeroko otwartymi oczami. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że czai się w nich szaleństwo.

– Arachne. – mówi, patrząc wprost na Reynę.

Nie mam pojęcia, jak ją rozpoznał. Jest ubrana dość normalnie. Jej włosy są rozpuszczone i nieco rozczochrane, co nadaje jej twarzy odmienny wygląd, niż ciasno związany kucyk. A jednak ją poznał.

– Chyba oszalałeś, to moja żona. – mówię i, korzystając z jego chwilowego ośpienia, prowadzę Reynę byle dalej od tego człowieka.

On jednak zdaje się być święcie przekonany, co do swojej racji. Co gorsza, na ulicę wkracza właśnie para strażników patrolująca miasto. Mężczyzna rusza prosto do nich.

– Nie uwierzą mu, że jestem Arachne, prawda? – pyta szeptem Reyna, nie spuszczać z oczu rozmawiających mężczyzn.

– Nie. Pewnie uznają, że jest bezdomnym wariatem. – zapewniam. – Ale mogą wziąć nas na przesłuchanie dla rozwiania wszelkich wątpliwości.

– Ale wyłgamy się z tego, prawda?

– Tak. Tylko... będą pewnie chcieli obejrzeć twój okręt.

– Jest na nim cała moja załoga. – zauważa Reyna. – Jeśli wezmą ze sobą świadków, ludzi, którzy byli na napadanych przeze mnie okrętach... oni ich rozpoznają.

– Raczej tak.

– Czyli... tak czy inaczej wyda się, że kapitan Arachne to ja?

Nie wiem dlaczego potwierdzenie nie chce przecisnąć mi się przez gardło. To byłby koniec nas w Majarze.

To jest koniec.

– Więc, czy najlepszym wyjściem nie byłoby zwiewać? – proponuje Reyna.

– Owszem. – przyznaję i rzuca się do ucieczki.

– Stać! – dopiero po dłuższej chwili słyszymy głosy strażników.

– Dokąd biegniemy? – pyta Reyna, bo nasza trasa nawet mi wydaje się całkowicie przypadkowa.

– Musimy się gdzieś ukryć. – mówię, choć nie mam pojęcia gdzie. Moje mieszkanie odpada, bo na pewno je przeszukają. Dom Reyny to także nie najlepszy pomysł, bo w końcu na pewno odkryją jej tożsamość i tam właśnie będą jej szukać.

– W lewo. – rzuca pospiesznie Reyna i gnamy teraz wprost w stronę dzielnicy bogatszych mieszkańców miasta. Chwilami mam wrażenie, że migają mi z daleka fragmenty uniformów strażników, a ich krzyki nie odstępują nas na krok.

– Masz jakiś konkretny plan? – pytam.

– Spróbujemy przycziąć się w domu Hearda. – wyjaśnia. – To niedaleko.

– Heard mieszkał w tej dzielnicy? – nie dowierzam.

– Tak.

– On... ma nazwisko?

– Ma, ale zabije mnie chyba, jak ci zdradzę jakie. Sam musi to zrobić, jeśli będzie chciał. Chyba, że się domyślisz.

– Nie znam miejsca zamieszkania każdego człowieka w Port–Majar. – zapewniam. – Ale Heard... jest bogaty, świetnie walczy szablą, ukończył Akademię Morską... zaskoczysz mnie czymś jeszcze?

– Zapominasz, że nieźle gra na flecie.

– No tak, jeszcze to.

– To tam. – oznajmia Reyna, wskazując budynek mniej więcej w połowie ulicy.

– Jesteś pewna, że nam pomogą?

– Myślę, że tak. Gdy siostra Hearda była chora, uparł się, by nie wzywać żadnego innego medyka, niż mojego ojca. Ja i Heard przyjaźniliśmy się już wtedy, dlatego chciał nam pomóc. Byłam tu kilka razy, znają mnie. – wyjaśnia, zatrzymując się przed drzwiami i energicznie w nie stukając.

Nikt jednak nie odpowiada.

– No, dalej. – mruczy Reyna, ledwo mogąc ustać spokojnie na nogach.

– To na nic, nie ma ich. – mówię, ciągnąc ją z powrotem na ulicę. W międzyczasie przychodzi mi do głowy pewien pomysł. – Jeśli się nie mylę, mieszka tu ktoś jeszcze, do kogo możemy się udać.

– Kto?

– Na końcu ulicy szukaj domu, który wygląda twoim zdaniem, jakby mieszkał w nim kapitan.

– Jakiś twój znajomy? – pyta Reyna, unosząc brwi.

– Ktoś, kto może dałby radę nam pomóc. – stwierdzam.

Gdy mijamy dom, w którym rzekomo mieszkał kiedyś Heard, w oczy rzuca mi się coś, o czym Reyna najwyraźniej zapomniała: nazwisko na skrzynce pocztowej.

Nazwisko, które sprawia, że na ułamek sekundy zamieram.

– Och. – wyrywa się Reynie, gdy podąża za moim wzrokiem.

Wiem już, jak nazywa się jej zaufany sternik, który nigdy nie podaje swojego nazwiska.

Heard Beckwith.

Gdy ruszamy pędem w górę ulicy, proszę ją o wyjaśnienie.

– Miałeś rację, że Beckwith wykupywał niewolników na czarnym rynku. W ogóle maczał palce w wielu nielegalnych działaniach, a porwanie mnie nie było pierwszą zbrodnią, jaką popełnił. – mówi. – Szczęście, że jedyne, co łączyło go z jego bratankiem, to zamiłowanie do morskich podróży.

– Zatem jego bratanek...

– To Heard. – kończy Reyna.

– Mówiłaś, że jego rodzice cię znają i nam pomogą. Jakim cudem okazywali ci jakiegokolwiek przejawy sympatii, skoro zabiłaś ich krewnego? – pytam, bo nie chce mi się w to wierzyć.

– Nie wiedzą o tym. – mówi cicho Reyna, jakby bojąc się, że dobiegnie to uszu ludzi, których i tak wyraźnie chwilowo tu nie ma.

– A Heard?

– Heard wie. Ale on gardził swoim stryjem i jego działaniami. Nigdy nie podaje swojego nazwiska, chyba, że absolutnie musi, bo nie chce by ktokolwiek go z nim łączył.

Zastanawiam się, jak doszło do tego, że Reyna zaufała mu tak bardzo, ale to nie jest odpowiedni moment, by prosić ją o więcej szczegółów jej poczynań z ostatnich pięciu lat. Strażnicy miejscy depczą nam po piętach.

Nie jestem pewien, czy to na pewno ten adres, ale gdy po krzykach strażników mogę stwierdzić, że znajdują się zdecydowanie za blisko, dla odmiany to ja dopadam do drzwi i łomoczę w nie tak mocno, jakby świat miał się skończyć, jeśli zaraz ktoś nam nie otworzy.

Tym razem jednak drzwi się otwierają.

Stoi w nich dość młodo wyglądająca kobieta, o oliwkowej cerze i orzechowych włosach, niedbale zwiniętych na karku. Jest ubrana w elegancką sukienkę, ale, nie ważne jak pięknie by się prezentowała, nie można nie zwrócić uwagi na jej twarz. Jej prawe oko zasłania haftowana opaska.

Bezoka królewna.

– Kim jesteście? – pyta, zerkając bardziej w moją stronę, niż Reyny i po chwili wiem już dlaczego. Wciąż mam na sobie swój kapitański płaszcz. – Mojego narzeczonego nie ma. Wypłynął w morze i wróci dopiero za kilka tygodni.

– My... właściwie do pani. – wyjaśniam pospiesznie, nerwowo oglądając się za siebie.

– Czy to ma coś wspólnego z tym harmiderem, który ciągnie się za wami od kilku ulic? – pyta, marszcząc brwi.

– Ktoś mi powiedział, że, jeśli będę kiedykolwiek w potrzebie, może pani mi pomóc. – mówię.

– Kto taki? – interesuje się.

– Graham i lady Adeline są bezpieczni w Kraterii. Przesyłają pozdrowienia.

Jedyne oko Bezokiej Królowny otwiera się szeroko, po czym kobieta odsuwa się, przepuszczając nas w drzwiach. Zamyka je dokładnie w chwili, gdy strażnicy wbiegają na ulicę.

– Pozwoli pan, że zapytam raz jeszcze, z kim mam przyjemność? – pyta, prowadząc nas do salonu zupełnie odmiennego od tych w domach Reyny i Rogera. Znacznie większego i wypełnionego drogimi, eleganckimi meblami.

Muszę przyznać, że jak na dawną niewolnicę, skończyła całkiem nieźle.

– Jestem kapitan James Crepusculum. To moja żona, Reyna.

– Gdzie poznaliście Grahama?

– Na statku, na który go pani wysłała. – wyjaśniam, nie trwoniąc czasu na uściślanie, że Reyny nie było wówczas ze mną.

– Tam już był jeden kapitan. I wiem dobrze, że nie był to pan. – zauważa podejrzliwie.

– Nie, kapitanem był pani narzeczony. Ja byłem pasażerem.

Bezoka Królowna wydaje się być zadowolona z tej odpowiedzi, bo każe nam usiąść.

– Dlaczego was ścigają? – pyta.

– Pewien szalowiec rozpoznał w mojej żonie kapitan Arachne i nasłał na nas strażników. – wyjaśniam.

– A jest pani kapitan Arachne, pani Crepusculum? – kobieta zwraca się do Reyny.

Nie jestem pewien czy, jeśli jej o tym powiemy, sama nie wyda nas strażnikom, ale potem przypominają mi się słowa Grahama, który zapewniał, że ona sama była w równie wielkim bagnie. Patrzą więc na Reynę i kiwam głową.

– Jestem. – mówi Reyna. – To ja jestem kapitan Arachne.

– I, choć zupełnie mnie nie znacie, wierzycie, że dochowam waszej tajemnicy? Tajemnicy takiej wagi? – pyta, z gracją siadając naprzeciwko nas.

– Zdaje się, że dochowała już pani nie jednej podobnej. – zauważam. – I, szczerze, liczymy na pani pomoc.

– Musi coś w panu być, jeżeli Graham zdradził panu swoje tajemnice i polecił, by w potrzebie udał się pan do mnie. – stwierdza.

– Chyba po prostu dostrzegł we mnie desperata, którym w tamtej chwili byłem.

Kobieta przez chwilę się zastanawia.

– Pomogę wam, ale chcę znać waszą historię. – oznajmia w końcu.

– Jaką historię? – pyta Reyna.

Bezoka Królowna wzrusza ramionami.

– Pani jest kapitan Arachne. Pani mąż to legendarny kapitan Crepusculum. Pewnie macie nie jedną ciekawą historię do opowiedzenia.

– Powinniśmy się spieszyć. – wtrącam, zerkając nerwowo w stronę okien. Ulica aż roi się od strażników. – Musimy opuścić Port–Majar tak szybko, jak to możliwe.

– Na razie niemożliwym jest, byście opuścili ten dom. – zauważa. – Chyba, że marzy wam się udać prosto na stryczek.

– Jeśli zaczną przeszukiwać domy... – odzywa się nagle Reyna przerażonym głosem.

– Nie zaczną. – uspokaja kobieta. – Domyślam się, że pochodzi pani z innej części miasta. Tam może i tak by zrobili, ale tutaj nikt się na to nie poważy.

Reyna nie wygląda na przekonaną.

– Ma pan rację mówiąc, że powinniście opuścić miasto najszybciej, jak to możliwe. A najlepiej i cały Majar – oznajmia Bezoka Królowna. – Ale, puki co, nie przejdziecie tą ulicą niepostrzeżenie. Gdy znikną stąd strażnicy, pomogę wam przemknąć się do portu i załatwię transport do innego kraju.

– Właściwie, to mamy statek. – zauważam. – I, obawiamy się, że go przeszukają.

– Z pewnością tak właśnie zrobią. Ale to nie słynna „Arachne”, prawda?

– Nie. – zapewniam pospiesznie.

– Nie przeszukają go tak szybko. Najpierw będą przetrząsać ulice. Potem może zaczną grzebać, żeby ustalić wasze tożsamości, choć nie wątpię, że rozpoznano pana, panie Crepusculum, co nieco ułatwi im zadanie. Dopiero wtedy może zauważą, iż w porcie zacumowany jest pana okręt.

Nie wyprowadzam jej z błędu, tłumacząc, że to okręt Reyny, bo to właściwie nie ma znaczenia. Szczególnie, że zgłosiła go pod swoim nowym nazwiskiem.

– Na statku nie ma niczego, co mogłoby powiązać cię z „Arachne”? – zwracam się do Reyny.

– Prócz załogi. – stwierdza cierpko.

– Miejmy zatem nadzieję, że jakoś sobie poradzą.

– Dlaczego nas pani nie wyda? – pyta nagle Reyna. Nie winę ją za dezorientowanie, zważywszy, że nie wyjaśniłem jej ani kim są Graham i lady Adeline, ani skąd właściwie wiem o Bezokiej Królewnej.

– Bo sama nie chciałabym być wydana w waszej sytuacji. – wyjaśnia, uśmiechając się lekko. – Znacie moją historię, prawda?

Kręcę przecząco głową.

– Graham niewiele mi powiedział. Zapewnił, że jeśli opowie mi więcej, zabrzmiałoby to niedorzecznie, więc jeśli chciałbym poznać tę historię, musiałbym usłyszeć ją od pani.

Bezoka Królowna śmieje się pod nosem.

– Cóż, to prawda, że to niedorzeczna historia. – przyznaje. – Ale mogę wam ją opowiedzieć, jeśli chcecie. Mamy sporo czasu, nim strażnicy przeniosą się z poszukiwaniami w inne części miasta. Ale opowieść za opowieścią. Będziecie mi winni waszą.

– Co jeśli do tego czasu zamkną port i nijak już nie będziemy mogli uciec? – pyta ostrożnie Reyna.

– Żeby zamknąć port i uniemożliwić wypłynięcie wszystkim cumującym w nim statkom, musieliby otrzymać rozkaz bezpośrednio od króla. Puki co nie sądzę, byśmy musieli się tym martwić. – stwierdzam.

– Zatem zgoda. – przystaje Reyna, spoglądając na Bezoką Królową z ciekawością.

– Wiecie, że byłam niewolnicą na okręcie płynącym przez Bestialskie Morze?
– pyta, a ja kiwam potwierdzająco głową. Reyna jednak mruga zaskoczona i przypatruje się jej jeszcze bardziej zaciekawionym wzrokiem. – Jestem z południa. Uciekłam z domu, ale złapał mnie jakiś majarski handlarz. Odsprzedał mnie ludziom, którzy handlowali osieroconymi dziećmi, sprzedając je rodzinom, chcącym je adoptować. Kupił mnie pewien krawiec, choć sam był dość biedny, ale żyło mi się u niego znacznie lepiej niż w rodzinnym domu. Oczywiście, dopóki mnie nie aresztowano. To w Majarze załadowali mnie na statek, którym miałam odbyć ostatnią w moim życiu podróż. Jeśli pozwolicie, nie będę wdawać się w szczegóły tego, jak wyglądała. Nie jest to coś, co lubię wspominać.

– To zrozumiałe. – stwierdzam, choć z nas dwojga Reyna zdecydowanie rozumiała ją znacznie lepiej niż ja.

– Byliśmy już blisko Kraterii, została tylko charybda. – ponawia opowieść Bezoka Królowa. – I wtedy wyciągnięto mnie na pokład. Pamiętam, że na początku ledwo co widziałam, bo moje oko po trzech tygodniach zdążyło przywyknąć do mroku, a odzwyczaić od światła.

– Myślałam, że to na statku je pani straciła. – wtrąca Reyna.

– Straciłam je w więzieniu. – wyznaje Królowa. – A tam z kolei trafiłam po tym, jak przyłapano mnie na kradzieży. Jak wspominałam, mój ojciec jest krawcem i nie zarabia wiele. Ledwo wiązaliśmy koniec z końcem, więc kradłam, bo zdarzało się, że mogliśmy przeżyć tylko dzięki temu. Ale, wracając do opowieści: oficer i jeden z marynarzy prowadzili mnie przez pokład do czekających kapitana i topicielki. Wszyscy na statku patrzyli na mnie z obrzydzeniem, bo moja rana źle się zagoiła i wyglądałam wybitnie szkaradnie. Popchali mnie w stronę kapitana, a ja zatoczyłam się i niemal roztrzaskałam sobie głowę o barierkę. Kapitan mnie

złapał. Stał tuż przede mną, a, że ja wciąż byłem pochylona, miałam doskonały widok na jego perfekcyjnie wypastowane buty. Okrutnie mnie to zdenerwowało. Ja, której ledwo starczało na życie i musiałam kraść, by przetrwać, za co złapano mnie i skazano na najgorszy rodzaj śmierci i on, który jedyne, co musiał robić, to wydawać rozkazy i machnięciem ręki skazywać ludzi na śmierć... Naplułam mu wtedy na te idealne buty.

Kątem oka dostrzegam, że Reyna uśmiecha się pod nosem. Mam nadzieję, że nie wyobraża sobie właśnie, co by się stało, gdyby lata temu na „Aquariusie” to ona napluła na moje buty.

– Gdy oddawał mnie w ręce topicielki, powiedziałam mu, że nie różni się niczym od tych bezmózgich bestii, które czekają na mnie pod wodą. Odpowiedział mi jedynie jakimiś bredniami o konieczności i obowiązku. Wtedy dałam mu w twarz. Złapał mnie za rękę i byłem pewna, że złamie mi ją albo wykręci, ale on nie zrobił nic, nawet wówczas, gdy topicielka oznajmiła, że się zbliżamy i, że na mnie już pora. Kapitan wydał jakiś rozkaz, tylko nie usłyszałam już jaki, bo oficer rzucił się w naszą stronę, zdzielił mnie w głowę i zemdlałam. Obudziłam się, o dziwo żywa, w kapitańskiej kajucie. Moje oko było zabandażowane, a wszelkie rany jakie miałam, opatrzone. Kapitan, we własne osobie, siedział przy biurku, jakby nigdy nic. Gdy zobaczył, że się ocknęłam, zapytał, czy wszystko w porządku i przeprosił, że nic więcej nie udało się zdziałać okrętowemu medykowi jeśli chodzi o moje oko. Pamiętam, iż uznałam wówczas, że mi odbiło. Gdy spytałam, co go skłoniło do tego, by mnie ocalić, powiedział, że to, że nie dałam się złamać. Że nie zmieniałam się w prymitywne stworzenie, które zrobi wszystko dla wolności, drapiące po ścianach celi, z poharatanymi, obdartymi ze skóry dłońmi i połamanymi paznokciami, szukające ucieczki z pokładu nie wiążącej się z pożarciem przez potwory. Ja po prostu stałam tam, gotowa na swój los, ale z ogniem w oczach i plułam mu na buty. Gdy przybyliśmy do Kraterii oznajmiłam mu, że i tak mnie nie ocalił. W Majarze byłem przestępczynią, nie miałam grosza przy duszy i w Kraterii skończyłabym na ulicy. Może i ocalił mnie od śmierci na morzu, jednak w końcu i tak przyszyłoby mi umrzeć z głodu. Ale on nie pozwolił mi

odejść. Zabrał tutaj, pozwolił mieszkać w tym domu, ofiarował wszystko, o czym nigdy mi się nie śniło. Ludzie nazwali mnie Bezoką Królewną, bo byłam nikiem, lecz nagle los uśmiechnął się do mnie tak bardzo. Sądzę, że to przezwisko z początku podszyte było kpina, ale przyłgnęło do mnie i w gruncie rzeczy nie przeszkadza mi, że tak na mnie mówią. Nie powiązują mnie dzięki temu z osobą, którą byłam kiedyś. – wzrusza ramionami. – A mnie to pasuje.

– Jak nazywa się pani naprawdę? – pytam.

Kobieta nie odpowiada.

Już wcześniej wiedziałem, że nie pochodzi z Majaru. Jej oliwkowa skóra przywodzi na myśl raczej moje rodzinne strony, zresztą pokrywałoby się to z jej opowieścią. A ta, w jednym, maleńkim momencie, pokrywała się z moją.

Chcę wiedzieć więcej.

– Może pani opowiedzieć jeszcze o swojej rodzinie? – nalegam.

– Mówiłam już, mój ojciec jest krawcem...

– O tej prawdziwej rodzinie. – przerywam.

– To jest prawdziwa rodzina. – oznajmia z uporem.

– Dlaczego uciekła pani z domu? Sam jestem z południa i wiem, że mało kto jako dziecko poważiłby się na taki krok.

– Jeśli pan stamtąd pochodzi, wie pan, dlaczego to zrobiłam. – stwierdza.

– Doskonale. I, jeśli nie ma pani nic przeciwko, chciałbym o tym posłuchać.

Dla mnie to kwestia dość osobista.

– Sądziłam, że nie lubisz do tego wracać. – wtrąca Reyna półgłosem i posyła mi ostrzegawcze spojrzenie. Jasno daje mi do zrozumienia, bym nie naciskał, skoro ta kobieta oferuje nam pomoc, ale nie wie jeszcze, o czym myślę.

Noria to w większości dziura, w której, jeśli nie jest się kimś ważnym, klepie się biedę. Nie wyobrażam sobie któregośkolwiek z dzieciaków z dzielnic podobnych do tej, w której się wychowywałem, ot tak uciekającego z domu, wiedzącego, że nigdzie nic na niego nie czeka. Chyba, że... chyba, że usłyszałyby już o tym, że ktoś tego dokonał. I, że dobrze na tym wyszedł.

– Uciekłam, bo miałam dość rodziców i braci. Nawet po tym, jak ojciec zmarł, wciąż słuchałam tylko o tym, że jestem nikim i z pewnością skończę jak ten mój cholerny brat, który uciekł dawno temu i już nie wrócił. Nie wiem, co go spotkało, ale co by to nie było, bez wątpienia było lepsze, niż życie w tamtej dziurze. Postanowiłam pójść w jego ślady.

– Ile miała pani lat, gdy odszedł? – pytam, ale mój głos brzmi dziwnie obco. Sam czuję się dziwnie z dziko szalejącymi myślami, które, jeśli zaraz nie zostaną potwierdzone, chyba rozsadzają mi czaszkę. – Pamięta go pani?

– Miałam ledwo kilka lat, zupełnie go nie pamiętam. Słyszałam tylko w kółko od matki, jaki to był niewydarzony i od starszego brata, żebym mu nie podskakiwała, bo skończę jak mały James. Byli pewni, że szybko pożegnał się z życiem, ale podejrzewam, iż tak naprawdę nie mieli pojęcia o jego dalszym losie i mówili tak tylko, by mnie nastraszyć.

– Jesteś Aurea. – mówię, a na, jak dotąd nieco podirytowanej moimi pytaniami twarzy Bezokiej Królowej, pojawia się grymas zaskoczenia.

– Skąd pan to wie? – pyta podejrzliwie. – Nie wyjawiam każdemu swojego imienia. Graham też go nie znał. Kto je panu podał?

– Nikt mi go nie podawał. – mówię. – Po prostu... zdaje się, że to ja jestem „małym Jamesem”.

Aurea długą chwilę przygląda mi się bez słowa, nie ulega jednak wątpliwościom, że właśnie stara się poukładać sobie wszystko w głowie.

Przez dłuższy czas towarzyszy mi tylko cisza i spojrzenia dwóch kobiet, które siedzą ze mną w tym wypełnionym luksusem salonie - zaskoczone i pytające Reyny oraz takie, którego nie jestem w stanie rozgryźć, należące do mojej siostry.

– Naprawdę ukradłeś matce wszystkie pieniądze ze skrytki, w której chowała je przed ojcem? – pyta po chwili Aurea. Muszę przyznać, że jak na pierwsze słowa wypowiedziane po takiej rewelacji, są dość zaskakujące. Kiwam jednak głową na potwierdzenie.

– Tak tylko się upewniam. – mówi. – Zastanawiałam się, czy to prawda, czy jedno z licznych kłamstw, jakimi od zawsze raczyła mnie matka. Zdaje się, że

chciała w ten sposób wmówić mi jaki to podły i niewydarzony jesteś, ale sprawiła tylko, że podziwiałam cię jeszcze bardziej.

– Za te pieniądze poszedłeś do akademii, prawda? – wtrąca Reyna.

– Stanowiły znaczny fragment mojego wpisowego. – potwierdzam. – Mówiłem ci przecież, że część ukradłem.

– Przynajmniej się na coś przydały. – stwierdza Aurea pod nosem. W końcu zwraca się do mnie i do Reyny.

– Pora na waszą opowieść. – mówi, przypatrując mi się wyczekująco.

Reyna uśmiecha się lekko i zaczynamy od samego początku.



Gdy kończymy naszą historię, opowiadając ją na przemian i nawzajem uzupełniając to, o czym zapomniało drugie, na zewnątrz wciąż kręci się kilku strażników.

– Cóż, zdaje się, że mnie przebiliście. – oznajmia Aurea. – Powinniście to wszystko kiedyś spisać.

– Może to nie nasze zadanie. – stwierdzam i wyjmuję z wewnętrznej kieszeni płaszcz swój dziennik.

Bezoka Królowna wydaje się być zaskoczona, gdy go jej podaję.

– Nie będzie ci już potrzebny? – pyta.

Nie przywitała faktu, że jest moją siostrą, ze zbędnym wzruszeniem i wylewnością, ale zupełnie jej się nie dziwię. Właściwie się nie znaliśmy. Sam pamiętam ją tylko jako kolejne dziecko w naszym domu, którym nikt nie chciał się zajmować.

– Ten nie. Założę nowy, na nową opowieść. Z tego możesz korzystać, jeśli naprawdę chcesz spisać historię kapitana Crepusculum i kapitan Arachne. Weź go w ramach podziękowania.

Aurea przyjmuje dziennik i wreszcie uśmiecha się do mnie blade. Może jeśli uda jej się opowiedzieć naszą historię, świat w końcu uzna nas kiedyś nie za złoczyńców, a za bohaterów.

– Moje dzienniki są na statku. – wtrąca Reyna. – Ale również mogę je pani dać, jeśli uda się pani z nami do portu.

Aurea uśmiecha się do niej z wdzięcznością.

– Właściwie... – zwraca się do mnie Reyna. Słuchanie o wydarzeniach ostatnich lat z jej perspektywy sprawiło, że spojrzałem na niektóre kwestie zupełnie inaczej. Zdaje się, że ona również. – Dlaczego tak naprawdę posłałeś mnie do akademii? Nie wiedziałeś, że zostanę kapitanem. O co tak naprawdę ci chodziło?

– Posłałem cię do akademii, bo chciałem mieć cię blisko siebie. Nie sądziłem, że porwiesz się na bycie kapitanem, po prostu, po ukończeniu nauki i moim powrocie mogłabyś dołączyć do mojej stałej załogi.

– Ty nie masz stałej załogi, James. – zauważa.

– Wtedy bym miał. Choć składałaby się ona na początku tylko z jednej osoby. Reyna uśmiecha się pod nosem.

– Więc posłałeś mnie do akademii nie po to, bym spełniła swoje marzenia o podróżach, a po to, bym mogła wypływać razem z tobą?

– Pamiętaj, że w gruncie rzeczy jestem okropnym egoistą. Jako kapitan króla niemal stale musiałem wypływać w morze. – wyjaśniam. – Ale nie narzekam, uwielbiałem to. Tyle, że wówczas nie mógłbym być z tobą. Usilnie próbowałem połączyć te dwie rzeczy i wyszła mi z tego akademia.

– Wiesz... czasem zastanawiałam się, czy nie zapisałeś mnie tam z bardziej prywatnych powodów, ale wówczas sądziłam, że chciałeś właśnie abym została kapitanem i otrzymała nazwisko, bo wtedy bylibyśmy pod tym względem równi. Wciąż pozostawałaby kwestia różnicy pięciu lat, ale ją łatwiej byłoby zignorować. Potem przeklinałam się w myślach za tak naiwne marzenia, ale jak widać nie były do końca takie bezpodstawne.

– Może i to miałyby sens. – przyznaję. – Musiałbym przekupić jakiegoś urzędnika, ale wówczas...

– Jeszcze jednego nie pojmuję. – przerywa mi Reyna, może i dobrze, bo rozważania, „a co gdyby” nie mają w tej chwili już żadnego znaczenia. W końcu znaleźliśmy sposób by być razem. – Pieniądze na statek. Zostawiłeś mi pieniądze na statek. Po co, skoro nie wiedziałeś, że będę kapitanem?

– Nie na twój statek. Na mój statek. Zostawiłem ci pieniądze, za które zamierzałem po powrocie kupić statek, taki, będący tylko i wyłącznie moją własnością, na którym wypływalibyśmy, gdybyś przyłączyła się do mojej załogi. Miałem zrobić to osobiście, ale, że król od razu wysłał mnie na południe, pozostawiłem w banku depozyt z poleceniem, by wydali pieniądze tobie, jak już skończysz naukę.

– Kiedy zostawiasz mi pieniądze i wiadomość, że są przeznaczone na statek, to rozumiem, że mam przeznaczyć je na statek. Trzeba było zostawić mi list i napisać w nim: „Hej, tu masz trochę jednostek na m ó j statek. Nie kupuj za nie przypadkiem statku dla siebie.” Wtedy uniknęlibyśmy niejasności.

– Nie mam ci za złe, że kupiłaś za nie statek na siebie, a nie na mnie. – zapewniam. – Po prostu nie sądziłem, że kiedykolwiek będziesz chciała zostać kapitanem.

Gdy spoglądam przed siebie, nagle przypominam sobie o obecności siostry. Aurea przysłuchuje nam się uważnie z bezwiednym uśmiechem na ustach. Zaczynam się zastanawiać, jakimi nieuwzględnionymi w dzienniku szczegółami ubarwi naszą historię.



Strażnicy znikają sprzed domu, nim Bezoka Królowna kończy pracę nad wyglądem Reyny. Włosy ukryła jej pod pomarańczową chustą, a twarz przypudrowała na tyle mocno, by nie dało się na pierwszy rzut oka dostrzec, co słońce zrobiło jej skórze. Gdy tylko kończy, przygląda mi się krytycznie i oznajmia, że w moim przypadku niewiele da się zrobić. Wciska mi jedynie na nos

stare, zapasowe okulary swojego narzeczonego i pożycza torbę, do której mogę schować płaszcz.

– Powiedz mi, James – odzywa się, wyglądając przez okno. – dużo osób wie, że się ożeniłeś?

– Tylko jej rodzice. – przyznaję, po czym przypominam sobie coś jeszcze. – I jakiś przypadkowy pracownik portu.

– Zakładasz, że mógł rozpowiedzieć to dalej?

– Mógł i na pewno to zrobił. – stwierdzam.

– To pewna niedogodność. – zauważa Aurea.

– Właściwie, mogliśmy jej uniknąć. – oznajmiam, zerkając na Reynę. – Nie musiałaś mu podawać nazwiska.

– Nie. Ale to zrobiłam. Z czystej próżności. – przyznaje, po czym dodaje, nim jeszcze zdążę coś na to odpowiedzieć. – Nie możesz mnie za to winić, pod tym względem niewiele się różnimy.

– Często tak uroczo się sprzeczacie? – pyta Aurea, otwierając drzwi.

– Dopiero od niedawna. – oznajmia Reyna. – Wcześniej kłóciliśmy się tak, że mało co się nie pozabijaliśmy.

Gdy przypominam sobie wydarzenia z „Aquarius” i pierwszych dni na Dali, niestety nie mogę się z nią nie zgodzić.

Aurea nakazuje nam gestem wyjść. Zdaje się, że ulica jest czysta.

– Jest pani turystką z zachodu. – mówi do Reyny, a mnie chwyta pod rękę. – Jakby kogoś to obchodziło. A na ciebie nie zwrócą nawet uwagi, beznadziejnie wyglądasz w okularach.

– Beznadziejnie też w nich widzę. – przyznaję.

Choć Aurea ignoruje moje stwierdzenie, chyba jest tego świadoma. Sensu nabiera fakt, że prowadzi mnie pod rękę.

– Nikt nie powinien was niepokoić, zważywszy, że jesteście w moim towarzystwie. – oznajmia.

O dziwo całą drogę do portu pokonujemy bezpiecznie. Tylko raz natykamy się na dwójkę strażników, którzy jedynie kiwają głową Bezokiej Królownie i idą dalej

w swoją stronę.

Ku mojej ogromnej uldze, tego dnia w porcie natykamy się na zupełnie innego pracownika.

Gdy tylko wchodzimy na pokład Reyna rusza biegiem w stronę Joy'a.

– Całe szczęście, że tu jesteś. – mówi.

– A gdzie miałbym być? – chłopak marszczy brwi.

– Myślałam, że jesteś w domu. – wyjaśnia. – Nie jest dobrze. Jakiś człowiek mnie rozpoznał, musimy uciekać.

– Mamy przygotować się do podniesienia kotwicy? – pyta Heard, przysłuchujący się całej rozmowie, Reyna jednak powstrzymuje go ruchem ręki.

– Jeszcze nie. Joy, musisz coś dla nas zrobić.

– Jasne. Co takiego?

Chwilę później Reyna wraca na pokład ze swojej kajuty i podaje mu dziennik, który obiecała Bezokiej Królownie. Może rzeczywiście Aurea opíše kiedyś historię dwojga ludzi, których dzieliło znacznie więcej niż tylko morze i którzy, nawet gdy już się znaleźli, tak naprawdę nie potrafili się odnaleźć.

– Przekaż to kobiecie czekającej w porcie. Poznasz ją bez trudu, na jednym oku ma przepaskę. A potem opuść port, powoli, nie wzbudzając żadnych podejrzeń i dopiero za zakrętem biegnij do domu Rogera, pamiętasz, jak kiedyś ci pokazywałam, który to?

Joy kiwa głową.

– Ten historyk? – upewnia się.

Reyna potakuje.

– Powiedz mu, że sprawy się pokomplikowały i musimy odpłynąć natychmiast. I, że jeśli jest pewien, że chce z nami płynąć, musi się spieszyć. Przeprowadź go tutaj.

– Mam zajrzeć do domu i powiedzieć rodzicom, że odpływamy? – pyta chłopak przed zejściem na ląd.

– Chciałabym, ale nie mamy na to czasu. – przyznaje Reyna.

– Ja zdążę! – zapewnia Joy z młodzieńczym zapalem. – I pożegnam ich od ciebie!

– Przekaż chociaż Rogerowi szczegółowe informacje, jak ma znaleźć nasz statek. – rzuca jeszcze za nim Reyna, ale Joy’a dawno już nie ma.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 2
w Majarze*

Każda legenda ma swój początek i musi mieć swój koniec. Ale, nawet jeśli jedna się zakończy, nic nie stoi na przeszkodzie, by mogła rozpocząć się następna.

Nie wątpię, że tak właśnie się stanie. Nie wyobrażam sobie, byśmy mogli wytrzymać bez przygód zbyt długo.

James Crepusculum

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

LEGENDA

Joy zdążył powiadomić zarówno historyka, jak i rodziców Reyny. Przekazał także mojej siostrze dziennik kapitan Arachne. Do portu dotarł w tym samym czasie, co Roger, który okropnie się zmachał, dźwigając ze sobą dwie wielkie walizki, ale uśmiechał się szeroko.

Udało nam się opuścić Port–Majar bez żadnych komplikacji, a strażników przeszukujących port dostrzegliśmy dopiero, gdy byli już niemal rozmytymi plamami na horyzoncie.

Nie umknęło mojej uwadze ani uwadze Reyny, że być może był to ostatni raz, gdy widzieliśmy Majar. Długimi godzinami przeproszała mnie, że z jej winy jestem poszukiwanym zbiegiem zarówno w Majarze, jak i Kraterii i na nic zdawały się moje słowa, że nie winię ją o nic, a Majar i Krateria nigdy tak naprawdę mi się nie podobały.

Do kryjówki piratów dopływamy bez żadnych przeszkód: ani piratów, ani latających kałamarnic.

Roger z początku jest zaskoczony tym, że nasz okręt, na który ponownie się przenieśliśmy, to sama „Arachne”, ale nie wydaje się być tym faktem przerażony. Gdy pokazujemy mu jaskinie, niemal płacze ze szczęścia i spędza w nich całe tygodnie, starając się z jak największą dokładnością rozszyfrować napisy.

Jak się zdaje koło, które tak mnie zafascynowało, to coś w rodzaju starożytnego kalendarza wyznaczającego kolejne ery. Począwszy od pierwszej - ery spokoju - każda kolejna podporządkowana jest innemu bóstwu i łączy się z innym kataklizmem. Nie obeszłoby nas to pewnie, gdyby Roger z ogromnym

entuzjazmem i odrobiną przerażenia nie wyjaśniał, że według tego kalendarza żyjemy w stuleciu Aquariususa, a dokładnie przy jego końcu, a autor malowidła przepowiedział, że będzie to stulecie potworów.

Albo przewidział działania Reyny, albo są one bezcelowe, bo niebawem potwory i tak znikną, wyparte przez katastrofę stulecia Capricorna: wojnę.

Załoga „Arachne” spędza trochę czasu na Dużej Draquarii, wreszcie donikąd się nie spiesząc. Tam właśnie Reyna przedstawia mnie młodemu chłopakowi, którego zadaniem było wypatrywać mnie w Majarze po powrocie ze służby na południu. Wydaje się być zaskoczony, widząc mnie w kryjówce.

– Kapitan Crepusculum przyplłynął do Port–Majar z dwutygodniowym opóźnieniem. – wyjaśnia Reyna. – Jesteś pewien, że go nie widziałeś?

Chłopak uporczywie kręci głową, ale dla pewności jeszcze raz dokładnie mi się przygląda. Nie mógł mnie z nikim pomylić, bo wówczas wyglądałem dokładnie tak, jak i teraz, włącznie ze strojem.

– Przez dwa tygodnie każdego dnia zaglądałem do „Perłowej Latarni”, ale kogoś takiego jak pan nigdy tam nie widziałem. – zapewnia.

Marszczę brwi, ale już po chwili wybucham śmiechem, uświadamiając sobie, na czym polegała cała ta pomyłka.

Reyna patrzy na mnie pytająco, przekrzywiając lekko głowę.

– Nie widziałeś mnie, bo nie było mnie w „Perłowej Latarni”. – wyjaśniam.

– Ale... – chłopiec wygląda na zmieszanego. – ale pan zawsze po powrocie zagląda do „Perłowej Latarni”. – upiera się.

– Nie tym razem. – mówię, przypominając sobie powrót do Port–Majar i to, że nie chciałem nikogo widzieć ani z nikim rozmawiać. Jedyne, czego chciałem, to zobaczyć się z Reyną, a, że było to niemożliwe, od razu udałem się do mieszkania przydzielonego mi przez akademię.

Gdy Reyna postanawia na powrót wrócić na południe Bestialskiego Morza i zamienić stacjonujący tam statek, nie płynę z nią.

Nie myliłem się, sądząc, że tamta podróż będzie moją ostatnią na „Arachne”. Teraz, gdy moje serce jest spokojne, nie czuję się na siłach znów wracać do roli

kwatermistrza. To dla mnie za mało. Przyjmuję więc ofertę Reyny i zbieram załogę, która wypływa pod moim dowództwem na „Zmierzchu”.

Moja legenda rośnie jeszcze bardziej, gdy po świecie rozchodzą się wieści, że kapitan Crepusculum wsparł Arachne i dowodzi jej okrętem na północy. Nie ukrywam, że podoba mi się ten rozwój sytuacji, ale w mojej historii wciąż czegoś brakuje. Ciągłe czuję, że jest niekompletna.

Wracając do kryjówki, ja i Reyna staramy się za każdym razem zgrać to w czasie, by udało nam się tam spotkać i spędzić razem przynajmniej kilka dni. Jeśli jednak się to nie udaje, zawsze jedno czeka na drugie.

Niedługo po tym, jak przejąłem dowództwo nad „Zmierzchem”, książę Kraterii odwołał swoje okręty stacjonujące na granicy wód terytorialnych. Nie było to jednak ustępstwo na długo.

Współpraca z piratami jak najbardziej się opłaca, szczególnie wówczas, gdy książę Dunstan wysyła flotę przeciw „Arachne”. To właśnie z pomocą piratów udaje nam się ją rozgromić, a Reyna, która doskonale pamięta, jak książę więził nas z zamiarem wydania wyroku śmierci, nie ma najmniejszych skrupułów, by posyłać wszystkie jego statki na dno morza.

Mnie osobiście zaczyna poważnie niepokoić jej wybiórcza moralność.

Mija dwa lata, nim Królestwo Majaru wydaje dekret o zakazie handlu z Kraterią uwzględniającego przeprawę przez Bestialskie Morze. Niedługo później to samo robi Księstwo Kraterii. Do tego czasu uparcie zatrzymujemy wszystkie statki, uprzykrzając handlowcom życie, jak tylko możemy. Wyraźnie skutecznie.

Gdy oba kraje decydują się zakazać wszelkim okrętom wypływania na przeklęte wody, „Arachne” może wreszcie cieszyć się zwycięstwem.

Bestie pozbawione posiłków zaczynają szaleć i właśnie o to nam chodziło. Teraz, gdy osiągnęliśmy już nasz cel, możemy odejść.

Niedługo przed opuszczeniem Dużej Draquarii na dobre, Roger zabiera nas do jaskini i pokazuje kilka malowideł. By je obejrzeć musimy zejść niemal na sam jej koniec, gdzie łączy się ona z kolejną.

Ostatnie rysunki, jakie tam sporządzono, przedstawiają bogów, choć w formach zupełnie odmiennych, niż zwykło się ich przedstawiać.

– To dawne wyobrażenie Wielkiej Dwunastki? – pyta Reyna, wyraźnie myśląc o tym samym, co ja. Nim jednak Roger zdąży jej odpowiedzieć, kręcąc przecząco głową.

– Ich nie jest dwanaścioro. – zauważam.

Reyna pospiesznie przelicza postacie i musi się ze mną zgodzić. Ale, choć nie jest ich dwanaście, tworzą jakby dwanaście oddzielnych scen.

– „Zmiana”. – mówi Roger, wskazując na napis nad pierwszą z nich. Wszystkie pozostałe wypisano pod malowidłami. – Ale to, co chciałem wam pokazać...

Nie jest w stanie dokończyć, bo Reyna podchodzi już do drugiego z kolei rysunku i wpatruje się w niego z dziwnym wyrazem twarzy. Gdy stoję obok niej, wiem już dlaczego.

Malunek przedstawia dwoje ludzi: obejmujących się mężczyznę i kobietę. Ona ma twarz Pisces i odziana jest w niebieski płaszcz. Jego twarz ma rysy Aquariusza, a płaszcz barwę krwi.

Tym razem to ja przesuwam dłonią po napisie, jak Reyna lata temu, gdy byliśmy tu po raz pierwszy. Pod postaciami widnieje tylko jedno słowo: „Crepusculum”.

– Wszystkie rysunki wykonano w tym samym czasie. – zapewnia Roger. – Blisko dwieście lat temu.

Nikt nie mógł wtedy jeszcze wiedzieć, że kiedyś będziemy istnieć.

Wątpię, by naszym światem rządili bogowie, nigdy zresztą w nich nie wierzyłem. Są raczej tylko personifikacjami różnych zjawisk, wokół których ludzie utworzyli sobie kult wiary. Pewnym jest jednak, że jakaś siła rządzi tym światem, siła, która lata temu ukazała ludziom, jak będzie wyglądać przyszłość i dała im nadzieję na zmianę w postaci bohaterów, których mieli oczekiwać.

Ani moja legenda, ani legenda Reyny nie były dotąd kompletne. Brakowało im początku, a ten sięgał niemal dwieście lat wstecz.

Teraz nareszcie mogą dobiec końca.

EPILOG

Niebo maluje się powoli czerwienią, gdy stoimy na wybrzeżu Dużej Draquarii patrząc, jak „Arachne” płonie.

Ja i Reyna stoimy najbliżej szczątków okrętu, zatem tylko ja mogę ujrzyć spływające po jej twarzy łzy. Ten okręt był jej domem przez niemal cztery lata. To on był początkiem jej legendy, a teraz musiał umrzeć tak, jak i kapitan Arachne - gdzieś na tym statku spalił się także jej granatowy płaszcz.

Reszta załogi i jej pozostali wspólnicy stoją za nami w zupełnej ciszy. Dla nich to też już koniec. Najpóźniej jutro każde z nich wsiądzie na któryś z okrętów i odpłynie, dopóki Bestialskie Morze jest jeszcze względnie spokojne, bo widmo wojny między Majarem, a Kraterią wisi nad nim, jak geste mgły otaczające naszą kryjówkę.

Spalenie okrętu było najlepszym rozwiązaniem. Misja „Arachne” się zakończyła. Możemy zaznać wreszcie spokoju.

– Co teraz? – pytam.

Reyna ociera twarz ręką i odwraca głowę w moją stronę.

– A co byś chciał? – pyta. Jej głos zabarwiony jest jeszcze odrobinę żalem. – Nic nas nigdzie nie trzyma. Możemy udać się, gdzie tylko zechcesz... wyłączając jedynie Majar i Kraterię.

– Ja... chcę tylko spokoju. – przyznaję. – Być blisko morza, a daleko od ludzi.

Szaleństwo, w jakim uczestniczyliśmy przez ostatnich kilka lat, sprawiło, że nie mam najmniejszej ochoty wracać do służby ani w jakimkolwiek królestwie, ani nawet w żadnej samozwańczej organizacji.

Reyna uśmiecha się pod nosem.

– Jest jedno takie miejsce, które chyba podoba twoim oczekiwaniom. – oznajmia.

– Jakie?

Nie odpowiada, tylko wyciąga z kieszeni pogniecioną mapę Bestialskiego Morza. Rozkłada ją na ziemi i wskazuje palcem wyspę na północnym zachodzie. Wtedy i ja się uśmiecham.

– Tak, myślę, że sprostą moim oczekiwaniom. – potwierdzam, w głowie mając już wizję zamieszkania wraz z Reyną na Dali.

Reyna wstaje i otrzepuje kolana z piasku.

– Możemy wyruszyć nawet dzisiaj. – stwierdza. – Gdy tylko zapadnie zmierzch.

– Zmierzch zapadł nad tymi wodami, gdy pojawiły się w nich potwory. – zauważam.

– Ale już świta. – szepcze Reyna, opierając głowę na moim ramieniu i wpatrując w dopalające się szczątki „Arachne”. – Już świta.



Niektórych naszych przyjaciół, sprzymierzeńców i współników z „Arachne” nie widziałem już nigdy więcej. Nie wiem nawet, co ich spotkało.

Przez wszystkie lata, gdy mieszkaliśmy na Dali, nie widywaliśmy zbyt wielu obcych, Jedynym statkiem, który odwiedzał nas regularnie przywożąc rozmaite towary i informacje, był „Tytan Mórz”. Jego kapitanem został nikt inny, jak Joy, który najpierw próbował swoich sił, jako królewski kapitan z podrobionymi przeze mnie papierami, prędko jednak zrezygnował. Jestem pewien, że brakowało mu niezależności, do jakiej przyzwyczał się na „Arachne”. W skład jego załogi wchodził między innymi krąg najbardziej zaufanych marynarzy Reyny: Jackin, Heard i, przynajmniej początkowo, Anika. Randel i Christiana odpłynęli z Draquarii na „Lunariosie” wraz z kapitanem Moondrownerem i Mariką, po czym

na pewien czas słuch o nich zaginął. Joy utrzymywał, że dołączyli oni do piratów, co proponowano niejednokrotnie także mnie, Reynie i Joy'owi, ale ich propozycję poważnie rozważał jedynie Joy. Jakiś czas później cała czwórka dołączyła do załogi „Tyтана Mórz”, potwierdzając jego wersję wydarzeń.

Po sześciu latach na wyspie, gdy wojna między Majarem, a Kraterią rozewrzała na dobre, mieszkanie na Dali, leżącej na wodach między tymi zwaśnionymi krajami, stało się nieco niebezpieczne. Opuściliśmy ją z nieskrywanym żalem i podjęliśmy decyzję o spełnieniu jednego z najwcześniejszych marzeń Reyny - rozpoczęliśmy podróż po świecie.

Byłem pewien, że, nieważne dokąd się udamy, nasza sława będzie podążać za nami jak cień, ale dzięki Aurei nie musieliśmy się przynajmniej przejmować możliwością rozpoznania i aresztowania. Moja siostra zrobiła to, o co ją prosiliśmy - spisała naszą opowieść, przekazała światu, że Arachne nigdy nie była okrutną piratką, a wybawicielką Bestialskiego Morza. W oczach ludzi zostaliśmy bohaterami.

Nie jestem pewien, czy najszcześniejszym czasem w moim życiu były te lata na bezludnej wyspie, czy te, gdy przemierzaliśmy cały świat, zaglądając w jego najdalsze i najpiękniejsze zakątki. Puki co, wciąż są przed nami miejsca nieodkryte, a gdyby kiedyś ich zabrakło, a Dala wciąż znajdowała się w strefie konfliktu, przecież nie jest ona jedyną samotną wyspą na świecie, czyż nie?

JOY

Kilka lat później

Kapitan Crepusculum miał rację twierdząc, że dostawy wojskowe nie są rzeczą, którą chciałbym się zajmować.

Ale ja chciałem spróbować. Usłyszałem „wojna” i nie widziałem krwi i trupów, czułem tylko podekscytowanie.

Udałem się do Majaru i zgłosiłem do służby jako królewski kapitan, pokazując w urzędzie marynistycznym fałszywe dokumenty, sporządzone dla mnie przez kapitana Crepusculum. Nie byłem do końca zadowolony z nazwiska, jakie mi wybrał, ale nie mogłem już nic na to poradzić, jedynie ponarzekać, jakim jest hipokrytą, odradzając mi Waterweavera, podczas gdy sam nadał sobie na nazwisko „Zmierch” i myślał, że nikt się nie połapie, jeśli będzie po południowemu.

Nie minęło pół roku, a złożyłem oficjalną rezygnację i zabrałem „Tytana Mórz” byle dalej od Bestialskiego Morza, którego nazwę powinni dawno już zmienić, zważywszy, że potwory albo odpłynęły, albo zdechły z głodu, co do tego nie ma pewności, grunt, że zniknęły. Teraz na tych terenach grasują piraci, zgodnie z obietnicą napadając wszelkie przepływające okręty. Mnie też kilka razy napadli przez pomyłkę. A potem przepaszali i proponowali dołączenie do nich.

W końcu się zgodziłem.

Nie mogłem podjąć lepszej decyzji. Właściwie jestem wolny. Jeśli nie przebywam na wyspie, stanowiącej główną siedzibę piratów, mogę płynąć dokąd zechcę.

Polubiłem życie polegające na okazjonalnym napadaniu i grabieniu statków w imię króla piratów, a potem robieniu, co tylko mi się zamarzy. Teraz jednak mój statek płynie na południe, zmierzając do Astedenii. Liczę na chwilę odpoczynku w obcym kraju.

Choć klimat w krajach południa jest tylko nieco cieplejszy, niż ten w Majarze, to ludzie wydają się być zupełnie inni. Ich zachowanie... czuję się tu bardziej jak w Kraterii, tyle tylko, że zamiast deszczu jest słońce, a mieszkańcy mają w większości oliwkową cerę i ciemne włosy.

Zostawiam Danielowi wszystkie czynności związane z opłatami portowymi i ruszam do pierwszej lepszej nadbrzeżnej karczmy.

W środku jest przyjemnie chłodno. Nie przypomina jednak wszystkich karczm, jakie miałem okazję oglądać od wewnątrz w Majarze. Tam zawsze było gwarno, głośno, śmierdziało obrzydliwym jedzeniem i wszędzie pełno było na wpół pijanych ludzi. Tu jest spokojnie. Wszyscy siedzą przy stołach, rozmawiając cicho. Nikt nie wrzeszczy, nie kłuci się i nie bije. Przypominam sobie opowieści kapitana Crepusculum o życiu na południu i zastanawiam się, czy aby na pewno trafiłem do odpowiedniego kraju.

Zamierzam usiąść przy stole wybranym na chybił trafił, ale nagle moją uwagę przykuwają dwie postacie siedzące pod oknem.

Kobieta jest odwrócona do mnie tyłem i jedyne, co mogę stwierdzić, to to, że jej długie włosy musiały niegdyś być bardzo ciemne, niemal czarne, teraz jednak przetykane są siwymi pasmami. Siedzi opierając łokcie na blacie i popija coś z trzymanego w rękach kubka. Drugą osobę widzę dokładniej, bo siedzi z twarzą niemal zupełnie odwróconą w moim kierunku. Mężczyzna koło czterdziestki, o oliwkowej cerze i ciemnobrązowych włosach, bez ani jednego srebrnego pasma. Znam go. Tamtą kobietę też znam.

Gdy podchodzę bliżej, kapitan Crepusculum unosi wzrok, a na mój widok jego oczy otwierają się nieco szerzej w wyrazie całkowitego zdumienia. Wtedy i Reyna się odwraca. Gdy mnie rozpoznaje, na jej twarz wypływa szeroki uśmiech.

Może jednak nie muszę spieszyć się tak bardzo z powrotem do piratów, by prowadzić pełne przygód i niebezpieczeństw życie, do którego tak bardzo się przywiązałem. Moje wakacje mogłyby się trochę przeciągnąć.

Przez chwile może być tak, jak dawniej: nasza trójka i świat, który stoi przed nami otworem.

Piraci mogą poczekać.

REYNA

KAPITAN MOONDROWNER

Choć do portu udaję się późnym wieczorem, wciąż gęsto jest tu od ludzi. Z trudem udaje mi się dostać do pierwszego lepszego pracownika.

– Czy „Rosamunda” jest w porcie? – pytam, a ten kiwa jedynie zdawkowo głową. – Nie wie pan może, gdzie mogłabym znaleźć kapitana Moondrownera?

– A byłaś „Pod Smukłą Orką”?

– Nie.

– To idź. – mówi.

Zmierzając do celu, który okazuje się być zapyziałą karczmą, zastanawiam się, co mnie pokusiło, by posłuchać ludzi z akademii, którzy mówili, że jeśli mam przypadkiem jakiegoś znajomego kapitana, mogę wypłynąć z nim na rejsy próbne, co oszczędzi mi konieczności pływania z całą zgrają uczniów akademii. Wówczas przynajmniej miałabym towarzystwo Hearda, Valensa, Jackina i Aniki. A na pewno nie musiałabym udawać się późną porą do podejrzanej karczmy, w której „mój znajomy kapitan” najpewniej upijał się właśnie do nieprzytomności.

Właściwie, byłam pewna, że jedyne, co Daniel mógłby robić w tak zapyziałej dziurze, to upijać się w cholerę, ale zaskakuje mnie, gdy wchodzę do środka i niemal od razu dostrzegam go siedzącego w centralnej części głównej izby, grającego na gitarze i nucącego do tego jakieś radosne szanty.

– Przyszłaś zobaczyć, jak się kompromituje? – dobiega mnie znajomy głos, a zaraz potem tuż obok mnie pojawia się Marica.

– Właściwie, to gra całkiem nieźle. – przyznaję.

– Ale głosu nie ma za grosz. – mruży artylerzystka z „Rosamundy”. – A ci idioci i tak płacą mu grube pieniądze.

– Przecież jest kapitanem. – zauważam. – Płacą mu dostatecznie dużo, by nie musiał dorabiać graniem po karczmach.

Marica wzrusza ramionami.

– Cóż zrobić, jak to jego hobby.

– A ty? – pytam. – Co ty tutaj robisz?

– Chyba go pilnuję. Ktoś musi. – stwierdza Marica i wychyla kieliszek czegoś, co trzymała do tej pory w ręce, jednocześnie podając mi drugi.

Niepokoi mnie fakt, że jesteśmy w karczmie, a płyn w kieliszku ma bursztynową barwę, bo jednoznacznie świadczy to o tym, że to jakiś alkohol, ale nie czeka mnie tego wieczoru żaden egzamin, tylko rozmowa z dawnym znajomym na temat tego, czy zechce przyjąć mnie na pokład na kilka rejsów i wystawić po tym wszystkim opinię, więc wypijam zawartość zaoferowanego kieliszka.

To rum. Oczywiście.

– To nie było czasem dla mnie? – pyta Daniel Moondrowner, niespodziewanie pojawiając się obok nas. Nie wiem nawet w którym momencie przestał grać.

– Dobrze, że już nie jest. Tylko bardziej byś fałszował. – mówi Marica.

Daniel uśmiecha się do mnie szeroko.

– Mówiłem, że jeszcze kiedyś się zobaczymy. – oznajmia, zabierając mi kieliszek i wciskając go do ręki przechodzącemu akurat karczmarzowi, prosząc o dolewkę, z pewnością tym razem dla siebie. – Nie sądziłem tylko, że będziesz chciała posłuchać moich występów.

– Właściwie, to jestem tu w zupełnie innej sprawie. – wyjaśniam.

– No tak, istnieje naprawdę wiele powodów, by zaglądać do karczmy. – potwierdza. – Po prostu liczyłem jednak, że twoich uszu dobiegły wiadomości o moich nadzwyczajnych popisach wokalnych.

Marica przewraca oczami na te słowa.

– Nie, to znaczy, to prawda, że szukałam ciebie, ale w innym celu. – mówię, nagle nie do końca wiedząc, jak składa się zdanie. Może jednak nie trzeba było przyjmować tego rumu od Mariki.

– Chyba wiem, co masz na myśli. – oznajmia Daniel. W tym samym czasie karczmarz podaje mu napełniony na nowo kieliszek. – Co prawda „Rosamunda” nie wypływa na razie nigdzie, ale postaram się to uwzględnić w swoim grafiku.

Marszczę brwi.

Nie sądziłam, że Daniel w ogóle wiedział o mojej nauce w Akademii Morskiej, a co dopiero, by przewidział, że przychodzę do niego z prośbą o zabranie mnie na próbne rejsy swoim statkiem, ale najwyraźniej jest niezwykle spostrzegawczy. Pewnie wydedukował to na podstawie czegoś w mojej postawie i tonie głosu. Jakimś cudem zawsze rozgryzał mnie, nawet wówczas, gdy sama jeszcze się nie rozgryżłam.

– Ale powiedz mi, gdzie podziewa się kapitan Crepusculum? – pyta Daniel, przerywając moje rozważania. – Liczy, że prędzej zgodzę się, jeśli ty mnie poprosisz, przez wzgląd na naszą dozgonną przyjaźń? Nie ma się o co martwić, zgodziłbym się tak czy inaczej.

– O czym ty właściwie mówisz? – pytam, gubiąc się nieco w jego toku rozumowania. Wspomnienie o Jamesie wytrąca mnie dodatkowo z równowagi.

– O waszym weselu. – wyjaśnia, wyraźnie przypisując moje ciężkie myślenie efektom kieliszka rumu. Pewnie ma rację, bo dalej nie wiem, o czym on właściwie mówi. – Nie mam nic przeciwko, by odbyło się na „Rosamundzie”, naprawdę, z przyjemnością osobiście udzielę wam ślubu, możesz na mnie liczyć.

– Ja właściwie w innej sprawie. – przerywam mu pospiesznie.

– Innej? – dziwi się Daniel. – A jakiej?

– Jestem na trzecim roku Akademii Morskiej... – zaczynam wyjaśnienia.

Daniel gwizdże cicho.

– A tego się nie spodziewałem. – przyznaje.

– Chciałam zapytać, czy może mogłabym odbyć próbne rejsy na twoim statku.
– ciągnę.

– Pewnie, że tak. – oznamia Daniel z zapalem. – Jak już mówiłem, „Rosamunda” chwilowo stoi beczynnie, ale pójdę jutro do biura zaferować, że popływam trochę po lokalnych portach. Zawsze brakuje im kapitanów, którzy chcieliby pływać po okolicy, więc nie mam wątpliwości, że się zgodzą. Powiedz mi tylko, dlaczego nie zamierzasz wypływać z kapitanem Crepusculum?

– Kapitana Crupa... Crepa..... Crepuscululum... Crepurs...

– Crepusculum? – podpowiada Daniel.

– Tak. – potwierdzam. Cholerny rum. – Więc, Jamesa aktualnie nie ma w Majarze.

– Nie ma?

– Wysłali go na południe.

– Na długo?

Przełykam głośno ślinę. I łyżę.

– Pięć lat. – mówię.

Daniel unosi brwi. Bardzo, bardzo wysoko.

– Kiedy?

– Będzie już ze trzy lata. – przyznaję. Ale, choć minęło tyle czasu, to nic. Wystarczy drobne wspomnienie z Dali, by wzrok zaczął mi się szklić. Pociuszającym jest jednak fakt, że, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zobaczę go za nieco ponad dwa lata.

Daniel wyraźnie zastanawia się, co powiedzieć. Chyba chce o coś zapytać, ale szybko rezygnuje.

– Zdaje się, że musisz opowiedzieć mi o paru rzeczach. – zauważa. – Ale nie dzisiaj. Może spotkajmy się jutro po południu, jak już załatwię wszystko w biurze. Omówimy kwestię twoich próbných rejsów i rzeczy bardziej naglące, jak na przykład, co się działo przez ostatnie trzy lata.

Kiwam głową. Zamierzam pożegnać się i ruszyć do wyjścia, ale nagle nie rozumiem zupełnie dlaczego blat najbliższego stołu znajduje się tak blisko mojej twarzy.

– Pozwolisz, że zaproponuję odprowadzenie cię do domu? – pyta Daniel, który trzyma mnie mocno, ratując przed zderzeniem ze stołem. – I mam ogromną nadzieję, że się zgodzisz, nie tylko zważając na późną porę, ale też i na to, że po przyjacielsku mówiąc, chyba nie miałeś zbyt często kontaktu z alkoholem, nie mam racji?

Kiwam głową, potwierdzając jego domysły i zgadzając jednocześnie by poszedł ze mną.

Gdy wychodzimy na zewnątrz, owiewa mnie chłodny wiatr, dzięki czemu czuję się odrobinę lepiej, a w głowie nieco mniej mi się kręci. Mimo to, zastanawiam się, co takiego pomyślą moi rodzice, gdy dowiedzą się, że wypływam na próbne rejsy z kapitanem, z którym wystarczyła jedna, krótka rozmowa na temat, czy w ogóle przyjmie mnie na swój statek, bym wróciła do domu zupełnie pijana.



– ...tamten to baksztag. No i tamten to achtersztag. – wskazuję palcem, ku aprobacie Mariki.

– Powiedz – niespodziewanie pojawia się koło nas Daniel. – który to już raz dzisiaj męczy cię pytaniami o takielunek?

– Trzeci. – mówię.

– Drugi. – zauważa Marica.

– Pierwszy był wtedy w mesie.

– To było wczoraj, podczas kolacji...

– Robisz to tak często, że zaczyna mi się powoli mieszać. – stwierdzam.

– Sądzę, że Reyna radzi sobie znakomicie. – wtrąca Daniel. – Możesz jej już odpuścić. To w końcu jej ostatni dzień na „Rosamundzie”.

– Radzi. – potwierdza Marica. – Jedynie ciągle nazywa kambuz kuchnią.

Wzruszam ramionami. Nic na to nie poradzę, wbiło mi się do głowy i nie potrafi jej opuścić.

– Czujesz się gotowa na powrót do akademii? – pyta Daniel, gdy Marica znika pod pokładem. Z pewnością poszła na pokład armatni, choć nie przypominam sobie, by cokolwiek wymagało tam naprawy. To jej azyl, tak przynajmniej było kilka lat temu i nic nie wskazuje na to, by coś się pod tym względem zmieniło.

– Nie wiem. Chyba nie do końca. – przyznaję, zwracając się w stronę morza. Z przeciwnej wciąż widać Majar - podczas żadnego z rejsów nawet na chwilę nie znikał z pola widzenia.

– Myślę, że nie masz się czym przejmować. – stwierdza Daniel. – O Joy’a też. Sam mógłby najać się na jakimś statku, gdyby tylko miał nieco więcej, niż piętnaście lat.

Uśmiecham się pod nosem. Joy uparł się, by pływać razem ze mną, a Daniel nie miał nic przeciwko temu. Nie musiał nawet iść do akademii, chłonął wiedzę, jakby rzeczywiście lada dzień sam miał wypłynąć w morze.

Choć koniec nauki zbliża się wielkimi krokami, nie wiem, czy na pewno jestem na to gotowa. Zadanie, które sobie wyznaczyłam po jej ukończeniu znacznie mnie przerasta i nie pociesza mnie nawet świadomość, że mam ludzi, którzy gotowi są podjąć je ze mną.

Daniel nie ma o niczym bladego pojęcia, dlatego błędnie interpretuje mój niepewny wyraz twarzy.

– Wiesz, ty i ja mamy w sobie coś, co sprawia, że nadajemy się do rzeczy większych, niż te, które przygotował dla nas los. – mówi. – Mieszkałem w zabitej dechami mieścinie. Musiałem zebrać pieniądze, by w ogóle dostać się do Port-Majar, a co dopiero wstąpić do akademii. Przeczytałem dokładnie dwadzieścia siedem powieści awanturniczych i wiedziałem, że jestem w stanie zrobić znaczenie więcej, niż pobrzdakać trochę na gitarze. Byłem ledwo rok starszy, niż Joy w tej chwili, i co? I jestem kapitanem, może nie tak wielkim, jak James Crepusculum, ale jednak. Ty też możesz wiele osiągnąć. Musisz tylko w siebie uwierzyć.

Choć Daniel ma z pewnością na myśli ukończenie akademii i objęcie dowodzenia nad jakimś statkiem, ja dopasowuję jego słowa do tego, co w rzeczywistości zamierzam. Czy faktycznie wiara w siebie wystarczy, by powołać do istnienia Arachne?

– Crepusculum będzie z ciebie dumny. – mówi, uśmiechając się pokrzepiająco.

Choć lęk wciąż nieco ściska mi gardło, jego słowa podnoszą mnie na duchu.

– Nie powinienes czasem iść napisać mi opinii? – pytam, chcąc zmienić temat.

– Już to zrobiłem. – oznajmia.

– Kiedy?

– Dzień po tym, jak spytałaś, czy przygarnę cię na swój statek. – mówi, a jego uśmiech z przyjaznego zmienia się na nieco kombinatorski.

– Skąd mogłeś wiedzieć, jak sobie poradzę? – dziwię się.

– Miałem przecucie. – mówi, a ja zaczynam się niepokoić, co takiego tam nawypisywał. Może i moi rodzice mieli rację sugerując, bym zastanowiła się raz jeszcze, czy Daniel Moondrowner to na pewno kapitan, z którym chcę wypływać na próbne rejsy. Choć, w gruncie rzeczy, odbyłam na „Rosamundzie” kilka naprawdę udanych podróży i nie sądzę, bym bawiła się równie dobrze, odbywając je wraz z innymi uczniami akademii.

Choć ufam Danielowi, nie mam pewności, jak zareagowałby na wieści o tym, co planuję zrobić. Na wszelki wypadek ani słowem nie wspominałam mu o Arachne, był mi jednak przyjacielem już trzy lata temu, a ostatni czas jedynie to potwierdził. Może i nie mogę powiedzieć mu o Arachne, ale mogę o czymś zupełnie innym. Jestem mu winna parę wyjaśnień, choć sam nigdy o nie nie prosił i ich nie oczekiwał.

Chyba zamierza już odejść, widząc, że na dłuższy czas zamilkłam i pewnie chcę pobyć sama ze swoimi myślami, ale go zatrzymuję.

Wygląda na uradowanego, ale zawsze lubił stać i zagadywać mnie godzinami na różne, na ogół błahe tematy. Zastanawiam się, kogo zagaduje, gdy nie ma mnie na pokładzie i jestem niemal pewna, że Marikę. Oczami wyobraźni widzę jej

pozornie udręczoną minę, gdy próbuje pracować, a jednocześnie zmuszona jest wysłuchiwać jego niekończących się monologów.

– Skoro już napisałeś mi opinię, to nigdzie ci się nie śpieszy, prawda? – pytam.

– Jestem do twojej dyspozycji, aż dopłyniemy do portu. – zapewnia z szerokim uśmiechem.

– Jesteś kapitanem. – zauważam.

– A co, oni wszyscy pierwszy raz płyną? – wskazuje ogólnym gestem całą załogę. – Wiedzą chyba, co mają robić.

– To dobrze. Bo chciałabym ci o czymś powiedzieć.

Daniel patrzy na mnie wyczekująco. Nawet, gdy próbuje zachować powagę, na jego usta zawsze ciśnie się uśmiech.

– Co takiego?

– To, co powinnam była powiedzieć ci już lata temu. O tym, co tak naprawdę działo się na Dali. I o tym, jak trafiłam na „Aqauriusa”.



Z głową opartą na dłoni, siedzę przy niewielkim stoliku w tawernie „Pod Smukłą Orką” i bez przekonania mieszam zawartość kieliszka.

– Więc... jutro wypływasz? – odzywa się wreszcie Daniel.

Kiwam głową i pociągam łyk.

– Czy zatem nie jest to powód do radości, nie zapijania smutków? – pyta.

Czas minął zdecydowanie za szybko. Pamiętam, jak rozpoczynałam akademię, jakby to było wczoraj, tymczasem minęły już cztery lata, a ja jestem gotowa, by wykonać zadanie, które sama sobie postawiłam.

Nie, może „gotowa” to nieodpowiednie słowo. Chyba nigdy nie będę na to gotowa.

– Wypływam na Bestialskie Morze. – mówię w końcu.

Przez twarz Daniela przelatuje błysk zrozumienia.

– Dopiero ukończyłaś akademię. – zauważa. – To twój pierwszy samodzielny rejs, nie tylko jako kapitana, ale ogólnie jako absolwenta. Nie powinni w ogóle rozważać wysyłania cię tam. Myślę, że gdybyś udała się do urzędu i spróbowała wyjaśnić jakoś tę sprawę...

Przerywam mu, kręcąc głową. Nie mogę powiedzieć, że sama się zgłosiłam. Nie mogę mu powiedzieć o zbyt wielu rzeczach, które chciałabym z siebie wyrzucić. Omawianie planów z czwórką osób z akademii, które wcieliłam do swojej załogi, to coś zupełnie innego. Oni wierzą w naszą sprawę. Może i też mają wątpliwości, ale liczą, że nam się uda. Ja zawsze byłam pesymistką.

– Mówię poważnie. – ciągnie niestrudzenie Daniel. – To wszystko jeszcze można odkręcić. Wcale nie musisz wypływać na Bestialskie Morze.

– Muszę. – mówię cicho.

Muszę, bo postawiłam sobie taki cel. Muszę, bo mam wizję i ludzi, którzy wierzą w nią tak mocno, jak i ja. Muszę, bo ktoś w końcu powinien zakończyć to bestialstwo, a czuję, że jeśli nie podejmę się tego sama, to nie zrobi tego nikt.

Jestem wdzięczna, że od czasu gdy zakończyłam próbne rejsy na pokładzie „Rosamundy”, Daniel nie zniknął na dobre, tak jak zrobił to cztery lata temu. Jeśli akurat nie wypływał, zawsze był gdzieś, gotów, by go odszukać i poprosić o pomoc. Albo tylko porozmawiać, nawet na pozbawione większego znaczenia tematy. Tak jak teraz, gdy spotkaliśmy się „Pod Smukłą Orką” i ślęczeliśmy nad butelką rumu przy stojącym w kącie stoliku tylko dlatego, że potrzebowałam jego wsparcia ten ostatni raz, nim podejmę się niemożliwego.

– Myślę, że kapitan Crepusculum w tym wypadku przyznałby mi rację. – stwierdza Daniel.

– Myślę, że wspominasz kapitana Crepusculum za każdym razem, gdy próbujesz mnie do czegoś przekonać. – zauważam. – Nie tym razem.

Zastanawiam się, co jeśli zawiodę. Jeśli zginę na morzu, zanim w ogóle świat usłyszy o „Arachne”. Zanim James zdąży wrócić.

Poprzedni dzień spędziłam ślęcząc nad skrawkiem papieru, starając się ubrać w słowa to, co chciałabym mu przekazać w wypadku swojej śmierci, aż w końcu stwierdziłam, że wolę nie myśleć o tym, jak wszystko może pójść w diabły. I tak wszystko, co chciałam mu powiedzieć, kręciło się wokół „Przepraszam” i „Kocham cię”. Poddałam się, nie pisząc niczego, zresztą James też nigdy nie raczył przysłać mi żadnego listu.

W zamyśleniu pociągam kolejny łyk.

– Twoi rodzice mnie zamordują, jeśli znowu odstawię cię do domu pijaną. – mówi Daniel.

– Nie często mam okazję się upić. – stwierdzam.

– Fakt. Nie często człowiek przebywa sobie na bezludnej wyspie akurat wtedy, gdy morze niespodziewanie wyrzuca na brzeg beczkę rumu.

Uśmiecham się smętnie.

– Mogłam przemilczeć ten fragment opowieści.

– Dobrze, że tego nie zrobiłaś. – zapewnia Daniel. – To jeden z ciekawszych.

– Z pewnością twój ulubiony. – prychem.

Chciałabym, żeby ta noc mogła ciągnąć się tak długo, jak tylko będę tego potrzebować. Bym mogła po prostu siedzieć i przekomarzać się z Danielem, aż stwierdzę, że jestem gotowa na „Arachne”, a wtedy po prostu wstanę i ruszę do portu bez tego wszechogarniającego lęku, który dręczył mnie coraz bardziej, im bliżej byłam końca nauki i wcielenia w życie swojego planu.

Ale czas nigdy nie robi tego, o co się go prosi.

Następnego dnia wyruszam w morze.

Następny dzień ma być dniem, kiedy powstanie Arachne.



Heard nie uprzedzał, że okręt, który właśnie napadamy, to statek pasażerski.

– Czy to coś zmienia? – pyta Anika, stojąca w mojej kajucie i informująca mnie na bieżąco o przebiegu ataku.

Podczas gdy pozostali na „Arachne” po prostu chcą zakończyć to bestialstwo, ona podchodzi do tego wszystkiego od nieco innej strony. Dla niej to sprawa osobista. Jej siostra zginęła na Bestialskim Morzu, bo na jej statku zabrakło niewolników i zaczęto wyrzucać za burtę najmniej znaczących członków załogi.

– Nie. – mówię. – Nie zmienia.

Przynajmniej nie powinno, tylko... co zrobimy z pasażerami? To jedna z nielicznych luk w całym naszym planie. Zawsze odkładaliśmy na później kombinowanie, co zrobić, gdy przyjdzie nam napaść statek pasażerski, ale w końcu wypłynęliśmy bez żadnego pomysłu. Pasażerowie to nie marynarze, których albo wcielimy do załogi, albo odstawimy do Majaru. Ani nie niewolnicy, których możemy zamknąć w jaskiniach na Dużej Draquarii. To ludzie, którzy chcą po prostu znaleźć się po drugiej stronie morza. Nie możemy zawrócić ich do Port-Majar. Nie możemy przewieźć ich do Kraterii bezpieczną drogą, bo poznają naszą tajemnicę.

Tak naprawdę nie mam pojęcia, co możemy zrobić.

Wychodzę za Aniką na pokład, choć na ogół tego nie robię. Pojawiam się dopiero, gdy okręt jest już właściwie nasz. Robię bardziej za symbol, a i tak się mnie boją. Może i słusznie, bo gdyby jednak komuś wpadło do głowy mnie zaatakować, to dzięki Heardowi wiem, że byłabym w stanie się obronić.

Omiotam wzrokiem statek, na który przeskoczyła już część mojej załogi. Na jego pokładzie rozpoczęła się walka.

Coś ściska mnie z niepokoju i to nie tylko dlatego, że atakujemy właśnie okręt pasażerski i nie wiemy co dalej, ale dlatego, że ten konkretny okręt rozpoznaję bez trudu.

Rzeźbione róże oplatające kadłub przywodzą mi wspomnienia sprzed lat. Wspomnienie wyspy. I ratunku, którego w ostatecznym rozrachunku nawet nie chciałam.

„Rosamunda”.

Statek Daniela Moondrownera.

Ten sam, na którym jeszcze nie tak dawno odbywałam rejsy szkoleniowe.

– Każ im przerwać atak. – mówię, ale zamiast pewnie i władczo, wychodzi mi to zbyt cicho, bo zaskoczona Anika prosi, bym powtórzyła. – Każ im przerwać atak. – powtarzam głośniej i ruszam w stronę trapu, który właśnie położono między naszymi statkami i po którym na „Rosamundę” przechodzą kolejni z moich ludzi.

Gdy stawiam na nim stopy, podbiega do mnie Joy.

Nie powinno go tu być. Zgodnie z moją prośbą nie uczestniczy nigdy w walce.

– Czy to nie jest czasem... – zaczyna.

– „Rosamunda”. – potwierdzam.

– I... co zamierzasz? – docieka.

– Na początek znaleźć Daniela.

Moi ludzie patrzą na mnie zaskoczeni, gdy zeskakuję na pokład statku, który miałam okazję tak dokładnie poznać. Zaraz jednak dobiega ich krzyk Aniki, przekazującej moje rozkazy.

Załoganci „Rosamundy” są zdezorientowani nagłym brakiem ataku tak samo, jak i moi ludzie tym, że każę im go zaprzestać.

Nerwowo zerkam po marynarzach, szukając ich kapitana albo przynajmniej Mariki.

W końcu go widzę.

Zbiega właśnie z kasztelu, z którego zapewne obserwował mój statek. Jest równie zaskoczony moim widokiem, jak i ja byłam, gdy spostrzegłam, że atakowany przez nas statek to „Rosamunda”.

Spotykamy się tuż przy schodach. Przez dłuższą chwilę nie odzywamy się, tylko patrzymy na siebie, starając się umiejętnie wyselekcjonować słowa, od których chcemy zacząć, bo jego aż rozsadza od pytań, a mnie od wyjaśnień.

Powinłam była mu powiedzieć.

Cóż, teraz nie mam już wyjścia.

– Reyno, mogłabyś powiedzieć, dlaczego, u diabłów, napadasz mój statek? – pyta w końcu Daniel. Nie jest jednak wściekły, czego wymagałaby od niego

zaistniała sytuacja. Bardziej skołowany.

– To... to dość skomplikowane pytanie.

– Nie, pytanie jest całkiem proste. Ale odpowiedź nie koniecznie. – zauważa.

– Odwołałam swoich ludzi. Nic wam nie zrobią. – mówię pospiesznie. – Nie wiedziałam, że to twój statek... to znaczy, wiedziałabym, gdybym się uważnie przyjrzała, ale...

– Mniejsza o statek. – Daniel przerywa mi machnięciem ręki. – Myślałem, że nie żyjesz.

– Tak mówią?

– Nie. Niczego nie mówią, chyba że pójdziesz do urzędu marynistycznego i zapytasz wprost. A, że wypłynęłaś na te wody pół roku temu i już nie wróciłaś, tak właśnie zrobiłem. Potwierdzili to, co i tak podejrzewałem: że twój statek uznano za zaginiony. A ty tymczasem... zostałaś piratką?

– Czymś w tym rodzaju. – przyznaję, zastanawiając się jak odpowiednio ubrać w słowa wszystko to, co właściwie robię jako Arachne.

– A więc napadłaś mój statek. I co teraz? – pyta.

– Przychodzi mi do głowy dwie możliwości. – mówię ostrożnie, choć Daniel wydaje się nie mieć do mnie żadnych pretensji. Może to dlatego, że żaden z jego ludzi nie ucierpiał, a on sam uwielbiał od zawsze dreszcz niebezpieczeństwa, nie miał jednak zbyt wielu okazji do przeżycia jakiś interesujących przygód. Zresztą podejrzewam, iż czuje się pewnie dlatego, że okazało się, iż napadła go jego dobra znajoma, wie więc, że tak naprawdę nic mu z mojej strony nie grozi. – Pierwsza jest taka, że po prostu pozwalam ci odpłynąć, a ty nigdy nie mówisz nikomu, kto cię napadł. Moja prawdziwa tożsamość musi pozostać tajemnicą.

– Mogę bezosobowo określić was „piratami”, jeśli zajdzie taka konieczność. – stwierdza Daniel.

– Nie. Jeśli ktoś by pytał, powiedz, że napadła cię Arachne.

Daniel posyła mi kolejne pytające spojrzenie, ale ja ciągnę już dalej.

– Pasażerowie oczywiście będą kłapać na lewo i prawo, że zostali napadnięci przez piratów, więc dla niepoznaki, jako formę fantu, który zagarniemy z waszego

statku, oddasz mi po prostu jakąś nic niewartą skrzynię.

– Wiem nawet jaka to będzie skrzynia. – oznajmia Daniel. – Pełna cholernych fig. Zaopatrzyli nas w nie w Majarze, ale tego rodzaju znęcanie się nad żeglarzami powinno być surowo karane. Naprawdę są ludzie, którym smakuje to świństwo?

– Nie pogardzę żadnymi zapasami żywności. – mówię ze śmiechem. – Spędzamy na morzu tyle czasu, że wszystkie są na wagę złota.

– Co właściwie robicie na tych wodach? Tak sobie pływacie i napadacie statki dla czystej satysfakcji? – pyta Daniel. Wiedziałałam, że nie ważne ile byśmy sobie gawędzili, to pytanie i tak w końcu padnie, a ja będę musiała udzielić mu możliwie jak najmniej zagmatwanej odpowiedzi. Nie wiem tylko jak powiedzieć, że owszem, napadamy statki, ale dla czegoś większego, co przekracza najśmielsze wyobrażenia.

– My... a co, gdybym ci powiedziała, że wiem, jak przepłynąć Bestialskie Morze bez wyrzucenia za burtę nawet jednego człowieka i, tak, wliczam w to niewolników?

– To doprawdy cudownie. – mówi Daniel. – Ale wiesz, że to niemożliwe?

– Zrobiliśmy to. – zapewniam. – Raz, ale jestem pewna, że możemy to powtórzyć. I właśnie o to nam chodzi: by statki przestały płacić za przebycie tych wód, wyrzucając do morza ludzi. Próbujemy je powstrzymać.

– Nie obraż się na to pytanie, ale czy jesteś pewna, że nie popadłaś w otchłań szaleństwa z tęsknoty za swoim Jamesem?

– A czy wyglądam ci na obłąkaną? – pytam.

– To mnie właśnie martwi, że ani nie brzmisz ani nie wyglądasz. – przyznaje.

– Wiem, że wydaje się to całkowicie nieprawdopodobne, ale możesz zapytać kogoś z moich ludzi, a potwierdzi moje słowa. Chyba nie uważasz, że cała moja załoga oszalała?

– Cóż... a jaka jest ta druga opcja, jaką możesz mi zaproponować? – pyta, choć ciągle nie wydaje się być przekonany do tego, co właśnie usłyszał.

– Mógłbyś do nas dołączyć. – mówię.

Daniel przekrzywia głowę.

– Do piratów?

– Daj spokój. Przeczytałeś dwadzieścia siedem powieści awanturniczych – zauważam. – i nigdy nie chciałeś być piratem?

– Oczywiście, że chciałem być piratem. – oznajmia Daniel, niespodziewanie się uśmiechając. – Po co innego w ogóle wstępowałbym do akademii?

– Przecież nie skończyłeś jako pirat. – zauważam sceptycznie. – Tylko jako poważany królewski kapitan.

– Od czegoś trzeba zacząć, nim nadarzy się dobra okazja, taka jak ta. Coś czuję, że czeka nas świetna zabawa.

– Więc... zgadzasz się? – pytam z nutą niedowierzania.

– Naturalnie, że się zgadzam. Nawet jeśli sugestia, że da się przebyć te wody bez strat w ludziach, wydaje mi się czystym wariactwem, bycie piratem wynagradzałoby wszelkie nieścistości.

Nieco zaskakuje mnie szybkość jego decyzji. Ale z drugiej strony to przecież Daniel, nie powinnam zatem dziwić się, że tak łatwo poświęca pewną pracę dla króla, na rzecz rozpoczęcia nowego, pełnego niebezpieczeństw i tak bardzo wyczekiwanych przez niego przygód, życia.

– Szkoda mi tylko „Rosamundy”. – przyznaje Daniel. – Trochę się do niej przywiązałem.

– Więc weź ją ze sobą.

Daniel unosi brwi.

– I tak kradnę już królowi kapitana, cóż z tego, że razem ze statkiem? – pytam.

– Właściwie „Rosamunda” to mój statek. – wyjaśnia Daniel. – Odkupiłem go, ale wciąż pływam dla króla, więc nie mogłem zmienić tej cholernej nazwy. Ale ty chyba nie miałabyś nic przeciwko, prawda?

– Nie mam nic przeciwko, ani byś zatrzymał „Rosamundę”, ani byś ją przechrzcil, jak ci się podoba. – zapewniam. – Przydałby mi się kolejny statek, który wypływałby na północ, podczas gdy ja będę na południu.

– Tylko, co w takim razie z załogą? – docieka.

– Możemy odstawić ich do Majaru, chyba że będą jacyś chętni, by poprzeć naszą sprawę.

– Z pewnością tacy się znajdą. – stwierdza Daniel i dopiero wówczas spogląda na to, co dzieje się na pokładzie, a ja robię to samo.

Moi ludzie przerwali atak, jak im kazałam, a załoga Daniela, nie otrzymawszy żadnych rozkazów, stoi bezradnie w znacznej odległości od nas, bacznie jednak się nam przyglądając. Czekają. Z ich perspektywy wygląda to pewnie tak, jakby ich kapitan negocjował właśnie warunki kapitulacji.

W tłumie dostrzegam Marikę. Stoi nieco z boku, uważnie lustrując moich ludzi, jakby bała się, że któryś z nich jednak zdecyduje się zaatakować. Jej ręce cały czas zatknięte są za pasek w gotowości, by dobyć rewolwerów. Daniel przywołuje ją do nas gestem.

– Marico, mam nadzieję, że rozpoznasz kapitan Arachne?

Marica przygląda mi się spod zmarszczonych brwi.

– Pamiętam cię pod nieco innym imieniem. – stwierdza. – Co tu się właściwie dzieje?

– Co byś powiedziała, gdybym oznajmił, że zostaję piratem? – pyta Daniel.

– Że ci odbiło, ale to bardzo w twoim stylu. – przyznaje artylerzystka. – Ale... jeśli faktycznie zamierzasz zabrać się z piratami, to co będzie z nami? Całą resztą załogi? Dowodzenie przejmie twój oficer?

Jestem nieco zdziwiona, że od razu przyjęła jego decyzję do wiadomości, ale najwyraźniej tyle lat służby pod rozkazami Daniela nauczyło ją, by spodziewać się po nim wszystkiego.

– Zamierzam zabrać ze sobą każdego, kto będzie chętny. – mówi Daniel. – I chciałbym wiedzieć, czy się do nich zaliczasz.

– Chcesz, żebym przyłączyła się do piratów? – pyta zaskoczona, a potem przenosi na mnie pytające spojrzenie.

– Ja nie mam nic przeciwko. – zapewniam.

– Marico, bez ciebie mój statek to sterta rozsypującego się drewna. – mówi Daniel.

Marica przekrzywia głowę.

– Próbujesz mi powiedzieć, że jestem naprawdę dobrym cieślą, czy po prostu przyznajesz w końcu, że łajba, którą odkupiłeś, to sypiący się wrak?

– Próbuję powiedzieć – ciągnie Daniel. – że naprawdę bardzo bym chciał, żebyś, nie ważne dokąd się wybieram, udała się tam ze mną.

Marica patrzy na niego niepewnie, prędko jednak podejmuje decyzję i kiwa głową.

– Niech będzie. – mówi. – Przecież ktoś musi cię pilnować przed popełnianiem całkowitych głupstw i niewybaczalnych życiowych błędów. Mam tylko nadzieję, że oboje wiecie, co robicie. Bo ja nie wiem. A chciałabym, zważywszy, że właśnie zgodziłam się do tego przyłączyć.

– Jestem wdzięczna, że nie uznajesz przyłączania się do mnie jako niewybaczalnego życiowego błędu. – wtrącam. Zdaje się, że czeka mnie jeszcze wiele wyjaśnień, ale najgorsze mam już chyba za sobą.

Raz jeszcze spoglądam na okręt pełen ludzi, którzy nie mają pojęcia, co dalej. Pasażerowie najwyraźniej zbiegli ukryć się pod pokładem, gdy dotarło do nich, że piraci atakują statek.

No właśnie, pasażerowie.

– Tylko, co my właściwie zrobimy z tymi wszystkimi pasażerami? – pytam niepewnie.

– Odstawimy do Kraterii. Jakoś. – stwierdza Daniel. – A w międzyczasie opowiesz nam więcej o tej całej waszej pirackiej działalności.

*Rok 2, dzień cholera wie, który
na „Arachne”*

„WICHER WOLNOŚCI”

Dopadliśmy kolejny statek.

Przez niemal miesiąc tkwiłam wraz z całą „Arachne” u skraju bezpiecznej strefy i czekałam. Pozwoliłam jednemu z okrętów przepłynąć, bo bałam się trwonić czas na pościg. Przez mnie zginęli ludzie i w moim wielkim planie pojawiła się dziura, a mnie pozostało tylko liczyć, że ten jeden raz nie zaważy na jego powodzeniu i nie zniszczy tego, co budowałam ostatni rok.

Zmarnowałam zbyt wiele czasu czekając, jak skończona idiotka.

Łudziłam się, że przez ostatnie pięć lat zżerała go tęsknota równie mocno, jak i mnie, ale on nie wrócił ani do mnie, ani w ogóle.

Przepłakałam całą noc i cały dzień, gdy uświadomiłam sobie, że pewnie nie zobaczę go już nigdy, ale wciąż czuję się rozbita.

Teraz jednak muszę odgrywać silną.

„Arachne” znów wyruszyła na łowy.

Nasz pierwszy okręt po tym chwilowym zastoju płynął z Kraterii, zatem miał za sobą już niemal całą drogę. Pokonał wszystkie potwory tylko po to, by niemal u celu nadzieć się na nasz okręt.

Jestem w swojej kajucie, podczas gdy na zewnątrz moi ludzie przejmują obcy statek. „Wicher Wolności”. Cóż, już dość długo cieszył się tą wolnością.

Nie zawsze wychodzę na pokład, gdy sprowadzają tam załogę przechwyconego statku. „Arachne” nie składa się z jednej jednostki, ale nikt o tym

nie wie. Wszystkie wyglądają podobnie i płyną pod moją banderą. Ale ja znajduję się tylko na tym jednym, zatem nie mogę przyzwyczaić ludzi do tego, że zawsze się pojawiają, bo zaczną coś podejrzewać. Puki myślą, że mój okręt przemieszcza się z niemożliwą prędkością po morzu nietknięty przez potwory, otaczają mnie niemal nabożnym lękiem. Nie mogę dopuścić do tego, by w mojej kreacji pojawiła się jakaś luka, bo zaczną dostrzegać we mnie ledwo człowieka, którego mogą wykpić i pokonać. Staną się zbyt pewni siebie. A na to nie mogę pozwolić.

Czasem jednak muszę się pokazać, by podbudować swoją legendę.

Wiem jak to robić. W końcu obserwowałam jak dokonywał tego sam kapitan Crepusculum.

Widzę przez okna, że moi ludzie powoli sprowadzają załogę tamtego okrętu, zganiają ich pod lewą burtę i związują.

Dziś jest ten dzień, kiedy powinnam się pokazać i to nie tylko, by nieco przestraszyć kolejnych marynarzy. Muszę to zrobić, by udowodnić samej sobie, że wciąż umiem być silną i, że mimo pustki, która dręczy mnie już któryś tydzień, nic się nie zmieniło.

Przed wyjściem spoglądam w lustro.

Nie wyglądam już jak dawna Reyna. Teraz jestem kapitan Arachne.

– Nie jestem potworem. – szepczę. Mam nadzieję, że jeśli będę sobie to powtarzać za każdym razem, te słowa pozostaną prawdą.

Na tych wodach zbyt łatwo stać się potworem.

Nie ruszam bezpośrednio na spotkanie z więźniami. Jak zawsze uprzednio przypatruję im się z pewnej odległości. Towarzyszy mi Joy, którego właściwie mogę określić mianem młodszego brata, a na „Arachne” pełni funkcję pierwszego oficera.

Nagle przestaję oddychać.

Nie wiem, czy mam zwidy, czy to dzieje się naprawdę, bo równie dobrze rozpacz, w którą popadłam nie tak dawno, mogła odbić się na moim zdrowiu psychicznym.

Ale jestem niemal pewna, że jednym z marynarzy sprowadzonych na „Arachne” z „Wichru Wolności” jest James.

– Powiedz, że też to widzisz, a mnie wzrok nie myli. – zwracam się do towarzyszącego mi chłopca.

Joy marszczy brwi, patrząc to na mnie, to na więźniów. Chyba nie do końca rozumie, co mam na myśli.

– Zaraz – mówi. Chyba w końcu go dostrzega. – A to nie kapitan Crepusculum?

Kiwam głową. Im dłużej mu się przyglądam, tym większej nabieram pewności. Jamesa rozpoznałabym wszędzie.

– Odegram swoje przedstawienie, a gdy pójdę, przyprowadzisz go do mojej kajuty, w porządku? – pytam, a Joy energicznie kiwa głową. Jest podekscytowany.

Ale ja jestem przerażona.

– No i powiedz Heardowi, żeby przydzielił mu jakąś kwaterę. – dodaję jeszcze, nim się oddala.

Anika podchodzi do mnie, jednak odprawiam ją dyskretnym ruchem ręki.

– Nie teraz. – mówię, bo nie mam jeszcze pewności, jak wytłumaczyć jej, co się właśnie dzieje.

– Sądzę, że powinnaś to wiedzieć. – nie ustępuje Anika. – Jeden z tamtych żądał rozmowy z tobą.

Maszczę brwi.

– Który? – pytam.

– Wysoki, ciemnowłosy. – wyjaśnia, jednak zbyt oględnie. – Chyba z południa. Wskażę ci, który...

– Nie trzeba. – ucinam. Ten opis za bardzo przywołuje na myśl Jamesa, choć na pokładzie tamtego okrętu mogło być równie dobrze i wielu innych wysokich, ciemnowłosych marynarzy.

Pytanie tylko, skąd wiedział, że jestem Arachne.

– Sądzi, że porwałaś kogoś mu bliskiego. – ciągnie Anika, jednak ja znów ją odprawiam.

Niepokoją mnie jej słowa.

A zatem James wcale nie wiedział, że jestem Arachne. Sądził natomiast, że Arachne zabrała kogoś mu bliskiego. Jednak, z tego co pamiętam, James nie miał nikogo bliskiego. Czyżby ostatnie pięć lat to zmieniło? Dlatego znalazłam go na morzu, wracającego z Kraterii? Szukał kogoś, kto stał mu się bliski, a o zaginięcie tej osoby obwiniął mnie?

Przemierzam pokład szybkim krokiem, ledwo spoglądając na więźniów. Jeszcze chwilę temu byłam gotowa wygłosić jakąś przemowę, ale teraz dławi mnie pewność, że jeśli spróbuję, nagle mój głos się załamie i zniszczę wszystko, co tak uparcie tworzyłam.

Boję się spojrzeć na więźniów. Boję się napotkać jego wzrok.

– Pod pokład z nimi! – wołam, odwracając się do swoich ludzi. – Tamtego przyprowadźcie do mnie. – dodaję nieco ciszej, bo mój głos już zaczyna odmawiać mi posłuszeństwa. Wskazuję mniej więcej w stronę, gdzie widziałam Jamesa, ale to bez znaczenia, bo Joy wie już, że ma go do mnie przyprowadzić.

Moja załoga prowadzi marynarzy z „Wichru” pod pokład, a ja wracam do kajuty.

Mam wrażenie, że zaraz zesłabnę. Zdejmuję płaszcz i przerzucam go przez oparcie krzesła, ale niewiele mi to pomaga.

Choć od lat myślałam tylko o tym, w jakich okolicznościach nastąpi nasze spotkanie po latach, nie jestem zachwycona faktem, że ma ono miejsce na pokładzie „Arachne”. Liczyłam raczej, że spotkamy się w Port–Majar, tuż po jego powrocie, a o kapitan Arachne opowiem mu w odpowiednim momencie. I powiem mu prawdę, powiem mu, że jedyne do czego dążę, to oczyszczenie tych wód ze zła i potworów.

Ale on najpierw poznał Arachne z opowieści. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, było napadnięcie na inny okręt i uprowadzenie całej jego załogi. Nie będzie łatwo wytłumaczyć mu, co tak naprawdę tu robię. Mam tylko nadzieję, że wciąż mi ufa.

Niepokoi mnie jednak fakt, że odnalazłam go na okręcie płynącym z Kraterii. Znaczyło to, że wrócił na tyle dawno, by się tam udać i wracać z powrotem do

Majaru. Nie czekał na mnie. Nie szukał mnie.

Minęło pięć lat i wyraźnie nie miałam już dla niego znaczenia.

Opieram się o biurko i niemal w tej samej chwili słyszę łomot do drzwi kajuty. Tak jak podejrzewałam, jest to Joy.

– Wejść! – wołam, ale Joy nie wchodzi do środka. Zamyka jedynie drzwi za Jamesem Crepusculum i znika.

Patrzę na niego bez słowa, nagle zupełnie nie wiedząc, co powinnam powiedzieć.

Chcę wytłumaczyć mu wszystko: o Arachne, o tym, co robię. Jednocześnie chciałabym opowiedzieć mu wszystko, co działo się przez zeszłe lata i równie mocno pragnę powiedzieć, jak bardzo mi go brakowało. Powstrzymuje mnie przed tym fakt, że nie wiem, jak mam interpretować jego niespodziewane pojawienie się na krateriańskim okręcie.

– Witaj, James. – mówię w końcu. Chciałabym przestać grać, ale nie wiem, czy mogę. Mój głos podejmuje jednak decyzję za mnie, bo brzmi zbyt cicho i słabo, jak na nieustraszoną kapitan Arachne.

– Witaj, Reyno. – odpowiada, a ja wciąż nie wiem, od czego mam zacząć.

Opuszczam ręce, które jak dotąd trzymałam skrzyżowane. Może w oczach innych wyglądało to, jakbym była pewna siebie, ale tak naprawdę powstrzymywałam się przed zupełnym rozsypaniem. Teraz nie wiem, co mam z nimi robić.

– Co ty tu robisz, James? – pytam w końcu, bo zdaje się, że na tej odpowiedzi zależy mi najbardziej.

Nim odpowiada, przez chwilę się waha.

– Mógłbym zapytać cię o to samo. – mówi. Coś ściska mnie w sercu na dźwięk jego głosu. Nie potrafię dosłyszeć w nim żadnych emocji. Zdaje się, że to spotkanie nie cieszy go tak bardzo, jak na to liczyłam. Ale stoi tu teraz i oczekuje odpowiedzi.

Biorę głęboki oddech.

– Ukończyłam Akademię Morską – zaczynam niepewnie. – kupiłam statek, bez nazwy i bez przeszłości. Nadałam mu nazwę i dałam mu cel. Przepłynęłam Bestialskie Morze parę razy tam i z powrotem. Chyba nawet zostałam żywą legendą. A tobie jak minęło ostatnie pięć lat?

– Byłem na południu, jak było zaplanowane. – mówi ostrożnie. – Wróciłem do Majaru i doszły mnie słuchy o kapitan Arachne, ale w życiu nie pomyślałbym, że to ty.

Słyszając, że do jego uszu dobiegły słuchy o mojej działalności, mimowolnie uśmiecham się pod nosem.

– Chyba faktycznie „Arachne” stała się dość sławna. – przyznaję. Cóż, taki był zresztą plan.

– Jest postrachem morza. – zauważa James.

Nie mam pewności, co o tym sądzi. Ale może jednak nie jest tak źle, jak myślę. Może wrócimy do tego, co było między nami lata temu, jeśli na nowo do siebie przywykniemy.

– Coś ty narobiła, Reyno? – pyta.

Więc nie rozumie, co tu robię. A ja muszę wytłumaczyć mu to tak, by zrozumiał, że dążę do tego, o czym właściwie oboje marzyliśmy: aby te wody na powrót stały się bezpieczne.

– Ja chcę tylko naprawić ten zepsuty świat. – mówię, ale on zdaje się nie do końca pojmować, co mam na myśli.

– A gdybyś wiedziała, że płynę tym statkiem... oszczędziłabyś go? – pyta, nim zdążę powiedzieć coś więcej.

Nie wiem dlaczego, ale nagle nachodzi mnie dziwna myśl, że może James zamierza próbować odwieść mnie od tego, co robię. Może teraz, gdy wie, że straszna kapitan Arachne to tak naprawdę Reyna, którą tak dobrze poznał lata temu, spróbuje nakłonić mnie do porzucenia życia, jakie sobie wybrałam. Ale ja nie mogę tego zrobić, nie ważne, jak bardzo go kocham.

Los Bestialskiego Morza i setek ludzkich żyć w zamian za dawne uczucie, które teraz wydaje się jednostronne.

– Chciałabym móc ci powiedzieć, że, gdybym tylko wiedziała, że jesteś na pokładzie, nie zaatakowałabym tego statku, ale to nie prawda. Zaatakowałabym go nawet gdyby płynął nim sam król Majaru. Uniknęłabym jednak zaskoczenia, jakim było dla mnie zobaczenie cię pośród załogi. – wyjaśniam. – Jesteś teraz sternikiem? Zdegradowali cię?

James nie odpowiada, jednak na jego twarzy widzę tak wiele różnych emocji, że ledwo jestem w stanie je rozpoznać i nazwać.

Chcę dać mu jasno do zrozumienia, że musi zaakceptować to, kim się stałam. Wciąż jednak nie wiem, co tak naprawdę sądzi na temat wszystkich tych rewelacji, decyduję więc, że może lepiej będzie spróbować wyjaśnić mu to wszystko na spokojnie, jak od początku zamierzałam. Tyle, że nie jestem w stanie zrobić tego teraz. Muszę dobrze przemyśleć, jak mu to przekazać, a na to potrzebuję czasu.

– Pomówimy o tym wszystkim jutro, w porządku? Dziś mam do załatwienia jeszcze sporo kwestii związanych z waszym statkiem. – mówię, licząc, iż kłamstwo to wybrzmiało na tyle gładko, że James będzie w stanie w nie uwierzyć.

James kiwa głową i odwraca się do wyjścia. Nie wygląda na przekonanego do czegokolwiek. W duchu wiem, że kolejna rozmowa będzie pewnie jeszcze trudniejsza. Poznałam go na tyle dobrze, by nauczyć się, że jest z niego nad wyraz uparty typ.

– Anika mówiła, że chciałeś ze mną mówić, bo kogoś szukasz. – wyrzucam z siebie jeszcze, nim zdąży wyjść. Muszę to wiedzieć.

– Tak. – potwierdza, nawet na mnie nie patrząc. – Szukałem.

A potem wychodzi.

Gdy drzwi do mojej kajuty zamykają się za nim, unoszę rękę i ściskam nasadę nosa, łudząc się, że powstrzymam w ten sposób łzy.

Wiem, że załoga „Wichru Wolności” jest już pod pokładem, ale zwykle całą drogę, gdy mamy na statku potencjalnych wrogów, nie wychodzę ze swojej roli. Teraz jednak, świadoma, że raczej żaden z nich nie wpadnie nagle do mojej kajuty, rozpuszczam włosy i znów staję przed lustrem.

Dziewczyna, która patrzy na minie tym razem, to nie Arachne, a Reyna, tyle że nieco starsza i bardziej zmęczona. Moja twarz jest blada, oczy podkrążone, ale nie pamiętam, by były takie, gdy wcześniej wychodziłam z kajuty.

– Nie jestem potworem. – powtarzam sobie szeptem, choć dręczy mnie myśl, czy James nie uważa czasem czegoś zupełnie przeciwnego.

Odwracam się, nie mogąc znieść widoku tego, jak żałośnie wyglądam.

Gdy jest na tym pokładzie, muszę starać się bardziej, muszę pokazać mu, że to co robię ma cel i, że już osiągnęliśmy naprawdę wiele. Może wówczas przestanie patrzeć na mnie, jak gdyby mnie nie poznawał.

Trzymam się tej myśli z niebywałą determinacją i lękam się, że jeśli mnie zawiedzie, straszliwa Kapitan Arachne rozsypie się na kawałki.

*Tydzień 1, dzień 1
ponownie na Dużej Draquarii*

POWRÓT DO KRYJÓWKI PIRATÓW

Gdy w końcu dopływamy do Dużej Draquarii i opuszczamy trap, załoga schodzi na ląd radośnie, czując się, jakby wracali do domu.

Osobiście nie lubię tej wyspy. Jest na niej zimno i wiecznie pokrywają ją mgły. O wiele bardziej wolę czas spędzony na morzu, na „Arachne”. O ironio, gdybym usłyszała siebie pięć lat temu na „Aquariusie”, byłabym pewna, że ze strachu postradałam rozum.

James dołącza do marynarzy i jest już na lądzie, ja jednak zostaję jeszcze chwilę na statku. Zauważam, że Randel również nie spieszy się z opuszczeniem pokładu.

– Co planujesz? – pyta z krzywym uśmiechem.

Wzruszam ramionami.

– Czas pokaże. – mówię, bo sama nie jestem pewna, co dalej.

Mimo, iż James widział, jak radzimy sobie z potworami, wciąż odnoszę wrażenie, że nie jest tym wszystkim zachwycony. Wciąż wydaje się być jakiś odległy. Obcy.

Jakby to nie był ten sam James, którego pożegnałam lata temu.

Randel wstaje z beczki, na której jak dotąd siedział i zdaje się, że rusza, by zejść po trapie na ląd, ale mijając mnie gwałtownie się zatrzymuje.

– Chciałbym wiedzieć jeszcze jedną rzecz. – zagaduje artylerzysta, a ten uśmiech, który zdecydowanie wystarczyłby by uznać go za podejrzanego typa,

wciąż nie schodzi mu z twarzy. – Ty i Crepusculum. Nie ulega wątpliwości, że się znacie, ale jest w tym coś jeszcze. Coś między wami było?

Gorączkowo zastanawiam się nad odpowiedzią. Prawdę znają tylko najbliżsi mi spiskowcy z Heardem i Jackinem na czele, ale ufam Randelowi. Co najwyżej trochę się ze mnie ponaśmiewa, ale nie robi mi na złość.

– Może... nie ujęłabym tego w ten sposób. – stwierdzam.

– A w jaki? – docieka. W myślach przeklinam jego wścibskość. – Daj spokój, wiesz, że nie odpuszczę, nim nie zaspokoisz mojej ciekawości. – wciąż chytrze się uśmiecha. – Jak się poznaliście?

– Kojarzysz... tragedię na „Aquariusie”? – pytam, przełykając głośno ślinę. Może i minęło sporo czasu, mnie jednak wciąż z trudem przechodzi przez gardło nazwa tego przeklętego okrętu.

– Pewnie tak, choć teraz nic mi to nie mówi...

– Katastrofa na Złudzie Żeglarza. Bunt oficera... – podpowiadam.

Randel klaska w dłonie.

– Tak! Już wiem! Bunt oficera, który skierował statek na Czerwone Skały. Z całej załogi przeżyły tylko trzy osoby, które prądy wyrzuciły na Dale. Stamtąd zabrał ich jakiś statek, ale nie pamiętam ani jego nazwy, ani czyj był. Tak czy inaczej, mam rację?

– Z grubsza. – przyznaję, nie zamierzając korygować szczegółów, które i tak pewnie były dla niego całkowicie nieistotne.

– I gdzie w tym wszystkim ty i Crepusculum? – pyta, marszcząc brwi, po czym nagle otwiera szerzej oczy. – Czeka, niech zgadnę... Ten statek, który ich ocalił, należał do Jamesa, a ty byłaś częścią załogi?

– Nie. Ten statek, to akurat była „Rosamunda” kapitana Moondrownera. – uśmiecham się pod nosem.

– Daniela? – Randel unosi brwi. – Więc może... ty byłaś częścią załogi, a Crepusculum jednym z ocalałych z „Aquariusia”?

– Z jednym zgadłeś. Z drugim nie.

– Dobrze, dobrze, skoro z jednym... Crepusculum nie mógł płynąć „Rosamundą”, chyba, że jako pasażer, a ty jako załogantka, ale wtedy nie byłoby miejsca na interesujący i płomienny romans, więc... oboje byliście na „Aquariusie” gdy tonął? Utknęliście na Dali?

Kiwam głową na potwierdzenie.

– Choć w jednej kwestii wciąż się mylisz. – uprzedzam pospiesznie. – Nie było w tej historii żadnego romansu, a już na pewno nie płomiennego.

Nie pozwalam mu nawet kontynuować i rzucam w pośpiechu, aby odnalazł Christianę i powiadomił ją o tym, że życzę sobie ją na pokładzie podczas następnego rejsu.

Efekt jest natychmiastowy: Randel zbiega po trapie w podskokach, a ja wolno ruszam za nim, jak zwykle jako ostatnia opuszczając okręt.

Choć moja załoga powoli się rozchodzi, na lądzie czeka na mnie Daniel. Z pewnością wyczekuje informacji na temat tego, czy udało mi się spotkać Jamesa, a co ważniejsze, jak to spotkanie przebiegło. Odczuwam ulgę na myśl, że za chwilę będę mogła podzielić się z nim wszystkim, co mnie dręczy. Mam wrażenie, że on jako jedyny zrozumie. Wspierał mnie od samego początku i wierzę, że będzie robił to do końca.

Może podpowie mi, co robić, choć wiem, że ostatecznie będę zdana sama na siebie. Muszę pokazać Jamesowi, co osiągnęliśmy, ilu ludzi mnie wspiera i jak daleko zaszłam. Musi w końcu zrozumieć, że to co robię, jest ważne dla przyszłości Majaru, Kraterii i całej masy ludzi, którzy mogliby stracić życie na tych wodach, ale ja zamierzam ich ocalić.



– ...no i wtedy jeszcze Anika powiedziała mi, że gdy go napadli, powiedział, że obwinia mnie o uprowadzenie jego ukochanej. – dodaję, przyjmując od Daniela kolejną chusteczkę i wydmuchując w nią nos.

– A to drań. – mruknął Daniel.

Od niemal godziny słucha moich żali, przerywając tylko w kluczowych momentach i określając Jamesa kolejnym mianem, z czego każde mogłoby się znaleźć w słowniku wyrazów bliskoznacznych w tej samej kolumnie.

Przez cały ten czas drzwi do chaty, którą zajmuje Daniel i Marica, sporadycznie się otwierają, a Marica wchodzi i wychodzi, grzebiąc w swoich narzędziach, a potem odchodząc, żeby podłubać trochę przy statku, jednak na nas w ogóle nie zwraca uwagi, zupełnie zatopiona w swoim świecie zębatek i śrubokrętów.

– No i nie ważne, jak się staram, to i tak nic z tego, bo on zachowuje się, jakby zupełnie mnie nie znał. Myślałam, że to się zmieni, kiedy już wszystko mu wyjaśnię, ale mam wrażenie, że on ciągle za czymś tęskni i jestem pewna, że nie odnalazł tego na moim statku. – mówię, ocierając łzy. – Podejrzewam, że chodzi o tę dziewczynę, której szukał.

– A pytałaś go o nią? – docieka Daniel.

– Tak. I tyle, co się dowiedziałam, to że faktycznie jej szukał.

– Nie pytałaś, kto to taki?

Parskam śmiechem, choć zupełnie nie jest mi wesoło.

– To cholerny kapitan Crepusculum. – zauważam. – To może być równie dobrze jakaś księżniczka z południa.

– Nie chcę cię dodatkowo dobijać – mówi powoli Daniel. – ale ja od początku mówiłem, że powinnaś mu powiedzieć, że go kochasz.

Patrzę na niego spod zmarszczonych brwi.

– Przecież go pocałowałam. – przypominam.

Daniel parska.

– Jestem pewien, że każda dziewczyna w Majarze chciałaby go pocałować. To jeszcze niczego nie dowodzi.

Wzdycham ciężko, opierając głowę na dłoniach. Staram się skupić wzrok na czymkolwiek, byle zająć choć na chwilę myśli i odciąć się od tej beznadziejnej rozpacz. Moje spojrzenie na moment zatrzymuje się na byle jak skleconej półce,

na której stoi kolekcja powieści awanturnicznych, tak bardzo uwielbianych przez Daniela. Sama półka wygląda, jakby lada moment miała się zawalić, a ja zastanawiam się, dlaczego Marica jeszcze się nią nie zajęła.

– I... co teraz zamierzasz? – przygląda mi się uważnie. Niestety, sama nie znam na to odpowiedzi.

– A co powinnam? – pytam, bo mam wrażenie, że jeśli ktoś nie pokaże mi palcem, jak powinien wyglądać mój następny ruch, to będę tak trwać w tym beznadziejnym stanie wiecznie.

– Może dla pewności zapytaj swojego kapitana, co on zamierza. Domyślam się, że nie wsadzisz go do jaskini z resztą jego załogi, skoro już mu o wszystkim opowiedziałś i zdradziłaś lokalizację kryjówki, ale nie wyraził także chęci przyłączenia się do nas. Spotkaj się z nim. Pokaż mu statki, powiedz jak dużo już osiągnęliśmy i zapytaj, czego by chciał. Jeśli powie, że wracać do Majaru albo szukać tej swojej królowny, to kopnij go w zadek i wsadź na pierwszy lepszy statek.

Uśmiecham się blado, słysząc jego słowa, ale wiem, że to wyjście będzie najrozsądniejsze. Nim wychodzę, Daniel ściska moją rękę, uśmiechając się pokrzepiająco.

Choć ja i moja załoga razem mierzymy się z potwornościami tego świata i wszelkimi przeciwnościami losu, jakie stają nam na drodze, niektóre walki muszę stoczyć sama.

A najtrudniejsza jest ta o serce Jamesa.

*Rok 2, dzień... dawno już przestałam liczyć
wciąż na „Arachne”*

SZMARAGDOWE FALE

Jestem wdzięczna tym głupim kałamarnicom, że nas zaatakowały.

Teraz mam przynajmniej wymówkę, której mogę używać, ilekroć ktoś pyta, czy aby na pewno wszystko ze mną w porządku. A od tygodnia pytają o to aż nazbyt często.

Nigdy nie potrafiłam dobrze ukrywać swoich uczuć. Nawet gdy wcielałam się w Arachne, nie trwało to wiecznie. Załoga wiedziała, że coś jest ze mną nie tak, a ja nie zamierzałam im mówić, że moje fatalne samopoczucie związane jest z oddaniem „Zmierzchu” pod rozkazy Jamesa.

Może i nie traciłam go zupełnie, ale i tak w jakimś stopniu traciłam.

Odkąd go odnalazłam, coraz bardziej przekonywałam się, że moje marzenia zostały zrujnowane i nigdy już się nie spełnią. Zmieniłam się i nie mogłam oczekiwać, że James nie zrobi tego samego. Był inny, bardziej odległy. Zniknęła cała zażyłość, jaka połączyła nas po katastrofie „Aquarius”. Choć przez pięć lat nie marzyłam o niczym innym, jak o tym, by wrócił, to jego towarzystwo boli mnie i rani. Podjęłam już decyzję. Musiał odejść.

Ale, że nie potrafię pozwolić mu odejść całkowicie, wolę, by pozostał jako jeden z moich kapitanów.

Liczę, że w końcu nauczę się tego dziwnego, nowego życia. Choć podświadomie przeczuwam, że to ten rodzaj rany, który, wciąż na nowo rozdrapywany, nigdy się nie zagoi.

Kałamarnice to świetna wymówka na to, co mnie gnębi. Źle obliczyłam trasę. Trzeba się tym zająć. To mój priorytet. Wcale nie chodzi o zbliżające się wielkimi krokami odejście Jamesa.

Gdy tylko mogę, zaszywam się w kajucie. Od tygodnia znajduję się w dziwnym stanie na granicy łez, ale dopiero w samotności pozwalam im płynąć. Pytana o cokolwiek przez kogokolwiek, jestem bardziej wredna niż zazwyczaj, choć nie mam takiego zamiaru. Nie chcę po prostu, by mnie męczyli. Chcę, by dali mi spokój.

Może popełniłam błąd.

Może popełniłam ich zbyt wiele.

To właśnie w mojej kajucie zastaje mnie James, który wyraźnie czegoś ode mnie potrzebuje.

Przeklinam go w duchu. Gdyby trzymał się z daleka, może rany zagoiły by się choć odrobinę, nim znów je rozdrapię, ale jego widok działa tak, jakbym sypała na nie dodatkowo sól.

– O co chodzi? – pytam, gdy wchodzi.

Mam nadzieję, że nie dostrzeże w jak opłakanym stanie się znajduję. Zaglądałam w lustro i wiem, że daleko mi teraz do nieustraszonej kapitan. Wyglądam bardziej, jakbym zaraz miała rozpaść się na kawałki. Włosy tym razem pozostawiłam rozpuszczone, by choć trochę zasłoniły moją twarz, ale on pewnie jak zwykle przejrzy to przebranie. Jakby inaczej, jest przecież wielkim kapitanem Crepusculum.

– Chciałem cię tylko powiadomić – zaczyna powoli, wyraźnie ostrożnie dobierając słowa. – że nie podejmę się dowództwa nad „Zmierzchem”. Gdy dopłyniemy do Majaru, zamierzam tam zostać.

W pierwszej chwili te słowa bołą bardziej niż cios nożem w serce. W następnej myślę, że nie mógł podjąć lepszej decyzji.

Dla mnie też tak będzie lepiej. Może w końcu pozbieram się do kupy. Ale najpierw muszę rozpaść się całkowicie.

– W porządku. – mówię, prosząc w duchu, by mój głos nie brzmiał żałośnie. Nie mogę na niego patrzeć. Chcę, by wreszcie zostawił mnie samą. – Jeśli to tyle, to możesz już iść.

– Nie masz do powiedzenia nic więcej, kapitan Arachne?

Wzdrygam się zaskoczona zarówno jego słowami, jak i zjadliwością jego głosu.

– Słucham? – teraz już nie mogę się powstrzymać i patrzę na niego zaskoczonym wzrokiem.

– Przecież uwielbiasz brzmienie tego imienia, czyż nie? – pyta. Coś jest w jego tonie, co sprawia, że brzmi niemal szyderczo. – Uwielbiasz świadomość, że tylko ty masz nad tym wszystkim kontrolę. Uwielbiasz napawać się władzą, jaką daje ci ten tytuł.

Nie spodziewałam się usłyszeć od niego niczego takiego. Jestem zaskoczona, ale prócz tego czuję się też zraniona.

Jakby nie wystarczało, jak bardzo ranił mnie do tej pory. Musiał jeszcze dolewać oliwy do ognia i odejść w popiołach naprawdę zjawiskowej tragedii.

Cóż, takiego dramatyizmu właściwie mogłam się spodziewać po kapitanie Crepusculum. Ale nie po Jamesie.

– Przestań. – przerywam mu ostro. Nie chcę tego słuchać. Nie chcę, by zadawał mi jeszcze więcej bólu. Jeśli chce odejść, niech odejdzie, ja już jestem dostatecznie rozbita.

Na chwilę coś w wyrazie jego twarzy się zmienia i mam nadzieję, że odpuści, ale nie, on dopiero zaczyna.

– To ty przestań mnie traktować, jakby nigdy nic nas nie łączyło. Jakby Dala nigdy nie miała miejsca, jakbym był tylko jednym z marynarzy z porwanych przez ciebie okrętów. Przestań traktować mnie, jakby nigdy ci na mnie nie zależało! – krzyczy.

Nie wierzę w to, co słyszę. Przecież sam zachowywał się dokładnie tak samo.

– Jakbym tylko ja to robiła! – wstaję tak gwałtownie, że trzęsie się całe biurko. – Jakbyś ty nie robił dokładnie tego samego! Zachowujesz się, jakbyś

w ogóle mnie nie znał.

Nienawidzę się za to, że ostatnie słowa przepelnione są żalem, liczę jednak, iż tego nie dosłyszysz.

– Odnoszę wrażenie, że dokładnie tak jest. – stwierdza. – Szukałem cię! Przepłynąłem to przekłete morze dwa razy i zrobiłbym to raz jeszcze, żeby cię znaleźć. Byłem gotów na spotkanie z piratami, żeby cię odzyskać, ale, nie zgadniesz, co się okazało! Że to ty jesteś ich przywódcą!

Nie mogę oddychać.

Cały ten czas myślałam, że podczas swojej pięcioletniej podróży James poznał kogoś i go stracił. Że nie dbał już o mnie albo zapomniał o tym, co nas połączyło. Albo, że nie miało to dla niego znaczenia. Że szukał kogoś, a ja stanęłam mu na drodze i nie chciałam przepuścić.

Cały ten czas szukał mnie.

Patrzę na niego oniemiała. Nie wszystkie elementy tej układanki wchodzą na swoje miejsca. Zdaje się, że bez jego pomocy nie dam rady jej poskładać.

Powoli obchodzę biurko i opieram się z drugiej strony.

– To mnie szukałeś? – mój głos jest bardzo cichy. Gniew już z niego wyparował. Teraz chcę tylko to wszystko zrozumieć. – Gdy napadliśmy „Wicher Wolności”... szukałeś mnie?

– Wróciłem do Majaru – mówi powoli. Zdaje się, że i jego gniew osłabł, bo teraz wydaje się być bardziej zaskoczony, niż wściekły. – i chciałem się z tobą zobaczyć, ale powiedziano mi, że w ogóle nie ma cię w kraju. To takie dziwne, że chciałem cię odnaleźć?

– Nie, tylko... – zaczynam zmieszana, nie wiedząc, jak wyjaśnić mu przyczynę tego nieporozumienia. – Gdy dopadliśmy „Wicher Wolności”, Anika powiedziała mi, że jest na nim marynarz, który żąda rozmowy ze mną. Ponoć zakłada, że uprowadziliśmy jego ukochaną. Zobaczyłam ciebie na pokładzie i kazałam cię uwolnić, potem poszłam po Anikę, by wskazała mi, kto z załogi tak uparcie chce ze mną mówić, a ona oznajmiła, że to ty. Sam mi to potwierdziłeś, gdy cię zapytałam, powiedziałeś, że owszem, szukałeś kogoś. Ale skoro szukałeś

ukochanej, to dlaczego teraz próbujesz mi wmówić, że szukałeś mnie? Kogo szukałeś tak naprawdę? Ukochanej, czy mnie?

– A co, jeśli obie odpowiedzi są prawdziwe? – pyta.

Nie jestem w stanie wydusić choćby słowa.

James mnie kochał.

Cały ten czas, a ja zaprzepąściłam wszystko, o czym kiedykolwiek marzyłam.

Mogłam być z Jamesem, ale wybrałam ocalenie świata. Tyle, że to co robiłam, odnosiło efekty, mój plan działał. Bestialskie Morze mogło zostać w końcu oczyszczone z potworów. A ja mogłam poświęcić to wszystko dla własnego szczęścia.

Ale... możliwość, że James czuł do mnie to samo, co i ja do niego wydawała się tak abstrakcyjna, że nie rozumiem, jak mógł mnie winić za to, że w to nie dowierzałam.

Pewnie powinnam coś odpowiedzieć, ale od dawna wstrzymywane łzy znalazły się już na granicy i pewnie popłynęłyby, gdybym tylko otworzyła usta, a zatem milczę.

– Pytałem o ciebie. – ciągnie James, widząc, że się nie odzywam. – Dowiedziałem się, że zaginęłaś na morzu jakiś rok temu. A jeszcze potem usłyszałem o „Arachne” i skojarzyłem fakty. Początki jej działalności pokrywały się z twoim wypłynięciem na Bestialskie Morze, więc założyłem, że cię dopadła. Wyruszyłem cię szukać.

– Ja też chciałam się z tobą zobaczyć, gdy już wrócisz. – mówię cicho. Pierwsza łza wypływa, choć nie udzieliłam jej na to pozwolenia. Ona jednak nie słucha moich rozkazów. Mój smutek najwyraźniej jest wyższy rangą ode mnie. – Mówiłam, że mam szpiegów w Majarze i Kraterii. Niedługo przed twoim planowanym przybyciem do Port-Majar zabrałam „Arachne” w jego okolice. Czekaliśmy miesiąc na granicy bezpiecznej strefy, ale mój szpieg zapewniał, że puki co nie wróciłeś. Przyznam, że nieco mnie to przygnębiło, ale nie widziałam sensu, by dłużej tam czekać i wróciłam na pełne morze.

To niedopowiedzenie. To, co „nieco mnie przygnębiło” sprawiło, że przez kilka dni byłam wrakiem człowieka.

– Miałem niewielkie opóźnienie. – przyznaje James. – Przyplłynęliśmy dwa tygodnie później, niż było to planowane. Ale skoro czekaliście miesiąc, twój szpieg powinien był dać ci znać o moim powrocie.

– Zapewniał, że nie wróciłeś. – utrzymuję. Aż nazbyt dobrze pamiętam tamtą rozmowę z chłopcem którego wysłałam na przeszpiesi do Port-Majar.

– Myślałem, że po tym wszystkim będziesz na mnie czekać. Właściwie obiecałaś mi to. – w jego głosie pobrzmiwa gorycz. – Ale ciebie nie było.

Choć nie miałam takiego zamiaru, zdaje się, że go zawiodłam.

– Chciałam zostać jeszcze ten jeden rok, ale byłam świadoma, że wszystko zaprzepaszczę. – wyjaśniam. Chcę, żeby zrozumiał, choć jestem świadoma, że moje wyjaśnienia niewiele już zmieniają. – Gdybym nie wypłynęła po zakończeniu akademii, moja załoga rozsypałaby się po obcych okrętach i pewnie nie byłabym już w stanie pozbierać jej z powrotem. Mogłam albo na ciebie czekać, albo wypłynąć i coś zdziałać. Liczyłam na to, że i tak uda nam się zobaczyć po twoim powrocie. Czekałam na ciebie na morzu. – właściwie, to wina chyba w większej mierze leży po stronie szpiega. Tak przynajmniej sobie wmawiam, by nie obwiniać samej siebie. – Nie możesz mnie winić za cudzy błąd. Zresztą, nie ty jeden byłeś w szoku, gdy zobaczyłeś mnie tamtego dnia na pokładzie „Arachne”. Wiesz, jak bardzo się zdziwiłam, gdy okazało się, że należysz do załogi zaatakowanego przez nas statku? Że jednak wróciłeś? Uwierzyłam, iż jakaś siła jednak pokierowała nami tak, by udało nam się odnaleźć, ale ty zachowywałeś się, jakbym była kimś obcym. Jakbym nie była tą samą osobą, z którą ślęczałeś na wyspie przez niemal miesiąc. Tą samą którą... – przerywam na chwilę, gdy przed oczami staje mi scena naszego pożegnania. Łudziłam się wtedy, że coś dla niego znaczyłam. I chyba jednak się nie myliłam. – Miałam nadzieję, że zrozumiesz, że przyłączysz się do nas, ale ty, choć to zrobiłeś, nadal traktujesz mnie, jakbym była dla ciebie nikim więcej, jak przywódcą piratów. Myślałam, że wtedy... po Dali i po tym wszystkim, myślałam, że coś nas połączyło.

Nie jestem w stanie powstrzymać łez, które płyną po moich policzkach.

– I nie myliłaś się. – przerywa mi. Zaskakuje mnie łagodność jego głosu w chwili, kiedy cały mój świat się sypie. – Chcesz wiedzieć, skąd wynikało moje opóźnienie?

Mało mnie to obchodzi, ale kiwam głową.

– Byłem w Norii. – wyjaśnia.

– To zrozumiałe, że chciałeś się dowiedzieć, co z twoją rodziną, skoro i tak byłeś w okolicy. – mówię bez entuzjazmu. Może i ten fakt sprawił, że nie spotkaliśmy się na czas, ale nie mam zamiaru go o to obwiniać. Dostatecznie mocno już obwiniam samą siebie.

– Ależ skąd. Mam gdzieś moją rodzinę. – sięga do kieszeni i coś z niej wyciąga. Niewielki przedmiot mieni się w blasku oliwnej lampy. – Nie ma na świecie lepszych jubilerów, niż ci z Norii. – wyjaśnia. – Moje opóźnienie wynikało tylko i wyłącznie z mojej winy, bo udałem się do Norii po pierścionek. Dla ciebie.

Patrzę na niego oniemiała.

– Kochałem cię. – mówi. – I chciałem ci się oświadczyć po powrocie. Tylko, że ciebie już nie było.

Przez chwilę nie jestem w stanie wydusić z siebie ani słowa. Ocieram dłonią twarz, mokrą od łez.

To chyba moja kolej, by wyznać mu, co czuję.

– Nie mam pojęcia dlaczego, do diabłów, mnie pokochałeś, ale ja też cię kochałam. Wciąż kocham. I nigdy nie chciałam cię skrzywdzić, James. – mówię. – Ale czułam się skrzywdzona przez ciebie. I w pewnej chwili stwierdziłam, że nie potrafię już dłużej tego ciągnąć.

– Więc posłałaś mnie na „Zmierzch”. – kończy za mnie, jakby doskonale mnie rozumiał.

– Męczyłam się, oglądając każdego dnia twoją obojętność. Założyłam, że najlepiej będzie, jeśli odejdiesz, ale jestem tak okropną egoistką, że nie chciałam pozwolić ci odejść całkowicie. Umieszczenie cię na jednym z moich statków jako kapitana, wydawało się być idealnym rozwiązaniem.

– Nie winię cię za to. Sam postąpiłbym podobnie. – zapewnia. – Pod wieloma względami jesteśmy identyczni.

– Nie jesteśmy identyczni. – stwierdzam. Właściwie, to mam wrażenie, że niekiedy nie moglibyśmy różnić się bardziej. – Gdybyśmy mieli coś zbudować, różniłoby się to diametralnie już od podstaw.

Widzę, że James zamierza coś powiedzieć, jednak nie daję mu dojść do słowa.

– Wszystko zaprzepaściłam, prawda? – pytam, choć to bardziej stwierdzenie, wpatrując się w trzymany przez niego pierścionek. – To wszystko już przepadło.

– Wszystko zależy od ciebie. – mówi, ku mojemu zaskoczeniu wyciągając ku mnie rękę z pierścionkiem. – Przywiozłem go dla ciebie. Jest twój. Nawet jeśli mnie nie chcesz, weź go.

Nie wiem dlaczego w moje poharatane serce wstępuje nadzieja, gdy odsuwam się od biurka i idę do niego, starając się otrzeć łzy, choć z pewnością już je widział. Zatrzymuję się na wyciągnięcie ręki, analizując jego słowa.

Dawał mi pierścionek, nawet jeśli nie chciałabym jego. Czy to znaczyło, że on wciąż chciał mnie?

To wydaje się zupełnie nieprawdopodobne, ale nie mogę pozbyć się nadziei, która dopadła mnie chwilę temu. Na przemian nachodzą mnie myśli o tym, co straciłam i o tym, że może to jednak nie prawda, aż nie mogę powstrzymać kolejnej fali łez, które usilnie chcę ukryć, ale wiem, że nie mam jak.

Stoję tak blisko niego. Zamiast odpowiedzieć, bo wyraźnie czeka na jakąkolwiek odpowiedź, jedynie go obejmuję. Przez chwilę mogę ukrywać swój smutek i swoje łzy.

– Reyno, już wszystko w porządku. Może być tak jak dawniej, jeśli tylko tego chcesz. – mówi James, przesuwając ręką po moich włosach. Powoli odchyłam głowę, by móc na niego spojrzeć. Poniewczasie przypominam sobie o tym, że twarz mam mokrą od łez, więc w pośpiechu ocieram ją rękawem.

– Żałuję, że nie odbyliśmy tej rozmowy wcześniej. – przyznaję. – Zostało nam okropnie mało czasu.

– Do czego? – pyta. Nie rozumie o co mi chodzi, ale dlaczego? Przecież on sam przyszedł, by powiedzieć mi o tym, że zostaje w Port-Majar.

– Cóż, mamy za sobą już pół drogi do Majoru. – zauważam.

– Nigdzie się nie wybieram. – oznajmia, a ja otwieram szeroko oczy na te słowa. – Zostaję z tobą. Kocham cię, Reyno. – mówi, a na jego usta wstępuje słaby uśmiech. – I naprawdę chciałbym wiedzieć w jakiej formie przyjmiesz ten pierścionek.

– Czy to są oświadczyzny? – pytam. – Tylko, w jakiś pokrętny sposób?

– A chciałabyś, aby były?

– Tak. – potwierdzam, łapiąc go za rękę i splatając swoje palce z jego. Ten moment aż za bardzo przypomina mi tamtą scenę sprzed lat, gdy żegnaliśmy się przed moim domem. Splecione palce i chłód metalu między nimi. Tamtym razem był to jednak naszyjnik. No i tamtym razem się całowaliśmy, uznaję zatem, że i tym razem powinniśmy. James chyba dochodzi do podobnego wniosku.

– Możesz się jeszcze rozmyślić. – mówi, odsuwając się ode mnie po chwili. – Ja... nie jestem dobrym człowiekiem. Jestem mordercą. Potworem.

Cóż, sama tak go kiedyś określiłam.

– Bycie zapatrzonym w siebie egoistą nie czyni z ciebie jeszcze złoczyńcy. – zauważam.

– Ale zabicie kogoś, owszem.

– Nie zapominaj, że dobrze wiem, jak to jest stać naprzeciw człowieka, który chce twojej śmierci, ze świadomością, że albo ty zabijesz jego i będziesz żyć, albo to on zabije ciebie. – mówię. – Pamiętaj, że ja też mam krew na rękach. Może jednak nie różnimy się od siebie tak bardzo. Nawet, gdy jest środek dnia, my zawsze błądzimy pośród ciemności.

Pewnie stać by mnie było na jeszcze jakieś metafory, ale James przerywa mi kolejnym pocałunkiem.

– Więc mam ci dać ten pierścionek jako prezent z podróży czy w ramach zgody, że za mnie wyjdiesz? – pyta, gdy wreszcie udaje mi się od niego odsunąć, choć robię to niechętnie.

– Uważasz, że jednak możemy wrócić do tego, co między nami było? Przed „Arachne”? – pytam, bo wciąż nie mam co do tego pewności. Mam jednak nadzieję.

– Myślę, że jesteśmy na dobrej drodze. – potwierdza.

– Wyjdę za ciebie. – mówię, uśmiechając się szeroko, bo moje serce, które tego dnia rozbiło się na kawałki właśnie na powrót się składało.

Nie wiem, jakim cudem odzyskiwałam właśnie wszystko, co zdawało się, że utraciłam, jednak skoro już to miałam, nie zamierzałam utracić tego ponownie.

I jednego byłam pewna: nie ma na świecie siły, która mogłaby ponownie odebrać mi Jamesa. A jeśli jakaś spróbuje, stawię jej czoła.

Jestem kapitan Arachne.

A w tej chwili mam wrażenie, że mogę dokonać wszystkiego.

Spis treści

Rozdział Pierwszy
Rozdział Drugi
Rozdział Trzeci
Rozdział Czwarty
Rozdział Piąty
Rozdział Szósty
Rozdział Siódmy
Rozdział Ósmy
Rozdział Dziewiąty
Rozdział Dziesiąty
Rozdział Jedenasty
Rozdział Dwunasty
Rozdział Trzynasty
Rozdział Czternasty
Rozdział Piętnasty
Rozdział Szesnasty
Rozdział Siedemnasty
Rozdział Osiemnasty
Rozdział Dziewiętnasty
Rozdział Dwudziesty
Rozdział Dwudziesty Pierwszy
Rozdział Dwudziesty Drugi
Rozdział Dwudziesty Trzeci
Rozdział Dwudziesty Czwarty
Rozdział Dwudziesty Piąty
Rozdział Dwudziesty Szósty
EPILOG
Reyna - Kapitan Moondrowner
Reyna - Wicher Wolności
Reyna - Powrót Do Kryjówki Piratów
Reyna - Szmaragdowe Fale